

Conan

o Aquilonii



Lin
Carter
L. Sprague
de Camp

LIN CARTER
Conan z Aquiloni

**TYTUŁ ORYGINAŁU CONAN OF
AQUILONIA
PRZEŁOŻYŁ MAREK MASTALERZ
WIEDZMA Z MGIEŁ**

1. UCIEKAJĄCA ISTOTA

Skryte za ciężką powłoką chmur słońce zniżało się ku zachodniemu horyzontowi. Zasnute obłokami niebo nawisło nad polaną jak brudny, pofałdowany wełniany dywan. Pomiedzy wilgotnymi, czarnymi pniami drzew niczym zagubione zjawy snuły się lepkie pasma mgły. Krople jesiennego deszczu kapwały na sterty opadłych liści, a wraz z gasnącym światłem nikła pyszna brązowożłota barwa listowia.

Z łomotem kopyt, skrzypieniem i szczękiem rynsztunku, na pogrążającą się w mroku polanę wpadł wielki, czarny rumak z człowiekiem na grzbiecie. Rozdarta mgła rozstąpiła się, ukazując olbrzymiego jeźdźca o szerokich barach. Jego nogi ciasno obejmowały tułów wierzchowca. Mężczyzna był już niemłody. Czas poprzetykał siwizną jego równo przystrzyżoną czarną czuprynę. Sute, czarne wąsy wiły się wokół surowo zarysowanych, wąskich ust. Lata wybrzdziły głębokie linie na szczęce, a na obliczu o kwadratowym zarysie i węzlastych przedramionach widniały blizny pozostałe po niezliczonych bitwach i potyczkach. Jeździec trzymał się jednak w siodle prosto i pewnie, jak ktoś o wiele młodszy.

Zwalisty mężczyzna siedział przez chwilę nieruchomo na dyszącym, spienionym wierzchowcu. Baczny spojrzeniem spod ronda filcowego, myśliwskiego kapelusza ogarnął zasnutą oparem polanę i wymamrotał zjadliwe przekleństwo.

Gdyby ktoś patrzył w tej chwili na śniadego olbrzyma, mógłby go wziąć za leśnego rozbójnika, dopóki nie zwróciłby uwagi na szeroki miecz, którego głowicę zdobił ogromny rubin. U boku mężczyzny wisiał także róg myśliwski z kości słoniowej, pokrytej złotym i srebrnym filigranem. Właścicielem tych rzeczy był król Aquilonii, władca najzamożniejszego i najpotężniejszego z królestw Zachodu. Zwał się Conan.

Król ponownie powiódł gniewnym spojrzeniem po zasnutej mgłą polanie. Nawet jemu trudno było odczytać świeże ślady kopyt w mokrej, splątanej trawie i gasnącym świetle dnia. Tu i ówdzie majaczyły połamane gałązki i porozrzucane kopczyki liści.

Gdy do uszu Conana dobiegł odgłos końskich kopyt, podniósł do ust myśliwski róg i zadął krótko. Po chwili z okalających polankę krzewów wyłoniła się siwa klacz. Z lasu wyjechał dojrzały, choć młodszy od Conana mężczyzna o śniadym obliczu, gorejących czarnych oczach i lśniącej czarnej czuprynie. Powitał króla tak, jak pozdrawia się starego przyjaciela.

Dłoń Conana przy pierwszym trzaśnięciu gałązki instynktownie osunęła się ku rękojeści miecza. Chociaż nie miał się czego obawiać w tej wielkiej, ponurej puszczy leżącej na północny wschód od Tanasulu, trudno mu było uwolnić się od utrwalonych przez całe życie nawyków. Gdy jednak ujrzał, że nowo przybyły to jeden z jego najstarszych i najwierniejszych przyjaciół, uśmiechnął się lekko. Przybysz odezwał się pierwszy:

–Nigdzie na szlaku nie widać śladu księcia, panie. Czy to możliwe, by chłopiec wysforował się za białym jeleniem?

–Nie tylko możliwe, Prospero – mruknął Conan – ale nawet pewne. Szalony szczeniak odziedziczył po swoim ojcu więcej uporów, niż należało. Jeśli przyjdzie mu nocować w lesie, dobrze mu tak, zwłaszcza że znów zaczyna padać.

Prospero z Poitain, wódz armii Conana, uprzejmie ukrył uśmiech. Przez kaprys losu lub jakąś niepojętą intrygę swojego pomocnego boga, nieokrzesany cymmeriański łowca przygód został królem najwspanialszego królestwa Zachodu. Conan nigdy jednak nie wyzbył się wybuchowego charakteru i prymitywnych obyczajów, właściwych ludowi, z którego pochodził. Jego syn, zaginiony książę Conn, wyrastał na doskonałą kopię ojca. Chłopiec był obdarzony takim samym, grubo ciosanym obliczem, bujnymi czarnymi włosami i nie mieszczącymi się w ubraniu mięśniami oraz taką samą beczelną pogardą wobec niebezpieczeństwa.

–Czy mam przywołać resztę orszaku, panie? – spytał Prospero. – Źle by się stało, gdyby dziedzic tronu zabłąkał się na noc w puszczy. Rozpostarliśmy się w tyralierę i dając znaki rogami...

Conan przygryzając wąsa zastanowił się przez chwilę nad tą propozycją. Wokół nich rozpościerała się mroczna puszcza wschodniej Gunderlandii. Tylko nieliczni wiedzieli, jak znaleźć drogę w tych lasach. Sądząc po chmurach, lada chwila mógł spaść wczesnojesienny deszcz, niemiłosiernie chłoszcząc wszystko swoimi zimnymi strugami.

–Daj spokój, przyjacielu! Potraktujmy to jako część książęcego wychowania. Jeśli ma w sobie zadatki na króla, bezsenna noc i odrobina wilgoci nie powinny mu zaszkodzić. Może dzięki temu czegoś się nauczy. Kiedy byłem w wieku tego szczeniaka, spędziłem wiele nocy na gołych polanach i w leśnych ostępach cymmeriańskich wzgórz. Wracajmy do obozu. Zgubiliśmy ślad jelenia, ale ubiliśmy dziką i mamy dobre czerwone wino, które będzie pasować do pieczonej dziczyzny. Umieram z głodu!

Kilka godzin później, podniesiony na duchu wieloma kielichami wina, Conan rozłożył się z pełnym brzuchem obok trzaskającego ogniska. Nieco dalej, zmożony trunkiem chrapał okutany w skóry rośły Guilaime, baron Imirus. Kilku łowczych i dworzan, zmęczonych całodziennym polowaniem, również rozłożyło się na prymitywnych posłaniach ze skór i gałęzi. Jedynie paru najwytrwalszych wciąż jeszcze siedziało przy dogasającym ogniu.

Pokrywa chmur rozstąpiła się i zza burej zasłony wyjrzał zbliżający się do pełni, jesienny księżyc. Deszcz nie zaczął padać, w konarach drzew zaś zdzierając liście z gałęzi, hulał żwawy, chłodny wiatr.

Wino rozluźniło język króla, który zaczął sypać sprośnymi dowcipami i anegdotami ze swojego długiego, malowniczego żywota. Migoczące płomyki ogniska ukazywały rumieniec na dostojnym obliczu Cymmerianina. Jednak od czasu do czasu Conan milkł, machnięciem dłoni uciszał pozostałych i nasłuchiwał, czy w oddali nie rozlega się tętent końskich kopyt. Coraz przeszywał puszcę bystrym spojrzeniem gorejących niebieskich oczu. Najwyraźniej król przejął się zaginięciem

księcia Conna bardziej, niż można było wnosić z jego słów. Zbagatelizował sprawę twierdząc, że dojrzewający chłopak będzie miał nauczkę, jednak rzecz wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby dwunastoletni podrostek leżał teraz gdzieś pod krzakiem ze złamaną nogą.

Prospero pomyślał, że Conana gryzie sumienie, co byłoby rzadkością w przypadku tego nieokrzesanego, na poły ucywilizowanego cymmeriańskiego króla – wojownika. Myśliwska wyprawa do północnej Gunderlandii była pomysłem Conana. Królowa Zenobia zaniemogła po długim porodzie, gdy na świat przyszła córka, trzecie dziecko Conana. Podczas długich miesięcy choroby królowej Cymmerianin spędzał przy niej tyle czasu, ile tylko mógł bez uszczerbku dla swoich monarszych obowiązków. Pozostawiony samemu sobie, książę Conn stał się ponury i zamknięty w sobie. Gdy jednak Zenobia odzyskała siły, a cień śmierci zniknął z królewskiego pałacu, Conan zaproponował synowi kilkutygodniową wyprawę na łowy. Miał nadzieję na nowo zbliżyć się do chłopca.

Dzisiaj samowolny Conn, upojony uniesieniem pierwszego prawdziwego polowania, oddalił się od reszty myśliwych ścigając chyżego, białego jak śnieg jelenia, którego daremnie tropiono przez długie godziny.

Niebo przejaśniło się całkiem, ukazując migoczące gwiazdy. Narastający wiatr zaczął zawodzić w gałęziach, suche liście zaś zaszeleściły, jakby zgniatane ukradkowymi krokami. Conan ponownie przerwał opowieść o dawnym pirackim życiu i czarach, by utkwić w ciemnościach badawcze spojrzenie. Wielka gunderlandzka puszcza nie należała do bezpiecznych zakątków. Leśne ścieżki przemierzały tury, żubry, dziki, niedźwiedzie brunatne i szare wilki. Prócz tego w puszczy mógł czyhać jeszcze inny wróg, najprzebieglejszy i najbardziej zdradziecki spośród wszystkich nieprzyjaciół człowieka – inny człowiek! Wszak łotrzykowie, złodzieje i renegaci często szukali schronienia w dzikich ostępach, gdy w miastach robiło się dla nich zbyt gorąco.

Cisnąwszy przekleństwo, król dźwignął się z ziemi, zsunął z ramion czarny płaszcz i rzucił go na stertę okryć.

–Mówcie sobie, że jestem lękliwy jak baba, dranie, ale nie usiedzę tu dłużej! – oznajmił. – Księżyc świeci jasno jak w dzień, mogę więc poszukać tropu, wszak nie jestem strachliwym Stygijczykiem. Fulk! Osiodłaj dla mnie Ymira, bo kary jest zdrożony. Wychylimy jeszcze strzemiennego i wsiadamy. Valensie! Wydobądź pochodnie z trzeciego wozu, rozdaj je i ruszamy w drogę! Nie usnę spokojnie, póki nie dowiem się, co jest z moim synem!

Wskakując na wielkiego deresza, Conan wymruczał: – Niewypierzony chłystek, pognał jak głupi za jeleniem mogącym prześcignąć klacz po dwakroć szybszą niż jego!

Kiedy go znajdzie, dobrze wyjaśnię mu, co myślę o porzucaniu ciepłego ogniska, by włączyć się po zimnej, mokrej puszczy!

Pyzate oblicze księżycy przecięła sowa. Conan przestali przeklinać. Przeszedł go nagły dreszcz, a jego barbarzyńską duszę ogarnęło czarne przeczucie. Barbarzyński lud, z którego się wywodził, opowiadał rozmaite historie o jeleni Olach – upiorach,

niesamowitych, krążących w nocy – istotach, bladych jak śmierć i chryzących jak zimowy wiatr. Nie wypadało prosić o nic Croma, ale Canon pragnął, by jeleni, którego ścigali, okazał się istotą z krwi i kości, nie zaś widmową zjawą z pograżonych w mroku otchłani poza przestrzenią i czasem...

LUZIE BEZ TWARZY

Conn był przemoczony i zmęczony. Wewnętrzne powierzchnie ud paliły go od długiej, konnej jazdy. Nękała go również pomrukująca pustka w miejscu, gdzie był żołądek. Lecz co najgorsze, zablądził!

Biały jeleni pojawił się przed nim jak lotna zjawa, mając go spośród ciemności. Z tuzin razy nieuchwytnie zwierzę prawie znalazło się w zasięgu rzutu oszczepem! Za każdym razem, gdy rozumna ostrożność brała w Connie górę nad podnieceniem, wspaniały jeleni potykał się, zamiatając ziemię rozłożystymi rogami, jakby znajdował się u kresu sił i wtedy wizja pochwalenia się ojcu wspaniałą zdobyczą pchała młokosa do dalszego pościgu.

Chłopiec zatrzymał zgonioną młodą klacz w kępie krzewów i rozejrzył się w zgęstniałych ciemnościach. Listowie szeptało pod naporem wiatru, gałęzie skrzypiały, korony drzew zaś zasłaniały gwiazdy i księżyc. Conn nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie się znalazł, ani w którą stronę prowadzi go jeleni. Wiedział jedynie, że zapędził się o wiele dalej, niż zezwolił ojciec. Chłopiec zadygotał, mimo że miał na sobie skórzany kaftan. Znał temperament króla i wiedział, że w obozie czeka go solidne lanie szerokimi pasem. Jedynie triumfalny powrót ze zdobyczą i rzucenie ubitego jelenia pod nogi Conana mogłoby ostudzić gniew rodziciela.

Conn otrząsnął się ze zmęczenia i głodu. Zaciśnął usta w wyrazie dziecinnej determinacji, co sprawiało, że stał się zaskakująco podobny do swego dumnego ojca. Gęste czarne włosy okalały takie samo surowe oblicze, o gorejących, niebieskich oczach. Chociaż miał dopiero dwanaście lat, szeroka klatka piersiowa i silne bary dowodziły, że gdy dorośnie, dorówna ojcu wzrostem i posturą. Już teraz przewyższał wielu dorosłych Aquilończyków.

–Dalej, Marduka! – zawołał, wbijając pięty w boli wierzchowca. Przebili się przez ociekające wilgocią gałęzie na porośniętą trawą polanę. Wyjechawszy z krzewów chłopiec dostrzegł białą sylwetkę majaczącą na tle ciemności. Wielki, biały jeleni wyłonił się z mroku i pobiegł przecinając wolną od drzew przestrzeń. Serce chłopca zabiło mocniej, podniecenie sprawiło, że żywiej zagrała w nim krew. Kopyta zadudniły o pokryty szezszczącą trawą grunt. Przypominający zjawę biały jeleni kilkoma wdzięcznymi skokami wyminął dwa zwalone drzewa i pomknął ku przeciwległemu skrajowi polany. Książę rzucił się w pościg.

Conn pochylił się nad grzywą klaczy, zaciskając kurczowo palce na drzewcu lekkiego oszczepu. Nie tracił z oczu majaczącej jak błędny ogień sylwetki ściganego zwierzęcia. Załomotało mu serce, gdy spostrzegł, że jeleni musi zwolnić, jeśli nie chce wpaść z rozpędu w zbity gąszcz krzewów.

W chwilę później, gdy już uniósł ramię, by cisnąć oszczep, zdarzyło się coś, czego się nie spodziewał. Jeleni rozplynął się w obłok mgły, który po chwili uformował się na nowo, tym razem jako wysoki, szczupły kształt człowieka. Sądząc po kościstej, pozbawionej wyrazu, nieruchomej twarzy, okolonej rozwianą chmurą stalowosiwych włosów, była to kobieta.

Conna ogarnęła groza. Klacz stanęła dęba, zarżała przenikliwie, po czym opadła i zaczęła drzeć. Conn utkwiał wzrok w zimnych, jarzących się jak u kota, oczach stojącej przed nim kobiety-demona.

Zapadło głucho milczenie. W ciszy, zakłócanej jedynie łomotaniem swego serca, Conn zdał sobie sprawę, że drżą mu ręce, a wyschnięte usta wypełnia gorzki posmak. Czyżby się bał? A kimże była ta kobieta-upiór, by uczyć strachu syna Conana Zdobywcy?

Wysiłkiem woli chłopiec mocniej ścisnął drzewce oszczepu. Choćby była to zjawa, czarownica czy wilkołak, syn Conana nie zamierzał okazać przerażenia.

Na widok chłopca naśladującego spojrzenie dorosłego mężczyzny w rozjarzonych, zielonych oczach kobiety pojawił się wyraz rozbawienia i chłodnego szyderstwa. Szczupłą dłonią wykonała szybki gest... Zaszleściły liście, zatrzeszczały gałązki.

Chłopiec oderwał wzrok od tajemniczej postaci. Hardy wyraz zniknął z jego oblicza, gdy na polanę ze wszystkich stron zaczęły wchodzić upiorne postacie o nadludzkiej wysokości. Wiele z nich miało pięć łokci wzrostu, przewyższając nawet olbrzymiego Conana. Były jednak tak chude, że przywodziły na myśl mumie. Od szyi po nadgarstki i kostki obleczone były w przylegające ciasno jak rękawiczki, czarne stroje. Głowy skrywały obcisłe kaptury. Kościste dłonie o długich palcach dzierżyły jakąś osobliwą broń, przypominającą laski z lśniącego, czarnego drewna, długie na przeszło łokieć. Na obu końcach każdej z lasek znajdowały się gałki ze srebrzystego metalu.

Jednakże nie broń tajemniczych postaci napełniła Conna nadnaturalnym lękiem. One nie miały twarzy! Pod ciasno dopasowanymi czarnymi kapturami widać było jedynie białe, gładkie owale.

Niewielu mogłoby winić chłopca, gdyby teraz z przerażeniem rzucił się do ucieczki. Książę pozostał jednak na miejscu. Choć miał zaledwie dwanaście lat, wydał go ród mocarnych, walecznych wojowników i dzielnych kobiet. Mało który z jego przodków okazywał wahanie w obliczu niebezpieczeństwa, a przecież przychodziło im stawiać czoła okrutnym niedźwiedzom jaskiniowym, srogim, śnieżnym smokom i chroniącym się w cymmeriańskich ostępach ostatnim tygrysom szablastozębym. Walczyli z tymi stworzeniami po kolana w zimowych śniegach i pod migoczącym światłem polarnych zórz. W chwili zagrożenia w chłopcu odezwało się barbarzyńskie dziedzictwo.

Kobieta podniosła głowę i przemówiła po aquilońsku, lecz z silnym obcym akcentem:

–Poddaj się, chłopcze!

–Nigdy! – wykrzyknął Conn. Wydał z siebie cymmeriański okrzyk wojenny, którego nauczył się od ojca, pochylił oszczep w kierunku najbliższej, odzianej w czerń postaci bez twarzy i spał ostrogami zmęczonego wierzchowca.

Po spokojnej twarzy odzianej w biel kobiety nie przemknął nawet cień emocji, lecz jedna ze służących jej istot z niesamowitą szybkością skoczyła na jeźdźca. Nim zdorożona klacz zdołała ruszyć z miejsca, ramię Conna przeszył paraliżujący ból.

Mężczyzna schwycił cugle kościstą dłonią i zamachnął się trzymaną w drugiej ręce laską, trafiając w zagłębienie pod łokciem Conna. Użyte z wyjątkową zręcznością narzędzie trafiło w splot nerwów. Chłopiec jęknął i skulił się w siodle, z bólu zrobiło się mu ciemno przed oczami. Oszczep wyleciał ze zdrtwiałych palców i upadł w mokrą trawę.

Odziany w czerń mężczyzna uniósł laskę do następnego uderzenia, jednak kobieta krzyknęła szorstko w nieznanym języku, głębokim metalicznym tonem. Człowiek bez twarzy powstrzymał drugi cios.

Conn jednak nie zamierzał się poddać. Z nieartykułowanym okrzykiem chwycił lewą dłonią rękojeść przypasanego do biodra sztyletu. Niezgrabnie wydobył go z pochwy i obrócił w dłoni. Nim jednak zdążył się nim posłużyć, czarno odziani ludzie otoczyli go ze wszystkich stron, wyciągając ku chłopcu chude ramiona.

Conn ciął na odlew najbliższego z napastników. Ostrze sztyletu rozcięło jego gardziel. Pod człowiekiem bez twarzy ugięły się nogi i wydawszy charczące stęknienie, padł w wilgotną trawę.

Conn ponownie wbił pięty w boki wierzchowca, krzykiem wrywając go z odrętwienia. Klacz stanęła dęba z przenikliwym rżeniem, starając się trafić okutymi kopytami napierających zewsząd mężczyzn bez oblicz. Napastnicy unikali ciosów jak zjawy. Jeden z nich zadał kolejny sztych laską, z piekielną dokładnością trafiając w nadgarstek Conna i wytrącając mu sztylet. Druga wieńcząca czarną laskę gałka delikatnie stuknęła chłopca w tył głowy. Conn zwałił się z siodła jak szmaciana lalka. Jeden z mężczyzn chwycił go w chude ramiona i opuścił na trawę, podczas gdy pozostali poskramiali wierzchowca.

Zielonooka kobieta nachyliła się nad nieprzytomnym chłopcem.

–Conn, księżę korony Aquilonii, dziedzic tronu Conana – powiedziała chrapliwym głosem i wydała z siebie suchy, bezlitosny śmiech. – Thoth-Amon będzie zadowolony.

KRWAWE RUNY

Conan wyprostował się w siodle, łapczywie połykając kęs pieczeni z dzika. Podjechał do niego Euric, łowczy koronny. Conan wypluł chrząstkę i otarł usta grzbietem dłoni.

–Znaleźliście coś? – spytał król.

Stary łowczy skinął głową, wyciągając przed siebie dłoń, w której trzymał osobliwy przedmiot.

–To.

Conan przyjrzał się bacznie. Łowczy trzymał delikatnie rzeźbioną maskę z kości słoniowej, pasującą ściśle do twarzy o wysokich kościach policzkowych, wąskim podbródku i zapadniętych policzkach. Co osobliwe, odwrotna strona maski stanowiła gładki owal z otworami na oczy i nozdrza. Nie spodobała się Conanowi.

–Hyperborejska robota – mruknął. – Coś jeszcze? Stary łowczy kiwnął głową.

–Ślady krwi na zdeptanej trawie – powiedział. – Odciski kopyt młodej klaczy i to. Ogień w oczach Conana przygasł, gdy ujrzał sztylet, który podarował synowi w dniu dwunastych urodzin. Na srebrnej gardzie widniało godło aquilońskiego księcia.

–Nic poza tym?

–Mamy nadzieję, że psy wywęszą trop – odrzekł Euric.

Conan posępnie skinął głową.

–Kiedy na niego trafią, zatrąb na zbiórkę – mruknął.

Słońce wspięło się już wysoko na niebo. Wyblakła trawa roztaczała wilgotną woń, a powietrze było parne i zastałe. Król Aquilonii zadrżał, jakby jego serca dotknął niewidzialny, lodowaty powiew.

Po następnej godzinie znaleziono trupa. Leżał pogrzebany na dnie wąwozu, pod stertą gnijących liści i wilgotnej ziemi. Czujne charty wytropiły go jednak i hałaśliwym szczekaniem przywołały myśliwych.

Conan zjechał w głąb wąwozu, by przyjrzeć się martwemu mężczyźnie. Człowiek ten był bardzo chudy, miał prawie pięć łokci wzrostu, bladą jak pergamin skórę i jedwabiste, siwe włosy oraz rozplątane gardło.

Euric przykucnął przy powalanych ziemią zwłokach, wciągnął w nozdrza woń krwi, wsunął palce w ranę i z zamyśleniem potarł nimi o siebie. Conan czekał w ponurym milczeniu. Wreszcie starzec podniósł się i otarł dłonie.

–Zabito go ubiegłej nocy, panie – powiedział. Conan powiódł wzrokiem po zwłokach, zatrzymując spojrzenie na wąskiej twarzy o wydatnej szczęce i wystających kościach policzkowych. Zabity był Hyperborejczykiem, świadczyły o tym wzrost, szczupła budowa ciała, bezbarwne, cienkie włosy i nienaturalna bladość. Spomiędzy błota i brązowych liści wyglądały martwe, zielone oczy.

–Euric, spuście znów ogary! Prospero, nakaż ludziom ostrożność! Ktoś celowo prowadzi nas swoim śladem – powiedział Conan.

Ruszyli dalej. Po jakimś czasie Prospero odchrząknął i zapytał:

–Sądziś, panie, że maskę i sztylet pozostawiono umyślnie?

–Jestem tego pewny – burknął Conan. – Czuję to w kościach, jak stary weteran,

który wie kiedy będzie padać. Gdzieś przed nami kryje się cała zgraja tych białych diabłów, niech ich zaraza wydusi. Bawią się z nami w chowanego!

–Chcą nas wciągnąć w pułapkę? – zapytał Prospero.

Conan zastanowił się głęboko i potrząsnął głową.

–Wątpię. W ciągu ubiegłej godziny przejechaliśmy przez trzy doskonale miejsca na zasadzkę. Nie, chodzi o coś innego. Pewnie chcą nam przekazać wiadomość.

Prospero zamyślił się.

–Czyżby porwali księcia dla okupu? – powiedział w końcu.

–Albo jako przynętę – odparł Conan. Oczy gorzały mu jak u rozwścieczonej bestii. – Kiedyś znalazłem się w hyperborejskiej niewoli. To, co wycierpiałem z ich rąk, dało mi powód, by głęboko znienawidzić te kościste diabły. To zaś, czego dokonałem po uwolnieniu się od ich gościnności, dało z kolei im powód, by nienawidzić mnie!

–Co znaczyła ta maska z kości słoniowej?

Conan splunął i upił z bukłaka łyk ciepłego wina.

–Hyperborea jest zamieszkała przez diabły. To jałowa kraina, wiecznie okryta mgłami, mroczna i rządzona przez wszechobecny strach. Istnieje tam upiorny kult, którego sługami są odziewający się na czarno kapłani-zabójcy. Rządzą oni dzięki mocom tajemnym, nieposłusznych zabijając dotknięciem drewnianych lasek, zaopatrzonych w gałki z dziwnego, rzadkiego metalu. Jest on szary i ciężki, nazywają go platyną, a w Hyperborei występuje obficie niż gdzie indziej. Tamtejszą królową-kapłanką jest stara kobieta, uważana za wcielenie bogini śmierci. Służy jej tajemne stowarzyszenie skrytobójców, poddających swoje ciała, umysły i wolę najosobliwszym umartwieniom i postom. Bezkształtne maski będące symbolem wyrzeczenia się wszelkiej odmienności to przykład ich fanatyzmu. Są najzaciętszymi wojownikami na świecie, gdyż ślepa wiara czyni ich niepodatnymi na strach i cierpienie.

Po tych słowach jechali w milczeniu. W umysłach obu mężczyzn majaczyła okropna wizja bezradnego chłopca pojmanego przez szalonych wyznawców śmierci, którym rozkazywała królowa-wiedźma, od wielu lat żywiąca do Conana płomienną nienawiść.

Wczesnym popołudniem puszcza wschodniej Gunderlandii przerzedziła się, ustępując miejsca wrzosowiskom pokrytym rachitycznymi kępami krzewów. Niedaleko było stąd do granicy królestwa Conana, opodal leżało osobliwe miejsce, w którym stykały się Aquilonia, Pograniczne Królestwo, Cymmeria i Nemedia.

Niebo znów zasnuły chmury, w powietrzu zaś zapanował nieprzyjemny chłód. Porywy lodowatego wiatru wzburzyły morze purpurowego wrzosu. Błady krążek słońca lśnił, nie dając ciepła. Z odległych trzęsawisk dobiegały ochryple krzyki ptactwa. Nad całą posępną krainą rozpościerał się przygnębiający nastrój.

Conan jechał na czele orszaku. Nagle ściągnął wodze strudzonego deresza i uniósł dłoń, dając reszcie znak do zatrzymania się. Zgarbił się w siodle, wpatrując posępnie w coś, co znalazł na swej drodze. Jeźdźcy zsiadli z koni i pojedynczo oraz parami podeszli, by przyjrzeć się znalezisku.

Był to lekki, wierzbowy oszczep, jaki młody chłopiec wzięłby na polowanie na

jelenia. Ostrze tkwiło głęboko w jeżynach, a drzewce sterczało pionowo w górę. Dookoła niego owinięto arkusz białego pergaminu.

Euric odzepił pergamin i podał go siedzącemu na koniu królowi. Arkusz zatrzeszczał głośno, gdy Conan go rozpościerał.

Na pergaminie widniała nagryzmołona po aquilońsku wiadomość. Conan zapoznał się z nią z zaciętym wyrazem twarzy, po czym przekazał ją Prosperowi, który odczytał ją na głos.

Niech król podąży dalej sam do Pohioli. Jeśli to uczyni, potomkowi jego lędźwi nic się nie stanie. Jeśli nie posłucha, dziecko zginie w męczarniach. Niech król zdąży szlakiem wskazanym przez Białą Dłoń.

Prospero jeszcze raz przyjrzał się rdzawym runom, po czym wydał z siebie okrzyk odrazy. Stwierdził, że wiadomość sporządzono krwią.

BIAŁA DŁOŃ

Conan przemierzał samotnie trzęsawisko rozciągające się za granicą Aquilonii. Zwykłym biegiem rzeczy wróciłby do Tanasulu, zwołał pospolite ruszenie i wkroczył z całą armią do okrytej mgłami Hyperborei. Gdyby jednak tak postąpił, jego syn by zginął. Król nie miał innego wyboru, jak podporządkować się wskazówkom zawartym na arkuszu pergaminu.

Przekazał Prosperowi masywny, złoty pierścień z pieczęcią, który nosił na prawej dłoni. Upoważniało to Poitańczyka do sprawowania władzy regenta do chwili powrotu króla. Gdyby Cymmerianin nie wrócił, prawowitym władcą Aquilonii zostałby drugi syn Conana, jeszcze niemowlę, urząd regenta zaś przysłoby Prosperowi dzielić z królową Zenobią.

Wydając tej treści polecenia, utkwivszy spojrzenie w oczach Prospera, Conan wiedział doskonale, że dzielny żołnierz wypełni je co do joty. Przekazał mu także jeszcze jeden rozkaz. Prospero po powrocie do Tanasulu miał ogłosić zaciąg i ruszyć śladem króla, w celu zajęcia Pohioli i ukarania Hyperborei.

Conan wiedział jednak, że pojedynczy jeździec będzie poruszać się szybciej niż maszerujące wojska. Był pewny, że dotrze pod posępne mury Pohioli na długo, nim zaciężne oddziały Prospera zdążą przybyć ze wsparciem.

Krainę, w której znalazł się Conan, nazywano Pogranicznym Królestwem. Była to połać ziemi, pokryta rozciągającymi się aż po horyzont, wyludnionymi trzęsawiskami. Tu i ówdzie rosły pokręcone, karłowate drzewa, a ptactwo podrywało się z łopotem skrzydeł znad zamglonych moczarów. Zimny, niespokojny wiatr zawodził ponurą pieśń wśród szemrzących trzcin.

Conan posuwał się naprzód z największym możliwym pośpiechem, zważając jednak na niepewny grunt. Jego deresz, Ymir, utrudził się całonocną jazdą przez puszcę, dlatego też Conan skorzystał z siwka barona Guilaime'a z Imirus. Tłusty wielmoża był najcięższym mężczyzną w orszaku, wyjąwszy samego Conana, i wyłącznie jego krzepki rumak był w stanie unieść olbrzymiego Cymmerianina. Pozostawivszy myśliwski ekwipunek, Conan wyruszył odziany w zwyczajny skórzany kaftan i solidnie natłuszczoną kolczugę o niewielkich ogniach. Do siodła przypasał potężny, hyrkański łuk, kołczan wypełniony strzałami o czarnych brzechwach i zwój mocnej, jedwabnej liny. Ruszywszy na mokradła, nie oglądał się więcej za siebie.

Zrazu podążał wyraźnym śladem, ponieważ wierzchowce Hyperborejczyków udeptały ścieżkę w błotnistym gruncie. Chcąc nadrobić jak najwięcej straconego czasu, nie dawał swemu rumakowi wytchnienia. Istniała szansa, że z pomocą losu i dzięki kaprysowi swojego dzikiego boga Croma, zdąży dogonić porywaczy, nim ci powrócą do pohiolskiej twierdzy.

Wkrótce jednak ślad hyperborejskich koni zniknął na kamienistym podłożu. Było jednak mało prawdopodobne, że Conan zgubi trop, gdyż co jakiś czas trafiał na znaki pozostawione przez porywaczy syna, bielejące na kamieniach lub murawie białe odciski dłoni. Niektóre z nich zniszczyły trawę, jakby zwarzył ją powiew nienaturalnego zimna.

Były to ślady czarów. Conan na ich widok wydawał z siebie zduszone pomruki, a włosy u podstawy karku stawały mu dęba. Na północny zachód stąd leżały jego rodzinne strony – Cymmeria. Zamieszkującemu ją prymitywnemu ludowi znana była Biała Dłoń, niesamowite godło czarnoksiężników z Hyperborei. Conan dygotał na samą myśl, że jego syn wpadł w ich niewolę.

Nie zaprzestawał jednak pościgu. Pędził dalej przez ponurą równinę, pokrytą płytkimi rozlewiskami zimnej, czarnej wody, cherlawymi kępkami chaszczy i poprzecinaną lawirującymi strumykami oraz upstrzoną wzgórkami uschniętej trawy. Godziny mijały jedna po drugiej, wokół samotnego jeźdźca gęstniały ciemności. Na niebie pojawiły się gwiazdy. Było ich niewiele ze względu na snujące się ołowiane chmury. Gdy w końcu ukazał się księżyc, jego chłodna twarz co chwila kryła się pod koronkową zasłoną mgły.

Przed świtem Conanowi zabrakło sił. Zesztywniały i obolały, zsiadł z konia i przywiązał mu przy pysku wór z ziarnem. Nałamawszy uschniętych krzaków, rozniecił niewielkie ognisko. Potem złożył głowę na siodle, wyciągnął się i zapadł w głęboki sen.

Przez trzy dni Conan przemierzał jałową krainę, docierając w końcu do brzegu Wielkiego Słonego Bagna. Rozległe trzęsawisko stanowiło pozostałość śródlądowego morza, szumiącego w tych stronach całe tysiąclecia przed wschodem pierwszych cywilizacji. Grunt stawał się coraz bardziej zdradziecki. Im głębiej król zapuszczał się w Pograniczne Królestwo, tym staranniej musiał wybierać drogę. Siwek posuwał się przez bagna z opuszczonym łbem, macając ostrożnie każdą kępę przed postawieniem na niej kopyta. Coraz liczniejsze stawały się oczka zimnej, mulistej wody. Wkrótce Conan znalazł się na pozbawionym drzew bagnie.

Zapadł zmierzch, pogrążając trzęsawisko w ciemnościach. Siwy rumak zarzucał nerwowo łbem, z klaskaniem wydobywając kopyta z grząskiego mułu. Popiskujące nietoperze kołowały w mroku. Z pokrytej pleśnią kłody bezszelestnie zsunęła się zygzakowata żmija grubości nadgarstka mężczyzny.

Mimo coraz głębszego mroku Conan z zaciśniętymi zębami poganiał dalej wierzchowca. Zamierzał jechać przez całą noc i w razie konieczności odpocząć dopiero przed południem.

Wreszcie Cymmerianin dotarł do rozwidlenia szlaku. Uniósł się w siodle, by rozejrzeć się wśród paproci porastających obrzeża drogi. Ujrzał obnażony przez deszcze, gładki kamień, na którym widniał kolejny upiorny znak rozpostartej dłoni. Król szarpnął wodzami i skierował konia w odnogę, wskazaną przez Białą Dłoń.

Nagle wśród porastających błota kęp wrzosu zaroilo się od ludzi. Brudne, pokryte mułem postacie były prawie nagie, okryte jedynie łachmanami poskręcanyimi wokół bioder. Na wyszczerzone groźnie twarze opadały pasma długich, splątanych włosów.

Conan wydał z głębi piersi bojowy okrzyk i poderwał rumaka, równocześnie wyszarpując miecz z pochwy. Zezwierzęceni mieszkańcy bagien otoczyli króla, chwytając go za strzemiona i buty. Szarpiąc końską grzywę, starali się powalić rumaka na ziemię. Wierzchowiec obronił się wściekłym wierzgnięciem. Jednym uderzeniem kopyta rozłupał czaszkę najbliższego dzikusa. Bryznęła krew i mózg.

Kolejne kopnięcie zdruzgotało bark innego napastnika.

Ostrze Conana ze świstem przecięło powietrze. Za pierwszym ciosem od razu dwie głowy odpadły od tryskających strumieniami krwi karków. Usiekł pięciu. Szóstego rozplątał od czerepu do szczęki i wtedy ostrze uwięzło w twardej kości. Padający zezwłok pociągnął za sobą miecz, który wysunął się z dłoni Conana. Cymmerianin skoczył za nim, z chlupotem lądując w bagnie. Natychmiast rzuciła się na niego skowycząca zgraja półludzi. Dzikie oczy błyskały w ciemnościach, przypominające szpony paznokcie szarpały ramiona Conana. Napastnicy powalili Cymmerianina i przytłoczyli go swą liczbą i ciężarem. Jeden z nich wznosił sękatą pałkę nad głową króla. Świat rozpadł się na kawałki.

ZJAWA Z PRZESZŁOŚCI

Z kłębiącej się, mętnej mgły u kresu brukowanego traktu wyłonił się wierzchołek wzgórza. Utrudzony wielodniową podróżą Conn utkwiał w nim spojrzenie zaczerwienianych oczu.

Na szczycie wzgórza stała potężna twierdza – surowe zamczysko zbudowane z nie spojonych zaprawą ogromnych kamiennych bloków. Niewyraźna, mająca spoza mgieł budowla wyglądała w mętnej poświacie gwiazd niczym siedziba duchów. Na narożach olbrzymiej twierdzy widniały osnute kłębiącym się oparem, przysadziste wieże. Orszak porywaczy skierował się prosto ku ziejącej bramie zamczyska. Gdy się zbliżyli, Conn dostrzegł wędrujące w górę wielkie, podnoszone wrota. Podrostek stłumił przeszywający go dreszcz lęku. Otwarcie naszpikowanej kolcami kraty z zardzewiałego żelaza przypominało powolne ziewnięcie gigantycznego potwora.

Przez olbrzymią bramę wjechali na rozległy dziedziniec, oświetlony rozmigotanymi płomieniami pochodni. Krata osunęła się z powrotem za ich plecami i zadźwięczała o bruk jak dzwon przeznaczenia.

Zimne, białe dłonie ściągnęły chłopca z siodła i pchnęły w kąt dziedzińca. Conn przykucnął pod mokrą, kamienną ścianą i rozejrzał się. W panującym półmroku z wolna dawały się rozróżnić zarysy rezonującego echem, okrągłego placu. Okazało się, że to, co wziął za dziedziniec, stanowi w istocie wnętrze olbrzymiej sali. Wiązania stropu ginęły w ciemności, ledwie mając wysoko w górze. Jedyne widoczne umeblowanie stanowiło kilka stojących opodal surowych, drewnianych ław, kilka zydli i długi stół na kozłach. Na stole stał drewniany talerz zawierający zimne okrawki tłustego mięsiwa i wilgotny bochen razowca. Chłopiec zapatrzył się łapczywie na podłe jadlo. Jakby odgadując jego myśli, stara kobieta wydała półgłosem polecenie. Jeden z mężczyzn zdjął talerz ze stołu i postawił go obok Conna.

Księżciu zdrętwiały ręce od sznurów, którymi od wielu dni był przywiązany do siodła. Mężczyzna przeciął więzy na nadgarstkach Conna. W zamian założył mu na szyję łańcuch i zamknął na nim kłódkę. Drugi koniec łańcucha był umocowany do żelaznego pierścienia wystającego ze ściany.

Strażnik cofnął się i zdjął maskę z kości słoniowej. Księżę przyjrzał się jego twarzy. Rysy bladego, kościstego oblicza układały się w wyraz niezziemskiego spokoju. Conna ogarnęła odraza na widok bezbarwnych warg i zimnego lśnienia zielonych oczu swojego porywacza, odczuwał jednak zbyt wielki głód i zmęczenie, by przejmować się jego wyglądem. Po chwili podszedł drugi mężczyzna z przewieszonymi przez ramię kilkoma sztukami workowego płótna. Rzucił je obok skutego chłopca, po czym obaj strażnicy odeszli. Zjadłszy wszystko, co było na talerzu, Conn podgarnął pod siebie trochę pleśniejącej słomy, którą wysypana była kamienna posadzka gigantycznej hali. Rozpostarł na słomie płótno, zwinął się w kłębek i natychmiast zapadł w sen.

Obudził go dudniący głos gongu. Do wnętrza ponurej sterty ociosanych głazów, w której został uwięziony, nie dochodziło światło słońca, nie miał więc pojęcia, jaka jest pora dnia.

Przetarł oczy i rozejrzał się. Na środku sali wznosił się niski, okrągły piedestał, na którym siedziała nieruchoma jak krawiecki manekin stara kobieta. Przed nią stała wielka, miedziana misa wypełniona gorejącymi węglami. Pełgające płomyki rzucały na twarz wiedźmy krwawe refleksy.

Conn przyjrzał się jej bacznie. Była bardzo stara, jej twarz pokryty tysiące zmarszczek, a siwe włosy zwisały beładnie wokół twarzy o rysach zastygłych w nieprzeniknionym wyrazie. Gorejące szmaragdowe oczy były jednak pełne życia. Ich napawające lękiem spojrzenie błądziło gdzieś w przestrzeni.

U stóp podwyższenia przykucnął jeden z czarno odzianych mnichów, uderzając rytmicznie pałeczką w niewielki gong o kształcie ludzkiej czaszki. Odgłos gongu odbijał się we wnętrzu hali niesamowitym echem.

Po chwili do środka gęsiego wkroczyli inni mnisi. Mieli na twarzach maski z kości słoniowej i naciągnięte głęboko czarne kaptury. Jeden z nich wiódł nagiego, kudłatego mężczyznę. Conn zorientował się, że to ten sam człowiek, który kilka dni wcześniej w jego obecności został wzięty do niewoli przez czcicieli śmierci. Schwytanemu założono pętlę na szyję i zmuszono, by biegiem dotrzymywał kroku wierzchowcom, o ile nie chciał się udusić. Jeniec był zniekształcony, otępiały i brudny. Szeroko rozdziawiał usta, w jego oczach migotało przerażenie.

Rozpoczął się upiorny rytuał. Dwóch mnichów przyklękło i spętało kostki jeńca zwieszającym się z legara rzemieniem. Powoli podciągnęli nieszczęśnika w górę, dopóki nie zawisł głową w dół nad miedzianą misą z gorejącymi węglami. Jeniec szarpnął się i zaczął krzyczeć.

Podcięto mu gardło od ucha do ucha. Ofiara zatrzepotała się na rzemieniu i wreszcie stopniowo zwiotczała. Conn przyglądał się temu rozszerzonymi oczami. Krew połała się na węgle. Z sykiem buchnęła para i rozszedł się ohydny smród.

Przez cały czas wiedźma patrzyła przed siebie niewidzącym spojrzeniem. Kołysała się z boku na bok, wydając pozbawione rytmu zawodzenie. Czarno odziani mężczyźni stali nieruchomo wokół podwyższenia. Słysząc było skwierczenie krwi. Monotonny odgłos gongu tworzył podkład pod wysoki, przeszywający dreszczem skowyt wiedźmy. Conn nie odrywał od niej wzroku, czując jednocześnie odrazę i fascynację.

Nad podwyższeniem zawisła chmura śmierdzącego, tłustego dymu, chwiejąca się jak pod dotykiem niewidzialnych dłoni.

–Na Croma! – westchnął chłopiec, tłumiąc dreszcz przerażenia. Obłok dymu zaczął nabierać kształtu postawnego mężczyzny o słusznym wzroście i szerokich barach, odzianego we wschodnią szatę, której odrzucony w tył kaptur obnażał gładko wygoloną głowę o jastrzębim obliczu. Wiedźma nie zaprzestawała zawodzenia. Chrypliwa pieśń wznosiła się i opadała jak odgłos zimnego wiatru jęczącego między szubienicznymi belkami.

Człekokształtna zjawa nabierała kolorów. Fałdy szaty stały się ciemnozielone, twarz zaś śniadorumiana, jak oblicza Shemitów czy Stygijczyków. Zamarły ze strachu chłopiec nie spuszczał wzroku z półprzejrzystego fantomu. Twarz widma wydała się chłopcu niejasno znajoma. Być może ktoś opisał mu już wyniosłe, orle rysy i ponury grymas ust niemalże pozbawionych warg. W miejscu oczu gorzały dwie

szmaragdowe iskry.

Wargi zjawy rozchyliły się. Pograżoną w cieniu salę wypełniło dalekie echo głosu:

–Witaj, Louhi!

–Pozdrowienia, Thoth-Amonie! – odpowiedziała wiedźma.

W tym momencie lodowate kleszcze strachu zacisnęły wokół serca Conna, który zrozumiał, że nie padł o przypadkowych porywaczy. Znajdował się w niewoli najzaciętszego, najsroźszego z wrogów swego rodu, najpotężniejszego na Ziemi adepta czarnej magii, stygijskiego czarnoksiężnika, który dawno temu poprzysiągł Setowi, zada Conanowi z Cymmerii okrutną śmierć, Aquilonię pograży w chaosie.

ZA BRAMĘ CZASZKI

Niedługo przed świtem Conan odzyskał świadomość. Potwornie bolała go głowa, a twarz miał pokrytą zaschniętą krwią.

Zamieszkujący bagna ludzie-zwierzęta zniknęli bez śladu. Rozpłynęli się w mroku nocy, unosząc lupy i swoich zabitych. Conan usiadł ze stęknieniem, ściskając skronie, w których łomotał ból. Odebrano mu konia, kolczugę, broń i zapasy. Zastanawiał się, czy napastnicy porzucili go przekonani, że umrze. Podejrzewał, że tak. Jedynie twarda czaszka ocaliła Cymmerianina od nędznego końca.

Legendy mówiły, że ludzie-zwierzęta byli zdegenerowanym potomstwem pokoleń zbiegłych na bagna zbrodniarzy i niewolników. Stulecia kazirodnych związków sprawiły, że lud ten stoczył się do stanu niewiele przekraczającego zwierzęcy. Conan był zdziwiony, że pozostawiono go nietkniętego, gdyż te zdziczałe bestie nie gardziły ludzkim mięsem. Podejrzewał, że mieli wystarczająco własnych trupów. Dopiero gdy dźwignął się na nogi, zobaczył, co odpędziło napastników.

Tuż obok miejsca, w którym go powalono, w błotnistej murawie widniał wypalony znak Białej Dłoni.

Conanowi nie pozostawało nic innego, jak ruszyć pieszo. Sporządziwszy sobie z pokręconej gałęzi prymitywną maczugę, zwalisty Cymmerianin skierował się na północny wschód, podążając szlakiem wytyczonym przez Białą Dłoń. Jeszcze jako chłopiec Conan nauczył się, jak żyć z tego, co dawała natura. Jako król dumnej Aquilonii w ciągu długich lat panowania odwykł od walki o przetrwanie. Odczuwał jednak satysfakcję stwierdzając, że stare nawyki nie zginęły ze szczętem. Dzięki procy sporządzonej z kawałka płótna oddartego z przepaski biodrowej był w stanie polować na bagienne ptactwo. Ponieważ na podmokłym trzęsawisku nie miał jak rozpaść ognia, oskubane ptaki zjadał na surowo. Maczugą odpędzał od siebie zgraje napastliwych, dzikich psów. Zaostrzonymi kołkami łowił w mętnych sadzawkach żaby i raki. I przez cały czas zmierzał nieustannie na północny wschód.

Po wielu dniach wędrówki dotarł do granicy Pogranicznego Królestwa. Pod nisko nawisłym niebem wznosiło się w tym miejscu pasmo nagich pagórków. Wijąca się droga wiodła przez wąską przełęcz między dwoma zaokrąglonymi wzniesieniami. Granicę z Hyperboreą znaczył osobliwy monument, mający napawać lękiem ludzkie serca. Graniczny głaz sterczał przy drodze majacząc z daleka zszarzałą bielą. Zbliżywszy się doń na tyle, by przyjrzeć mu się dokładniej, Conan przystanął i znieruchomiał z założonymi rękami.

Granicę znaczyła olbrzymia, jakby ludzka czaszka. Jej widok sprawił, że Cymmerianina przeszył pierwotny lęk. Włosy zjeżyły mu się, gdy przypomniał sobie opowieści o wilkołakach i olbrzymach. Przyjrząwszy się jednak bliżej kształtowi kości, Conan uśmiechnął się posępnie. Nauczony doświadczeniem zdobytym podczas wieloletnich wędrówek, poznał, że makabryczny relikw to czerep mamuta. Czaszka krewniaka słoni nosiła powierzchowne podobieństwo do ludzkiej, oczywiście pomijając zakrzywione kły. W tym wypadku ów znak szczególny został odpiłowany. Conan splunął, czując przyływ otuchy. Ktoś, kto uciekał się do takich

sztuczek, nie mógł być niezwyknięty.

Na czole czaszki mamuta widniały hyperborejskie runy. Podczas minionych lat Conan poznał po trosze wiele języków. Z niejaką trudnością zdołał więc odczytać napis: Dla tych, którzy bezprawnie wkraczają do Hyperborei, ta brama jest Bramą Śmierci.

Conan prychnął pogardliwie, minął bramę i wkroczył do nawiedzanej krainy.

Za Bramą Czaszki stoki nagich wzgórz opadały ku ponurej równinie, przetykanej tu i ówdzie niewielkimi wzniesieniami. Równina była zasłana kruszącymi się głazami. Conan maszerował pod nisko nawisłym niebem, wyęzając wszystkie zmysły, by przeniknąć lepką mgłę. O ile mógł stwierdzić, nic nie poruszało się w tej mrocznej krainie. Czyhało tu jedynie niewidzialne niebezpieczeństwo.

W zimnym królestwie Hyperborei żyło niewielu ludzi. W tych stronach panowały srogie zimy, a słońce świeciło krótko. Władcy tych ziem mieli swoje siedziby w zwalistych twierdzach z olbrzymich kamiennych bloków, poddani zaś – nieszczęśni, żyjący w wiecznym lęku niewolnicy, gnieździli się w skupiskach nędznych lepianek i starali się wyżyć z uprawy jałowej gleby. Po tutejszych pustkowiach grasowały zgraje wynędzniałych szarych wilków. Conan wiedział też, że w kamienistych górach Hyperborei żyły srogie niedźwiedzie jaskiniowe. Prócz nich, wilków oraz z rzadka spotykanych stad reniferów, wołów piżmowych i mamutów, niewiele innej zwierzyny mogło przetrwać w tej niegościnniej krainie.

Conan dotarł po kilku dniach do pierwszej kamiennej twierdzy. Wiedział, że jest to Sigtona. W Asgardzie krążyły szeptane opowieści o miejscowej władczyni. Mówiono, że żywiła się wyłącznie ludzką krwią. Król Aquilonii ominął! Sigtonę szerokim łukiem, kierując się ku następnej cytadeli.

Dwa dni później dostrzegł posępny kopiec Pohioli. Przysadziste wieże rysowały się na tle gwiazd. Pólnagi, wygłodzony, bezbronny i brudny Cymmerianin utkwiał spojrzenie gorejących oczu w twierdzy mnichów-zabójców. Gdzieś w tej ciemnej fortecy znajdował się jego udręczony syn. Być może w podziemnych labiryntach tego zamczyska czekało na Conana jego przeznaczenie. Cóż, nieraz już przychodziło mu krzyżować miecze ze Śmiercią i jak dotąd z tych desperackich potyczek wychodził zwycięsko.

Dumnie unosząc głowę, zanurzył się w mrok skrywający wrota Pohioli.

KRÓLOWA-WIEDZMA

Nad brukowaną drogą prowadzącą przez wielką bramę wisiały żelazne kły uniesionej kraty. Przed nią znajdowały się jeszcze potężne wierzeje z olbrzymich, czarnych kłód nabijanych żelaznymi ćwiekami. Wzór ćwieków tworzył ochronny run w nie znanym Cymmerianinowi języku.

Conan wszedł do środka, posępnie odnotowując w pamięci, że kamienne mury mają dwadzieścia kroków grubości. Znalazł się w głównej komnacie gigantycznej twierdzy, całkowicie opustoszałej, jeśli nie liczyć starej kobiety z postronkowatymi, siwymi włosami. Starucha siedziała w kuchni na kolistym, kamiennym podwyższeniu i wpatrywała się w płomyki pełgające w misie wypełnionej węglami. Wiedział, że to Louhi, królowa mnichów-zabójców, uważających ją za żywe wcielenie bogini śmierci. Stukając obcasami po kamiennej posadzce, półnagi olbrzym przeszedł na środek gigantycznej komnaty i złożwszy ręce na piersi, śmiało stanął przed podwyższeniem.

W końcu wiedźma przeniosła spojrzenie z tłących się węgli na twarz Conana. Król Aquilonii poczuł się, jakby został spoliczkowany. Kapłanka była stara i chuda jak szczapa. Pod pobrużdżoną twarzą można było jednak odgadnąć niepospolitą osobowość.

–Thoth-Amon twierdzi, że powinnam cię zabić od razu, a przynajmniej skuć łańcuchami koniecznymi do unieruchomienia dziesięciu mężczyzn – odezwała się gardłowym głosem o metalicznym tonie.

–Chcę zobaczyć syna – warknął Conan. Na jego surowym obliczu nie pojawił się nawet cień lęku.

–Thoth-Amon twierdzi, że jesteś najniebezpieczniejszym człowiekiem na świecie – ciągnęła spokojnie wiedźma, nie zważając na słowa Conana. – Ja zaś uważam, że to Thoth-Amon jest groźniejszy niż ktokolwiek ze stąpających po ziemi. Dziwne. Naprawdę jesteś tak niebezpieczny?

–Chcę zobaczyć mojego syna – powtórzył Conan.

–Nie wyglądasz mi na groźnego – ciągnęła spokojnie Louhi. – Owszem, jesteś silny i nadzwyczaj wytrzymały. Nie wątpię, że jesteś także bardzo odważny, ale jesteś tylko człowiekiem. Nie pojmuję, co sprawia, że Thoth-Amon tak się ciebie lęka – zamyśliła się.

–Boi się, ponieważ wie, że z moich rąk czeka go zguba – odrzekł Conan. – Ciebie również, jeśli nie zabierzesz mnie do syna.

Pobrużdżona twarz Louhi zamarła. Świetliste, zielone oczy wpatrzyły się surowo w Conana. Odpowiedziało jej pełne tłumionej furii spojrzenie gorejących jak wulkan niebieskich oczu. Louhi popatrzyła na Cymmerianina jeszcze bardziej surowo, ale Conan nie opuścił wzroku. W końcu zielone oczy jako pierwsze spojrzwały w dół.

W odpowiedzi na nie wypowiedziany rozkaz, u boku Conana pojawił się nieludzko szczupły i nieprawdopodobnie wysoki mężczyzna o lnianych włosach, wystającej szczęce i mlecznej cerze. Wiedźma nie podnosiła wzroku. Gdy odezwała się, w jej chrapliwym głosie brzmiało nieco mniej spokoju i siły:

–Zabierz go do syna – powiedziała.

Księżę Conn był więziony w głębokiej, kamiennej studni ukrytej pod posadzką głównej sali. Conana opuszczono na dno na linie, którą natychmiast wciągnięto z powrotem.

Chłopiec siedział skulony na kłębie płótna pod ścianą. Gdy tylko rozpoznał w półnagim olbrzymie swojego ojca, rzucił mu się w ramiona. Conan w gwałtownym uścisku niemalże pogruchotał synowi kości. Mamrotał zjadliwe przekleństwa, by ukryć przepelniającą go tkliwość, nie przystającą królowi i mężczyźnie. Wypuściwszy chłopca z objęć, ujął go za barki, potrząsnął nim i obiecał mu chłostę, którą popamięta do końca życia, jeśli jeszcze kiedykolwiek zachowa się tak bezmyślnie. Groźne słowa zostały wypowiedziane rzeczowym tonem, ale po pokiereszowanych policzkach króla spłynęły dwie wielkie jak groch łzy.

W końcu odsunął chłopca od siebie na odległość wyciągniętego ramienia i bacznie mu się przyjrzał. Twarz księcia była blada, policzki zapadły się, jego, strój był brudny i podarty, jednak widać było, że nic mu się nie stało. Conn trzymał się dzielnie, choć miał za sobą przejścia, które doprowadziłyby do hysterii większość jego rówieśników. Conan uśmiechnął się i jeszcze raz serdecznie uściśnął chłopca.

–Ojciec, jest tu Thoth-Amon – wyszeptał Conn z podnieceniem.

–Wiem – mruknął Conan.

–Trzy noce temu wiedźma przywołała go czarami – ciągnął dalej podniecony chłopiec. – Powiesili dzikusa nad ogniem i poderżnęli mu gardło tak, że krew lała się na węgle! Wtedy stara czarownica sprawiła, że dym przybrał postać ducha Thoth-Amona, a potem zjawa stała się ciałem!

–O czym rozmawiali?

–Kiedy Thoth-Amon dowiedział się, że samotnie przemierzasz Pograniczne Królestwo, domagał się, żeby wiedźma zabiła cię przy pomocy swojej magii. Kiedy zapytała dlaczego, powiedział, że jesteś zbyt groźny, żeby cię pozostawić przy życiu. Bardzo długo się o to spierali. Conan przeciągnął dłonią po pokrytej szczecinań szczęce.

–Domyślasz się, dlaczego wiedźma nie chciała, żebym zginął?

–Myślę, że zależy jej, byśmy pozostali przy życiu, ponieważ w ten sposób może wpływać na Thoth-Amona – stwierdził chłopiec. – Knują coś wspólnie, przy pomocy mnóstwa czarnoksiężników z całego świata. Thoth-Amon jest o wiele potężniejszy i ważniejszy niż stara wiedźma, ale dopóki znajdujemy się w jej niewoli, on nie odważy się tu rządzić.

–Pewnie masz rację, synu – powiedział z namysłem Conan. – Czy udało ci się usłyszeć jeszcze coś o tym spisku? Przeciw komu jest skierowany?

–Przeciw królestwom Zachodu – odparł Conn. – Thoth-Amon przewodzi wszystkim czarownikom Południa, Khemu, Stygii, Kush, Zembabwei oraz królestw z dżungli. Razem stworzyli czarnoksiężską gildię i nazwali ją „Czarnym Pierścieniem”...

Conan drgnął i mimowolnie jęknął.

–Co jeszcze mówili o Czarnym Pierścieniu?

–Thoth-Amon jest najważniejszym przywódcą Czarnego Pierścienia – głos

chłopca stał się piskliwy z podniecenia. – Stara się zawrzeć przymierze z Białą Dłonią z Północy oraz Szkarłatnym Kręgiem, to ponoć jakieś stowarzyszenie z Dalekiego Wschodu.

Conan westchnął. Wiedział, czym jest Czarny Pierścień, starożytne bractwo zła. Wiedział o wynaturzonych czarnoksiężskich obrzędach odprawianych przez członków Pierścienia w nawiedzanych przez zjawy, stygijskich kryptach. Wiele lat temu Thoth-Amon był potężnym przełożonym tego zakonu, ale wypadł z łask, a jego miejsce zajął niejaki Thutothmes. Thutothmes jednak zmarł i wyglądało na to, że Thoth-Amon zajął swoje dawne miejsce jako głowa tysiącletniego bractwa czarnych magów. Żle wróżyło to kwitnącym królestwom Zachodu.

Conan rozmawiał z synem dopóty, dopóki nie dowiedział się wszystkiego, co chłopcu udało się podsłuchać. Wreszcie strudzony Conn usnął, złożony głowę na szerokiej piersi swojego ojca. Otoczywszy syna ramionami Cymmerianin czuwał. Wpatrywał się ponuro w ciemność i zastanawiał co przyniesie przyszłość.

ADEPCI CZARNEGO PIERŚCIENIA

Na krzesłach z czarnego drewna, stojących na podwyższeniu w wielkiej komnacie Pohioli, siedziało trzech mężczyzn i kobieta. Krzesła były rozstawione półokręgiem wokół wielkiej, miedzianej misy wypełnionej gorejącymi węglami.

Wokół twierdzy, przypominającej monstrualną jaskinię, szalała burza. Noże płomiennych błyskawic bezustannie cięły skłębione, czarne chmury. Zacinający deszcz chłostał wyniosłą, kamienną bryłę. Ziemia drżała pod ciosami gromów.

Wewnątrz twierdzy odgłosy burzy były tylko delikatnym szmerem. Wnętrze cytadeli pogrążone było w półmroku, a w zimnym powietrzu wisiała wilgoć. Czwooro zebranych siedziało w milczeniu. Panowało wśród nich złowieszcze napięcie. Coraz spoglądali na siebie spod zmrużonych powiek.

Z głębi ciemnego wnętrza przy akompaniamencie dźwięcznego echa gongu wyłonił się podwójny szereg odzianych na czarno sług Białej Dłoni. Pośród nich szerokością barów wyróżniała się majestatyczna sylwetka Conana. Naga pierś króla lśniła odbłyskami płomieni, jego twarz zastygła w nieodgadnionym wyrazie. U jego boku kroczył z wysoko podniesioną głową książe Conn. Mnisi doprowadzili ich do stóp podwyższenia.

Conan utkwiał gorejące spojrzenie niebieskich oczu w mężczyźnie odzianym w zieloną szatę. Czarnoksiężnik miał wygoloną głowę i ciemnomiedzianą karnację.

–Znów się spotykamy, cymmeriański psie – powiedział Thoth-Amon po aquilońsku z gardłowym akcentem.

Conan splunął. Nie zniżywszy się do odpowiedzi, powiódł wzrokiem po pozostałych osobach siedzących na podwyższeniu. Znał już hyperborejską królową-wiedźmę, jednak pozostałych dwóch mężczyzn było mu obcych. Pierwszy z nich, filigranowy, zniewieściały człowieczek o bursztynowej skórze odziany był w obszerne, okraszone klejnotami szaty. Jego mięsiste ramiona otaczały lśniące bransolety, chłodne, jasne oczy spoglądały bezdusznie jak ślepią węża.

–Oto boski Pra-Eun, Pan Szkarłatnego Kręgu, święty król – bóg otoczonego dżunglą Angkoru w najdalej na południowy wschód wysuniętej części świata – rzekł Thoth-Amon.

Conan nie odpowiadał, jednak niziutki Kambodżanin uśmiechnął się łaskawie.

–Potężny król Aquilonii i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi, aczkolwiek on mnie nie zna. Wyświadczył mi kiedyś arcyzacną przysługę – oznajmił wysokim, sepleniącym głosem.

–Obawiam się, że nie znam tej historii – przyznał Thoth-Amon.

Pra – Eun uśmiechnął się promiennie.

–I owszem! Kilka lat temu nasz gość położył kres życiu wspaniałego Yah-Chienga, być może słyszeliście o tym? Był to swego czasu najpotężniejszy kitajski czarownik. Jako naczelnik Szkarłatnego Kręgu był moim przełożonym i rywalem. Zatem winien jestem dług wdzięczności dzielnemu władcy Aquilonii. Gdyby nie on, nie byłbym dzisiaj władcą mojego bractwa! – Pra-Eun znów uśmiechnął się promiennie. Conan zauważył jednak, że uśmiech ten nie dociera do oczu Kambodżanina, pozostawały

one twarde i zimne jak ślepia żmii.

Koło niziutkiego króla-boga siedziała odziana w białe szaty Louhi, dalej zasiadł górujący nad nimi wszystkimi Murzyn o dzikim obliczu. Był wspaniałym przedstawicielem swojej rasy. Pod skórą namaszczonej oliwą ramion prężyły się mocarne mięśnie. W kędzierzawych włosach tkwiły pióra, a na rozłożysty tors zarzucona była lamparcia skóra. Szczerozłote bransolety okalały nadgarstki i ramiona. Rysy twarzy trwały w bezruchu. Jedynie w jego oczach widniało życie: płonęły w nich gorączkowe, czerwone ogniki.

–A oto wielki boccor, czyli król Nenaunir, prorok i arcykapłan Damballaha, tak jego lud w dalekim Zembab – wei zwie Seta – dokończył prezentację Thoth-Amon. – Jedno jego słowo wystarczy, aby krew i pożoga zalały wszystkie ziemie na południe od Kush.

Conan nie odpowiedział.

–Nie wygląda mi na groźnego, Stygijczyku – rzekł Nenaunir głębokim, daleko niosącym się głosem. – Dlaczego tak się go lękasz?

Rysy Thoth-Amona zabarwił brunatny rumieniec. Rozchylił usta, nim jednak zdążył się odezwać, stara kobieta wydała z siebie gardłowy śmiech.

–Zgadzam się z panem Zembabwei! – rzekła Louhi. – I dlatego zaplanowałam małą zabawę dla rozrywki moich gości. Kamoinen! – Zaklaskała.

Krąg mnichów rozstąpił się, pozwalając wystąpić jednemu z nich, o pociągłym obliczu barwy serwatki i bladoniebieskich oczach. W szczupłych palcach kościstej dłoni mnich trzymał czarną laskę długości niecałego sążnia. Na obu jej końcach znajdowały się nieco mniejsze od kurzego jaja kule z matowo połyskującego metalu. Przybyły skłonił się swej królowej.

–Rozkazuj mi, Awatarze! – powiedział beznamiętnym głosem.

Zielone oczy zapłonęły żywiej w pobrużdżonej twarzy wiedźmy i popatrzyły zjadliwie na Conana.

–Powal Cymmerianina na kolana – rzuciła chrapliwie Louhi. – Niech moi przyjaciele przekonają się, że Conana nie trzeba się bać!

Chudy, czarno odziany mężczyzna pokłonił się nisko, po czym zamachnął się gwałtownie zakończoną gałkami laską. Mierzył w Conana, jednak Cymmerianin uskokzył. Laska ze świstem przecięła powietrze przed jego twarzą, muskając przetykane siwizną włosy.

Dwóch przygarbionych mężczyzn zaczęło krążyć wokół siebie. Conan zaciskał i rozluźniał wielkie pięści. Wyniesiony z dzieciństwa barbarzyński instynkt podpowiadał mu, by rzucić się na chudego Hyperborejczyka i wgnieść go w ziemię jednym potężnym uderzeniem. Jednak doświadczenie nakazywało mu strzec się ciemnej, pozornie nieszkodliwej laski, którą przeciwnik wymachiwał z niezwykłą zręcznością.

Młody Conn, który pozostał wśród mnichów, przygryzał kłykcie. Nagle odjął rękę od ust i wykrzyknął kilka cymmeriańskich słów. W ponurym wnętrzu cytadeli rozbrzmiała seria śpiewnych samogłosek i twardych, gardłowych spółgłosek. Prócz jego ojca nikt spośród obecnych w komnacie nie znał tego języka.

Oczy Conana zwięzły się. Syn ostrzegł go, że mnisi potrafią uderzać laskami we wrażliwe sploty nerwowe paraliżując przeciwnika. W tym momencie Cymmerianin rzucił się na mnicha jak atakujący tygrys. Uniósł wysoko zaciśniętą pięść, jakby chciał szerokim ciosem zwalić przeciwnika z nóg. Laska błyskawicznie pomknęła w stronę łokcia króla Aquilonii.

W chwili gdy platynowa gałka prawie dotknęła prawego łokcia Conana, Cymmerianin wykonał raptowny zwrot i lewą ręką odtrącił laskę w bok. Srebrzysta kula musnęła lewe przedramię Conana. Przeszywający ból poraził mięśnie od nadgarstka po bark. Nie miało to jednak większego znaczenia. Conan zgrzytnął zębami z bólu i prawą pięścią zadał miażdżący cios. Nie zaprzestając ruchu, Cymmerianin schylił się, chwycił przeciwnika, nim ten zdążył upaść, wywinął nim młynka i cisnął tak, iż chudy mnich wpadł prosto w ogromną misę wypełnioną rozpalonymi węglami. Naczynie przewróciło się z ogłuszającym brzękiem, a węgle ognistym deszczem skąpały czwórkę zaskoczonych czarnoksiężników.

Louhi zaczęła krzyczeć, ponieważ jej szata zajęła się ogniem. Thoth-Amon, na którego twarz prysnęły gorejące węgle, zaryczał, starając się strzepnąć rozżarzone bryłki. Niezgrabnie usiłując uniknąć ognistego strumienia, filigranowy Kambodżańczyk przewrócił się do tyłu razem z krzesłem, wstając potknął o własne stopy i runął prosto w ogień.

W komnacie wybuchło zamieszanie. Krąg czarno odzianych strażników poszedł w rozsypkę. Było już jednak za późno. Conan rzucił się na nich, roztrącając jak kręgle. Walił olbrzymimi pięściami na lewo i prawo, za każdym ciosem gruchocząc czaszki, łamiąc szczęki i wybijając zęby.

Młody Conn również rzucił się do walki. Nie nadaremnie Conan uczył syna sztuki walki wręcz. W chwili gdy ojciec wdał się w walkę z pierwszym przeciwnikiem, Conn kopnął najbliższego mnicha w kostkę. Mężczyzna zatoczył się i padł, chłopak zaś kopnął go w głowę, po czym porwał drewniany zydel i zamachnął się nim na nadbiegającego, kolejnego sługę królowej-wiedźmy. W ciągu czasu potrzebnego na zacerpnięcie pięciu wdechów księciu udało się powalić czterech mnichów.

Na podwyższeniu miotał się wrzeszczący król-bóg Angkoru, którego twarz stanowiła spaloną maskę bólu. Wydając bojowy okrzyk, olbrzymi Murzyn poderwał krzesło i cisnął nim w Conana. Cymmerianin padł plackiem, a mebel przeleciał nad nim, roztrącając mnichów. Chwilę potem Conan wskoczył na podwyższenie, wyciągając ręce do gardła Thoth-Amona.

Drogę zagroziła mu jednak zataczająca się Louhi. Płomienie ogarnęły już całą jej szatę. Przerażliwy wrzask wiedźmy zagłuszał powstały zamęt. Conan uskoczył w bok, a odziana w ognistą szatę królowa stoczyła się z podwyższenia. W tej samej chwili Thoth-Amon użył czarów.

Całą komnatę zalał nagle oślepiający błysk szmaragdowego światła. Niesamowita poświata otoczyła Stygijczyka w chwili, gdy Conan pochylił się, by użyć tronu Louhi jako broni.

Cymmerianin nie zdążył uderzyć czarnoksiężnika. Kiedy rzucał fotelem, spowity w zieloną poświatę Thoth-Amon zniknął.

Conan obrócił się. Wszędzie panował chaos. Rozsypane węgle spowodowały, że pokrywająca podłogę słoma poczęła płonąć wydzielając gęsty dym. Po całej komnacie porozrzucone były ciała nieprzytomnych, martwych i okaleczonych przeciwników. Król ujrzał, jak jego syn wywija zydłem po drugiej stronie komnaty. Connowi udało się zadać rany pół tuzinowi mnichów, jednak następni zaczęli go już otaczać, potrząsając śmiercionośnymi laskami. Pozostali, wystawiając przed siebie czarnoksiężską broń, wbiegali po stopniach na podwyższenie, na którym stał Conan.

NOC KRWI I OGNI

Conan chwycił miedzianą misę. Oparzył sobie dłonie, ale cisnął gigantyczne naczynie w pierwszy szereg atakujących. Mnisi potoczyli się w tył, bezładnie wymachując rękami i nogami Conan obrócił się na czas, by dostrzec, jak olbrzymi Murzyn niknie w kolejnym, bezgłośnym rozbłysku zielonego światła. Najwidoczniej przy pomocy magii można było w jednej chwili pokonać ogromną odległość między mroźną Hyperboreą a porośniętym dżunglami Zembabwei. Bez wątpienia władcy czarnoksięskich bractw skorzystali z tej samej drogi, by dotrzeć do Pohioli.

–Cymmerianinie!

Coś w sepleniącym głosie sprawiło, że Conan znieruchomiał i odwrócił się w stronę przedstawiającego sobą żalosny widok Pra-Euna. Zdobione klejnotami szaty były ponadpalane i pokryte sadzą. Inkrustowana drogimi kamieniami korona spadła z głowy, obnażając wygoloną czaszkę. Na poły zwęgloną twarz pokrywały okropne pęcherze, lecz spod tej skwierczącej maski oczy czarnoksiężnika wpatrywały się w Cymmerianina z władczą mocą. Pra-Eun wyciągnął przed siebie poparzoną dłoń zdobną w migoczące pierścienie. Mimo okaleczenia z dygoczących palców wydobyły się białe promienie, szczelnie zamykając Conana w swoim kokonie.

Cymmerianin gwałtownie nabrał powietrza w płuca. Miał wrażenie, że został wrzucony w lodowate wody rwącej rzeki. Jego kończyny ogarnął paraliż.

Zacisnąwszy zęby, ze wszystkich sił starał się pokonać bezwład. Jego twarz nabrała z wysiłku sinoczarnej barwy, a oczy wyszły z orbit. Szybko jednak opuścili go siły. Znieruchomiał, nie będąc w stanie przełamać zaklęcia.

Przycupnięty wśród gorejących węgli Kambodżańczyk uśmiechnął się i natychmiast skrzywił z bólu wywołanego przez oparzenia. W zimnych, gadzich oczach czarnoksiężnika zabłysła piekielna uciecha. Powoli wyciągnął ramię na całą długość, mamrocząc przywołujące moc zaklęcia. Krzepkie serce Conana przeszył ból. Zaczęła go wciągać bezdenna ciemność.

Wtem rozległ się głuchy trzask i w skroni Pra-Euna utkwiał nacięty koniec bełtu. Pozostała część pocisku przeszła mózg Kambodżańczyka. Zimne, czarne oczy nabrały szklistego wyrazu w chwili, gdy uleciało z nich życie. Dreszcz przeniknął przykucniętą postać, po czym czarnoksiężnik zachwiał się i padł w przód. Czar przestał działać. Conan był wolny.

Król zachwiał się, wyprostował i oddychając głęboko czekał, aż życie wróci w jego odrętwiałe kończyny. Uniósł wzrok znad ciała zabitego Pra-Euna. W drugim końcu komnaty łowczy Euric opuszczał masywną kuszę. Trafienie skulonego czarownika znajdującego się po przeciwnej stronie sali pogrążonej w chybotliwym blasku stanowiło najryzykowniejszy strzał w jego życiu.

Za nim do komnaty wpadło kilkunastu odzianych w kolczugi rycerzy, a następnie setka rosłych gwardzistów w barwach Tanasulu.

Prospero dotarł z odsieczą.

Gdy świt rozpromienił niebo różową poświatą, Conan naciągnął na ramiona syna ciepły, wełniany płaszcz. Choć ręce miał obandażowane z powodu oparzeń od

miedzianej misy, sam posadził Conna na grzbiet konia jednego z gwardzistów. Długa noc krwi i ognia dobiegła końca. Rycerze Prospera przeczesali twierdzę, wybijając co do jednego sługi królowej-wiedźmy. Noc, w czasie której starto z powierzchni ziemi kult wyznawców śmierci władających północną krainą, należało uznać za szczęśliwą.

Conan obejrzał się. Przez wąskie, strzelnicze okienka twierdzy Pohioli widać było gorejące wewnątrz płomienie. Dach fortecy zaczął się już zapadać. Pod zwałami głazów pogrzebane zostały ciała Louhi i Pra-Euna. Czyż nie ostrzegwał wiedźmy przed jej przeznaczeniem?

Prospero pomknął jak wiatr do Tanasulu, w ciągu kilku godzin zorganizował zbrojną wyprawę i ruszył przez Gunderlandię i Pograniczne Królestwo z takim pośpiechem, jak gdyby gonilo go tysiąc diabłów. Dniami i nocami dręczeni obawą rycerze bezlitośnie poganiali konie. Los sprawił, że zdążyli w ostatnim momencie. Gdy pod osłoną burzy dotarli do twierdzy, na umocnieniach ani w oknach nie było nikogo, kto mógłby donieść o nadejściu odsieczy. Stało się tak dlatego, że Conan zajął uwagę pięćdziesięciu mnichów-zabójców i czwórki najpotężniejszych na Ziemi czarnoksiężników.

Zwodzona krata była podniesiona, nabijane zaś ćwiekami wielkie wrota otworzyły się za jednym dotknięciem. Słudzy Białej Dłoni zbyt gardzili zwykłymi śmiertelnikami i zbyt wielkie zaufanie pokładali w swej królowej, by zadać sobie trud zaryglowania wejścia.

Ziemią wstrząsnął grom, płomienie wzniosły się pod niebiosa. Wielka twierdza runęła za plecami zbrojnych. Nadszedł koniec Pohioli, lecz zawarte w niej zło miało przetrwać jeszcze tysiące lat w mitach i legendach.

Znużony podróżą i walką Prospero, w którego oczach gorzała jednak radość zwycięstwa, podjechał do Conana jadącego obok śpiącego na koniu chłopca. Oczy Cymmerianina zabłyśły.

–Pamiętałeś nawet, żeby przyprowadzić Czarnego Wodana! – uśmiechnął się i poklepał czule bok wielkiego wierzchowca, który cicho zarżał.

–Wracamy do domu, panie? – spytał Prospero.

–Owszem, do domu, do Tarancji! Mam po uszy i polowania, i bycia zwierzyną! Niech diabli wezmą te hyperborejskie mgły! Dostaję od nich zgagi – warknął Conan i powoli rozejrzał się dookoła.

–Coś się stało, panie?

–Właśnie pomyślałem... Nie masz przypadkiem trochę tego znakomitego, poitańskiego wina? O ile sobie przypominam, zostało go trochę po łowach? – Conan urwał i spieszył się, bowiem Prospero zaczął się śmiać tak, że aż łzy popłynęły mu po policzkach.

CZARNY SFINKS Z NEBTHU

1.

POŁAĆ CZASZEK

Noc zapadła niby hebanowa zasłona nad zdeptaną, przesiąkniętą krwią ziemią Zingary. Jak przez postrzępiony całun, zza lotnych poszarpanych mgieł zimna, biała czaszka księżycy spoglądała szyderczo na upiorny krajobraz. Pofalowana równina opadająca ku płytkiej rzece Alimane zasłana była skąpanymi w posoce zwłokami ludzi i koni. Setki martwych rycerzy i ich giermków spoczywały w kałużach krzepnącej krwi, na plecach bądź twarzami w dół. Zgasłe oczy spoglądały w wyszczerzone w uśmiechu szczęki szyderczego miesiąca. Koszmarne śmiechy hien odbijały się i wibrowały w znieruchomiałym powietrzu, towarzysząc odgłosom ich sutej uczt.

Ten surowy północno – wschodni kraniec Zingary był słabo zaludniony, resztki mieszkańców zaś zostały jeszcze bardziej przeredzone przez stulecia wojen i łupieżczych wypraw zza Alimane, z Poitanii. Panami tych stron stały się grasujące wilki i skradające się lamparty. Szeptano, iż widywano w tych stronach również na poły ludzkie stwory, snujące się zazwyczaj wśród wzgórz środkowej Zingary. Dzisiejsza ucztą była niewątpliwie wystarczająco obfita, by nasycić wszystkie ścierwojady.

Zingaranie zwali tę posępną krainę Połacią Czaszek. Nigdy dotąd ta nazwa nie była tak trafna, jak teraz. Nigdy dotąd tutejsza ziemia nie zakosztowała aż tyle gorącej krwi. Nigdy przedtem tak wielu rozsiekanych i przeszytych strzałami ludzi nie podążyło z lamentem do Piekła, zasławszy jałową równinę swoimi doczesnymi szczątkami.

Tu właśnie okrył się mrokiem śmiały, imperialny sen Pantho, księcia Guarralidu. Tu została utopiona we krwi jego wybujała ambicja. Skuszony nadzieją na opustoszały tron Zingary, Pantho postawił wszystko na jedną szalę. Poprowadziwszy kompanię śmiałków do Argos, obwołał się władcą jej zachodnich prowincji. Stary król Argos Milo i jego syn padli w walce.

Następnie książę Pantho niespodziewanie przeprowił się przez Alimane do słonecznej Poitanii. Podejrzewano, że postąpił tak, by zabezpieczyć sobie tyły przed atakiem na Kordawę, stolicę Zingary. Pozostało to jednak tylko domysłem, ponieważ Pantho, znalazłszy się na drugim brzegu Alimane, umilkł na zawsze, uciszony aquilońskim mieczem.

W południowych oberżach szeptano w świetle migoczących świec, że nieszczęsnym księciem zawładnął demon lub też jakiś czarnoksiężnik rzucił na Pantho odbierające rozum zaklęcie, zmuszając go do tej opętańczej wyprawy. Wszyscy wiedzieli bowiem, że poitańskie lamparty kryły się między łapami potężnego aquilońskiego lwa. Król Conan, władca najmożniejszego zachodniego królestwa, natychmiast rzucił swoje żelazne legiony, biorąc odwet za wtargnięcie w granice Poitanii.

Pierwsze starcie miało miejsce na zielonych poitańskich równinach. Źle przygotowany zingarański atak rozbił się jak przybrzeżna fala o niewzruszonych gunderlandzkich pikinierów, a strzały Bossończyków zebrały obfite żniwo wśród

zingarańskich rycerzy, przyszpilając hełmy do głów, a uda do końskich boków. Gdy Pantho wycofał swoją konnicę by przygotować drugie natarcie, Conan wydał rozkaz ataku własnej jeździe. W pierwszym szeregu runęły Czarne Smoki, osobista gwardia Conana. Sam Conan Wielki, wojownik, którego tysiące legend otaczało płaszczem nieśmiertelnej chwały, jechał na czele swych wojsk.

Zingarańczycy ugięli się i pierzchli w popłochu szlakiem, którym przyszli, z powrotem do Zingary. Nie nasyciło to jednak gniewu Conana. Cymmerianin rzucił swoją konnicę na drugą stronę Alimane, nakazując pieszym podążać za nią najszybciej jak można. Kilka mil na południe od rzeki, na posępnej Połaci Czaszek, Conan doścignął przerażonych Zingarańczyków i urządził im krwawą łaźnię. Większość zginęła, niektórzy zdołali się poddać. Nieliczni uciekli, by dać świadectwo klęsce. Mamiący sen Pantho utonął w szkarłatnym morzu.

Na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na opustoszałe, zasłane trupami pole bitwy, stał wielki namiot, nad którym powiewał czarny sztandar ze złotym lwem – godłem króla Conana. Wokół wzniesienia stały namioty znaczniejszej szlachty, między innymi jeden, zdobny w proporzec Poitanii. W jego wnętrzu stary hrabia Trocero w przerwach między kolejnymi haustami wina wyklinał medyków, opatrujących jego rany.

Reszta armii rozbiła obóz na równinie. Znużeni żołnierze chrapali otuleni kocami lub grzali się przy ogniskach. Rzucając kości decydowali o podziale łupów – inkrustowanych złotem tarcz, pierzastych hełmów i mieczy o głowicach ozdobionych migoczącymi klejnotami. Skoro świt mieli ruszyć w głąb Zingary, by osadzić na tronie podległego Aquilonii władcę, kończąc dynastyczne bezhołowie nękające ten kraj od wielu lat.

Przed królewskim namiotem stali żołnierze z gwardii Czarnych Smoków. Z obnażonymi mieczami w dłoniach strzegli snu swojego władcy. Conanowi jednak nie było dane spać tej nocy. W środku namiotu płonęły oliwne latarnie w obudowach z kutego żelaza. Pokryci bliznami dowódcy siedzieli lub stali wokół stolika, wykładanego kością słoniową z odległej Vendii. Sam król, pochyliwszy się nad mapami z szeleszczącego pergaminu, obmyślał plan marszu na następny dzień.

Conan już przez ponad pół wieku oglądał bitwy i rozlew krwi. Lata te pozostawiły swój ślad nawet na tak potężnym monarsze. Czas poprzetykał siwizną włosy prosto przyciętej grzywy. Przyprószył bielą obfity, sterczący nad górną wargą czarny wąs. Słońce obcych stron spaliło skórę króla na brunatny kolor, a lata trudów wyryły bruzdy pomiędzy licznymi bliznami odniesionymi w walkach i podbojach. W masywnych mięśniach wciąż jednak tkwiła niespożyta siła, odziedziczona po barbarzyńskich przodkach. Witalność nadal płonęła w głęboko osadzonych, gorejących jak wulkany niebieskich oczach, spozierających spod nachmurzonych, kruczonych brwi.

Przestępując z nogi na nogę, Conan przypatrywał się mapom i co jakiś czas domagał się nowej porcji wina. Ból z kilku drobnych ran trapił go mniej niż ugryzienie komara, choć delikatniejszy, cywilizowany mężczyzna, gdyby stracił tyle krwi co Cymmerianin, zapewne leżałby teraz i jęczał na łożu boleści. Gdy Conan rozmyślał i

naradzał się ze swoimi oficerami, jego giermkowie krzętałi się wokół niego, rozwiązując liczne rzemienie zbroi. W miarę jak zdejmowali ją płytę po płycie, medyk przemywał, namaszczał i opatrywał królewskie rany.

–Tę trzeba będzie szyć, panie – powiedział w pewnej chwili.

–Och! – stęknął Conan. – Rób, co do ciebie należy i nie zważaj na moje skargi.

Pallantidesie, którądy wieźie najkrótsza droga do Stygii?

–Tędy, panie – powiedział generał, przesuwając palcem po pergaminie.

–Rzeczywiście. Kiedyś uciekałem tedy przed czarami Xaltotuna... – Conan umilkł.

Potał brodę mocarną pięścią i zapałrzył się niewidzącym spojrzeńiem w czas i przestrzeń. Wspomnienie walki, którą stoczył półtora dziesiątka lat wcześniej z Xaltotunem, powstałym z martwych acherońskim czarnoksiężnikiem, sprawiło, że przez umysł króla przemknął cień podejrzenia.

Szaleńczy atak księcia Pantho był niepodobny do tego przebiegłego i zrównoważonego łowcy przygód. Jedynie głupiec lub obłąkaniec rzuciłby swoje siły przeciw najlojalniejszej i najbitniejszej prowincji państwa Conana. Król Aquilonii, który tego dnia skrzyżował ostrza z Pantho i jednym, potężnym ciosem rozszcpił mu czaszkę, nie sądził, by jego przeciwnik był głupcem bądź szaleńcem.

Podejrzewał, że za tą niedowarzoną wyprawą kryła się jakaś niewidzialna ręka, ukradkiem popychająca Pantho do działania. Cymmerianin czuł w tym czarnoksięski spisek...

PRZEZNACZENIE W BIELI

Dowódcą królewskiej straży był tej nocy niejaki Amric, łowca przygód z Koth, którego kilka lat wcześniej przyciągnęła do złotej Tarancji magia imienia Conana. Towarzysze z Czarnych Smoków zwali go „Amrikiem Bykiem”, ze względu na niewyrafinowany kunszt żołnierski połączony z szaleńczą odwagą w boju. Amric obdarzony był beczkowatą klatką piersiową i donośnym głosem. Podobnie jak wielu Kothyjczyków miał oliwkową skórę, a w jego żyłach płynęła domieszka shemickiej krwi, o czym świadczyła gęsta, kędzierzawa broda. Kiedy z mroku przed królewskim namiotem niespodziewanie wynurzył się niski mężczyzna w białych szatach, jedynie Amric zorientował się, kto to jest.

–Na ognie Molocha! – zaklął. – Toż to piktyjski druid, albo jestem eunuchem! – Wziął miecz w lewą dłoń, by prawą nakreślić w powietrzu ochronny znak.

Niski mężczyzna zaśmiał się i zatoczył. Amric stwierdził z osłupieniem, że druid jest pijany.

–Zdradziłeś się ze swoimi grzechami, Amriku z Khorshemish – powiedział przybysz.

Amric zaczął kląć soczyście, wyszczególniając przy tym intymne organy paru szacownych, wschodnich bogów-demonów, a jego czoło pokryło się potem. Pełniący straż gwardziści patrzyli nań ze zdumieniem, ponieważ nawet w największej bitewnej zawierusze nie widzieli, by ich kapitan okazywał strach. Z zaciekawieniem i podejrzliwością zerkali przy tym na niskiego przybysza.

Nie wyglądał na kogoś groźnego. Wiek średni miał już dawno za sobą, a prócz kilku kosmyków siwych włosów był łysy jak kolano. Wodniste, niebieskie oczy spoglądały z oblicza jakby pokrytego nadmiarem skóry. Wynurzające się spod szaty nogi były rachityczne jak u ptaka. W sumie zupełnie nie wyglądał na kogoś, czyjej obecności można było spodziewać się na polu bitwy.

–Wie, kim jesteś, Byku – powiedział basem jasnowłosy Vanr. – Czyżby jego niezamężna córka niespodziewanie powiła ciemnoskóre dziecko, czy też winien mu jesteś rachunek za wino, którego starczyłoby na napełnienie jeziora?

Pozostali wybuchnęli głośnym śmiechem. Amric milczał nachmurzony.

–Trzymajcie swoje niewyparzone języki za zębami, kmiotkowie z Pólnocy – burknął wreszcie, a potem zwrócił się do starca, który z łagodnym uśmiechem stał wsparty na swojej lasce. Amric uklonił się nisko i ściągnął z głowy hełm z grzebieniem w kształcie smoczego łba. – Co mogę dla ciebie uczynić, święty ojcze? – spytał z niezwykłą dla siebie uprzejmością.

Amric nauczył się postępować w ten sposób rok temu, kiedy służył w forcie na Bagnach Bossońskich. Miał okazję przekonać się wówczas jak wielką mocą władają odziani w białe szaty mężczyźni, noszący dębowe laski i zatknięte za pas złote sierpy. Byli to druidzi, kapłani z Ligurii. Liguryjczycy, rasa jasnoskórych barbarzyńców, mieszkających w niewielkich klanach w Kraju Piktów, dawno temu zmieszali się z niższymi, bardziej dzikimi i obdarzonymi ciemniejszą skórą Piktami. Krwiożerczy barbarzyńcy, – nie lękający się ludzi, zwierząt, bogów ani demonów, chylili jednak

czoła przed dostojnością druidów.

–Życzyłbym sobie ujrzeć waszego króla, a później trochę odpocząć – powiedział przybysz i dodał z godnością: – Jestem Diviatix, najwyższy druid Kraju Piktów. Przekaż, proszę, królowi Conanowi, że przybyłem z Wielkiego Gaju z wiadomością dla niego. Władcy Światła poruczyli mi przekazać swą wolę ich słudze Conanowi. Jego przeznaczenie znajduje się w moim ręku.

Amric Byk zadrżał, nakreślił na piersi znak Mitry i posłusznie oddalił się, by spełnić wolę Białego Druida.

Conan odesłał dowódców, kazał przynieść sobie gorącego wina z korzeniami i rozsiadł się wygodnie. Nie zważając na szczypanie zabandażowanych ran, słuchał uważnie chudonogiego posłańca z Kraju Piktów.

Króla Aquilonii mało obchodzili kapłani jakiegokolwiek boga. Zagadkowy Crom, naczelne bóstwo jego rodzinnej Cymmerii, okazywał całkowitą obojętność na dole i niedole ludzkości. Był to niezmienny zwyczaj Starszych Bogów, którzy ongiś dla czczego żartu ulepili z bryły błota Ziemię i cisnęli ją między gwiazdy, by później niemal całkowicie zapomnieć o jej istnieniu. Jednak podobnie jak Amric, Conan nieraz skrzyżował ostrze z dzikimi Piktami i nauczył się szacunku dla ich wojennego rzemiosła. Nawet ogarnięci bitewnym szałem, rośli wojownicy ze skutej lodami Północy nie byli w stanie długo stawić czoła nieludzkiej gwałtowności Piktów. Ich sąsiedzi i sprzymierzeńcy Liguryjczycy byli jedynie odrobinę bardziej cywilizowani. Co zaś tyczyło się tajemniczych liguryjskich czarowników – kapłanów, to Conan, który w czasie swojej długiej, krwawej wędrówki miał do czynienia z większością wiar i kultów świata, był zdania, że z nich wszystkich najbliżej oślepiającego płomienia Prawdy Ostatecznej znajdowali się właśnie ci spokojni, uśmiechnięci mężowie odziewający się w białe szaty i noszący na skroniach korony z liści dębu.

Nim Diviatix skończył mówić, Cymmerianin osuszył kilka kubków gęstego trunku. Conan słyszał wiele o tym kapłanie. Bogowie niejednokrotnie wyrażali swoją wolę ustami tego niepozornego, nie stroniącego od wina mężczyzny. Nawet krwiożerczy wódz konfederacji piktyjskich plemion, Dekanawatha Krwawy Topór, nie schylający czoła przed diabłami ani śmiertelnikami, bił korne pokłony przed swoim pałacem – szałasem, którego gliniane klepisko przesiąkło posoką niezliczonych wrogów, gdy tylko obok przechodził Diviatix.

Pierwszy spośród druidów przybył z Wielkiego Gaju w Nuawyddon na polecenie Pana Wielkiej Otchłani Nuadensa Argatlama o godle Srebrna Dłoń. Z woli Władców Stworzenia posępny Cymmerianin, którego wiele lat wcześniej bogowie ci natchnęli do opuszczenia rodzinnych stron, miał stanąć do walki ze Złem. Białemu Druidowi powierzono jako znak niewielką tabliczkę z bezimiennego kamienia. Mineraleń był gładki, ciężki i jarzył się jaskrawą purpurą, niczym wieże zapomnianej Valuzji. Conan znał ten kamień, chociaż nie odważono się o nim wspominać nawet w okutej żelazem Księdze ze Skelos.

Mijały godziny, odmierzane przez świecę z zaznaczonymi na niej w odpowiedniej odległości czarnymi kreskami, a Conan wciąż słuchał Białego Druida. Gdy księżyc zaszedł a świt pokrył szkarłatem wschodni nieboskłon, przybyła księżniczka Chabela

– dziedziczka tronu Zingary, córka nieżyjącego króla Ferdruga. Towarzyszył jej mąż, książę Olivero. Oboje mieli zamiar prosić króla Aquilonii o pomoc w odzyskaniu tronu. Conan jednak kazał im czekać przed swoim namiotem, a sam ciągle wypytywał małego człowieczka w białych szatach.

Wraz z nadejściem poranka zagrały trąbki. Zwinięto namioty i aquilońscy rycerze wsiedli na koń. Conan rozstrzygnął problem sukcesji zingarańskiego tronu między jednym a drugim kubkiem wina. Księżniczkę Chabelę poznał dwadzieścia lat wcześniej, gdy była hożą dziewczyną, on zaś kapitanem okrętu korsarskiego. Conan ocalił wówczas życie i tron króla Ferdruga przed niecnymi zakusami stygijskiego mistrza czarnej magii Thoth-Amona.

W ciągu lat, które upłynęły, Chabela przybrała na wadze. Choć teraz była pulchną matroną, nie straciła jeszcze dawnej urody. Siwiejący Cymmerianin ucałował ją serdecznie i zapytał, jak się miewa jej jedenaścioro dzieci. Nie zadał sobie jednak trudu, by wysłuchać relacji o ich dolegliwościach i szybkości z jaką rosną. Poleciał stroskanemu małżonkowi Chabeli uklęknąć, uderzył go płazem miecza po obydwu ramionach i odebrał od niego przysięgę lenną. Następnie kazał sporządzić edykt obwieszczający, że Olivero i Chabela są prawowitymi władcami Zingary pod protektorem Aquilonii. Wyznaczywszy im eskortę złożoną z aquilońskich rycerzy, Conan odesłał królewską parę do Kordawy. Potem Cymmerianin stłumił potężne ziewnięcie i wsiadł na swojego czarnego ogiera.

Dziesięć tysięcy jeźdźców i pieszych ruszyło pod sztandarem Lwa na południowy wschód, ku granicy z Argos i dalej do Stygii...

MARSZ NAD STYKS

Maszerowali na południowy wschód dziesięciogodzinnymi etapami. Równy krok aquilońskich piechurów szybko pożerał mile. Armia Cymmerianina przekroczyła granicę Argos zanim jego mieszkańcy dowiedzieli się, że księżę Pantho nie żyje. Conan zawiadomił Ariostra – młodszego syna króla Milo, usiłującego na południu kraju zebrać rozproszone wojska, że zingarańskie niebezpieczeństwo zostało zażegnane i nic nie przeszkadza, by młody księżę obwołał się królem Argos. Król Conan zaznaczył jednak, iż uznałby za dowód przyjaźni nowego monarchy, gdyby Ariostro zezwolił aquilońskim wojskom na przemarsz przez jego królestwo do Stygii.

Następnie Conan rozesłał heroldów z czarno-złotymi proporcami do królów będących jego wasalami – Ludwika Ofirskiego i Balardusa z Koth, nakazując każdemu z nich przysłać „wsparcia w postaci dwóch tysięcy pieszych i konnych żołnierzy. Siły te miały dołączyć do Aquilończyków nad brodem przez Styks w Bubastes, między zielonymi łąkami Shemu i płowymi piaskami Stygii.

Nie szczędząc sił, Conan i jego armia posuwali się w ponurym milczeniu mila za milą na południowy wschód. Towarzyszył im niepozorny druid jadący na ciągniętym przez muły rozklekotanym wózku. Conan nie powiedział nikomu, dlaczego odesłał swojego głównego herolda z powrotem do Tarancji w asyście niewielkiego oddziału lekkiej jazdy. Królewscy wodzowie wiedzieli, że nie należy o nic wypytywać Cymmerianina, gdy znajduje się on w tak posępnym nastroju.

Armia Conana wkroczyła do Shem jak stalowa trąba powietrzna i forsownym marszem przemierzyła to państwo w ciągu piętnastu dni. Od czasu do czasu mijano shemickie miasta, które zamykały się za wzniesionymi zwodzonymi mostami i zaryglowanymi bramami, obsadzając mury gotowymi do walki łucznikami. Conan ze swej strony słał do każdego z shemickich królewiatek posłańców z uspokajającymi zapewnieniami. Towarzyszył im Trocero, stary mistrz dyplomacji o srebrnym języku, kojąc temperamenty wzburzone niespodziewaną wizytą. Wyjaśniał władcom każdego miasta – państwa, iż aquilońskiej armii zależy jedynie na przemarszu, za łaskawym pozwoleniem – a choćby i bez niego – shemickich książąt. Wypłacano przy symboliczny trybut w aquilońskim srebrze. Na ciężkiej monecie widniał nachmurzony, toporny profil króla Conana. Uspokojeni książęta, których nastroszone peramenty łagodziła miódopłynna wymowa hrabiego Trocero, z łaskawszą miną zezwalali na przemarsz aquilońskichwojsk.

Oczywiście armia i tak przeprawiłaby się przez Shem, Conan wołał jednak, w miarę możliwości, działać bez użycia przemocy. By uniknąć zadrażnień, Cymmerianin pilnował, by wojsko przestrzegało regulaminu, zakazującego gwałtów i kradzieży. Kilku żołnierzy, którzy oderwali się od kolumny, by ścigać w krzakach ciemnookie, shemickie dziewczki i wzbogacić racje żywnościowe o tłustą świnie jakiegoś chłopca, natychmiast powieszono na oczach ich kamratów. Krew burzyła się w królu Aquilonii, gdy zatwierdzał wyroki śmierci, bowiem jako młody najemnik wielokrotnie dopuszczał się takich samych wykroczeń. Prawo było jednak prawem. Ostatnią rzeczą, na której zależało Conanowi przed wkroczeniem do złowieszczej Stygii, było pozostawienie za

sobą wzburzonego kraju, pełnego rozjuszonych drobnych monarchów i mściwych żołnierzy. Shemickie miasta-państwa zwykle nie niepokoiły swoich sąsiadów, pogrążone w wewnętrznych sporach o sukcesję książęcych tronów i teologicznych dysputach, jednak przemarsz obcej, mordującej i łupiącej armii mógłby sprawić, że całe państwo zjednoczyłoby się przeciwko niej. Conan walczył wcześniej zarówno po stronie Shemitów oraz przeciwko nim i wiedział, że ci garbatonosi, czarnobrodzi, odziani w kolczugi wojownicy potrafią w razie potrzeby stać się najtwardszymi i najzawziętymi żołnierzami na świecie.

Któregoś popołudnia, gdy wszystkich już dosięgło znużenie, dotarto nad brzeg Styksu. Bród Bubastes leżał pół godziny drogi dalej. Armia zatrzymała się na półtora dnia, by dać wytchnienie ludziom i koniom oraz możliwość dołączenia wojskom Koth i Ophiru.

Następnego ranka na spienionym koniu, na czele niewielkiej grupy żołnierzy, wjechał do obozu książę Conn, starszy z dwóch prawowitych synów Conana. Trzynastoletni młodzieniec stanowił już wykapane podobieństwo ojca. Prawie tak wysoki jak zwalisci aquilońscy rycerze, obdarzony był przypominającymi ojca szerokimi barami, masywną klatką piersiową, równo przystrzyżoną grzywą czarnych włosów i kwadratową twarzą o zdecydowanych rysach.

Chłopiec przejechał przez Shem w ciągu sześciu dni i wydawało się, że był to dla niego drobiazg nie większy niż popołudniowa przejażdżka. Wjechał do obozu na wielkim wałachu, odpowiadając na powitalne okrzyki szerokim uśmiechem i machaniem ręką. Młodzieniec był ulubieńcem żołnierzy. Czarne Smoki ruszyłyby za nim w paszczę Pieła z równą ochotą jak za jego ojcem.

Książę ściągnął wodze i zatrzymał się przed królewskim namiotem. Zeskoczył z siodła i z uśmiechem przyklęknął przed monarchą. Conan, chociaż pękał z dumy i wzruszenia, zachował poważny wyraz oblicza. Skinieniem głowy odpowiedział na powitanie księcia, lecz gdy tylko znaleźli się w namiocie, zamknął chłopca w niedźwiedzim uścisku, który zgruchotałby żebra słabszego młodzieńca.

–Jak się miewa twoja matka? – spytał zaraz potem.

–Dobrze – odrzekł Conn i dodał z przekornym uśmiechem: – Krzyczała i jęczała jak ranny bawół, gdy dowiedziała się, że chcesz, bym dołączył do ciebie w polu. Na koniec powiedziała, żebym ciepło okrywał się w nocy i nie przemoczył nóg.

–A czego innego można spodziewać się po zacnej kobiecie? – mruknął Conan. – Przypominam sobie, jak moja matka kiedyś w Cymmerii... Ale nie powinieneś porównywać swojej matki do bawoła, chłopcze! To brak szacunku!,

–Tak, panie – powiedział Conn ze skrucą. Za moment w jego oczach zamigotały filuterne ogniki. – Czy rzeczywiście przepławiamy się do Stygii, ojcze? Naprawdę chcesz, żebym towarzyszył ci w bitwie?

–Na Croma, chłopcze! Jak możesz nauczyć się sztuki wojowania, jeśli nie zobaczysz pola bitwy? Kiedy obejmiesz tron, będziesz musiał go strzec w czasach wojen i rebelii. Bardzo dobrze, że ćwiczysz w koszarach, ale szkołą przyszłych królów powinno być pole walki. Pamiętaj jednak, że masz trzymać się miejsca w szyku, które ci wyznaczę, i nie wolno ci samotnie nacierać na nieprzyjaciela ani

starać się go otoczyć w pojedynkę! Teraz powiedz mi, jak miewają się twój brat i siostra?

Conn opowiedział o psotach siedmioletniego Taurusa oraz o uczącej się stawiać pierwsze kroki Radegundzie.

–Dobrze – rzekł na koniec Conan. – Czy przybyli z tobą kapłani, jak rozkazałem?

–Tak. Zabrali też dziwną szkatułkę z onchalku, pokrytą osobliwymi glifami. Nie chcieli mi powiedzieć, co jest w środku. Ty wiesz, ojczy?

Conan skinął głową.

–To nasza tajemna broń. A teraz czas na solidny posiłek i krzepiący sen. Skoro świt przeprawiamy się do Stygii!

PRZEZ RZEKĘ ŚMIERCI

Ciemne, płynące gładko i cicho wody Styksu stanowiły granicę między Shem i Stygią. Niektórzy zwali Styks Rzeką Śmierci, twierdząc, że opary wznoszące się z nad przybrzeżnych trzęsawisk są trujące. Inni głosili, że mętne wody tej rzeki są wrogię życiu pod wszelką postacią, że nie pływają w nich żadne ryby ani inne stworzenia. To ostatnie nie było prawdą, ponieważ nocą wzdłuż rzecznych brzegów słychać było chrapliwe pomruki krokodyli i grzmiące porykiwania masywnych hipopotamów. Było jednak pewne, że ciemne wody są nieprzyjazne człowiekowi. Zbyt długo kąpiących się w Styksie wkrótce powalała wyniszczająca, nieuleczalna choroba.

Nikt nie wiedział, gdzie znajdują się źródła Styksu. Brał on początek gdzieś daleko na południu wśród płowych stygijskich piasków lub w porośniętych dżunglą ziemiach pomiędzy Keshan i Punt. Niektórzy szeptali, że wypływa on prosto z Piekła i snuje się jak czarny wąż przez zamieszkane przez ludzi krainy.

Wojska Conana ruszyły, nim świt zabarwił szkarłatem wschodni nieboskłon. Sam król na wielkim, karym koniu poprowadził przeprawę przez bród Bubastes na niski, porośnięty trzcinami, stygijski brzeg. Stał tam na poły zrujnowany fort z kruszących się cegieł z nie wypalanej gliny. Kiedyś była to strażnica przeprawy, lecz nie odbudowano jej po niepokojach, które kilka lat temu ogarnęły mroczne królestwo demonów i piramid. Stygijczykom wystarczało, że przed obcymi strzegą ich podążające w tę i z powrotem wzdłuż brzegu oddziałki lekkiej jazdy. Tym razem jednak nigdzie nie było ich widać.

Za strażnicą rozpościerały się kołysane delikatnym powiewem wiatru pola żółtej pszenicy i prosa. Pół mili dalej widać było ledwie wyłaniającą się z płowego tła, niewielką wioskę z chatynek z pokrytej gliną trzciny. Jak okiem sięgnąć na wznoszącym się stopniowo, pofałdowanym terenie, palmy i pola uprawne ustępowały miejsca kępom krzewów wielbłądziego ciernia i innym pustynnym roślinom.

Conan, mając po bokach dowódcę Czarnych Smoków, swego namiestnika Pallantidesa oraz Trocera, wjechał na stok pobliskiego pagórka. Obserwował z powagą, jak kolejne kompanie aquilońskich wojsk przekraczają bród. Kapitanowie sprawnie rozstawiali je na stygijskim brzegu. Żołnierze zdejmowali rynsztunek i ubrania i płukali je w czystej wodzie. Tak rozkazał król. Ludzie szemrali, gdy dowiedzieli się o tym osobliwym poleceniu, lecz był to konieczny środek ostrożności, chroniący przed zarazą czyhającą w ciemnych wodach Rzeki Śmierci.

Równocześnie kilka setek lekkiej jazdy krążyło po okolicy, wypatrując wroga. Siedzący nie opodal Conana hrabia Trocero przygryzał węża, aż w końcu ośmielił się zapytać:

–Panie, czy nie czas, byś podzielił się z nami swoimi myślami?

Conan skinął głową.

–Owszem, mój druhu. Wystarczająco długo zachowywałem przed wami tajemnicę.

–Właśnie! Dlaczego, na Mitrę, wkroczyliśmy do tej przeklętej Stygii? – zapytał

Pallantides.

Dosiadający swojego wałacha Conn pilnie nadstawił uszu.

–Chodzi o Thoth-Amona, prawda? – wykrzyknął. – Tego, który w zeszłym roku skłonił starą wiedźmę z Pohioli, by mnie porwała?!

–Jest tylko jeden Thoth-Amon – powiedział zamyślony Conan. – Crom wie, że Ziemia odetchnie bez niego. Biały Druid ostrzegł mnie przed jego knowaniami.

–Chodzi ci, panie, o tego krzywonogiego, starego opoja, Diviatixa?

–Ten krzywonogi, stary opój to największy żyjący biały mag – odparł Conan.

Trocero przełknął ślinę i zadrżał, przypominając sobie, jak dwa dni temu zrugął zataczającego się starego pijusa za pałętanie się pod nogami. Conan ciągnął ponuro:

–Wyrocznia Wielkiego Gaju w Kraju Piktów orzekła, że za szaleńczą wyprawą Pantho stał właśnie stygijski czarownik. Thoth-Amon przekupił Pantho albo przy pomocy sztuk czarnoksięskich owładnął jego umysłem.

–Ale w jakim celu? – spytał Trocero.

Pallantides zjechał ze wzgórza, by wydać żołnierzom rozkaz tworzenia kolumny marszowej. Conan mówił dalej:

–Zrobił to dla odwrócenia uwagi, aby wywabić mnie z Tarancji. Stygijczyk wiedział, że ruszę, by przyłączyć się do ciebie przeciwko Zingarańczykom. Miał nadzieję, że przez kilka tygodni Pantho będzie bawił się ze mną w kotka i myszkę wśród wzgórz Poitain, że tak zajmie moją uwagę, iż nie będę miał czasu myśleć o Tarancji.

–O Tarancji? Chyba nie chodziło mu o królową?

–Spokojnie, przyjacielu. Zenobia i dzieci są bezpieczne. Jest jednak w Tarancji coś, czego Thoth-Amon pożąda najbardziej na świecie, na czym zależy mu nawet bardziej niż na mojej śmierci. Miał nadzieję, że dostanie to podczas mojej nieobecności. Najął najzręczniejszych złodziei z Arenjun, aby tę rzecz wykraść. Thoth-Amon jednak przeliczył się. Nie sądził, że tak szybko pokonam Pantho, ani że wyrocznia z Nuawyddan wyśle Białego Druida, by ujawnił mi jego podstęp. Nie wiedział również, że wiosenne deszcze spowodowały lawiny, które zamknęły górskie przełęcze za Zamorą, co o przeszło tydzień opóźniło przybycie złodziei i zrujnowało jego plany. Stygijczyk sądzi, że wciąż jestem na północy, ścigając Pantho po wzgórzach Poitain. Ponieważ nie spodziewa się, że wiem o jego planie, nie może podejrzewać, że jest inaczej. Biały Druid sprawił, że nasz przemarsz przez Shem był ukryty przed jasnowidzeniem Thoth-Amona, a my szliśmy równie szybko jak posłańcy z wieściami. Przy odrobinie szczęścia zastukamy do jego bram, zanim wpadnie mu do głowy, że możemy być w odległości mniejszej niż sto mil.

–A na czym to tak rozpaczliwie mu zależy? – spytał Trocero.

–Wiem, hrabio! – wykrzyknął chłopiec. – To... W tym momencie wrócił Pallantides.

–Tabory przekroczyły przeprawę, panie – zameldował stary wódz. – Ludzie są gotowi do marszu.

Conan skinął głową.

–Daj znak do wymarszu. Idziemy trzy mile na wschód wzdłuż rzeki, aż dotrzemy do małego dopływu, Bakhru. Potem skręcamy na południe... – Conan popatrzył w głąb nawiedzanej Stygii, pogrążonej w czerwonym blasku świtu. – Po dwakroć w

ciągu dwóch lat, w tym kraju przedwiecznych grobowców i zdradzieckich piasków wzięły początek spisek godzący w mój tron. Tym razem poniosę walkę za próg domostwa mojego wroga. Będzie próbował pozbawić nas życia czarami, ale nie sądzę, żeby mu się to udało. Bogowie Światła stoją po naszej stronie. Czy padnę, czy zwyciężę, dopadnę Thoth-Amona w jego legowisku. Zobaczymy, czy starczy mu czarnoksięskich umiejętności by rozsypać swoje flaki, gdy je zawinę na dobrej aquilońskiej stali!

Zatrąbiły sygnałówki. Conan i jego towarzysze zjechali ze wzgórza, by dołączyć do reszty wojska.

MIASTO GROBOWCÓW

Zdawało się, że nad Stygią wisi przekleństwo. Im głębiej aquilońscy wojownicy zapuszczali się w tę krainę, tym wyraźniej to odczuwali. Zagrożenie było równie nieokreślone jak «szyderyczy szept nocnego wiatru, jak pomruki zbyt ciche, by dały się zrozumieć. Lekkie, szemrzące powiewy prześlizgiwały się wśród wydm i potrzasały liśćmi palm. Żołnierze mieli nieodparte wrażenie, że cały czas wpatrują się w nich niewidzialne oczy. Słońce paliło niemiłosiernie zza cienkiej zasłony białych, skłębionych obłoków, a wysuszone powietrze przyprawiało maszerujących o nieustanne pragnienie.

Minęli drugą wioskę – bezładne skupisko niskich chatynek z wypłowiałego błota, których mieszkańcy pierzchnęli z dzikimi okrzykami na pierwszy widok zakutych w zbroje wojowników. Bakhr okazał się wąskim, błotnistym potokiem. Gdy wojsko zbliżało się do niego, nieliczne monstrualne krokodyły wślizgiwały się ociężałe pod wodę.

Aquilońska armia skręciła na południe. Niespokojni żołnierze poczęli dotykać amuletów, recytowali litanie i mamrotali mantry. Mimo to szli coraz dalej w głąb nawiedzanej przez demony Stygii.

Książę Conn rzucił okiem na słońce i zmusił konia do szybszego kroku, by zrównać się z królem.

–Ojczy, jedziemy przecież prosto na południe? – zapytał, a Conan mruknął twierdząco. – Ale zawsze mówiono mi – ciągnął chłopiec – że Thoth-Amon mieszka w oazie o nazwie Khajar, daleko na zachód stąd!

–To dobrze, że twoi nauczyciele przynajmniej wbili ci do głowy umiejętność czytania map. – Conan wzruszył ramionami. – Thoth-Amon nie mieszka już w tym gnieździe nieprawości. Teraz za siedzibę obrał Nebthu.

–Nebthu?

–Zrujnowane miasto na południu. Wkrótce do niego dotrzemy. Dwa dziesiątki lat temu Thoth-Amon doszedł do władzy w tej krainie i stał się księciem Czarnego Pierścienia – gildii czarnoksiężników, obejmującej swymi wpływami cały świat. Ostatnio przeniósł się ze swojego legowiska na zachodzie do Nebthu, by łatwiej władać tym piekielnym zakonem. Jednak przed kilku laty Thoth-Amon stracił swój magiczny pierścień mocy, za co został wygnany. Potem schwytali go handlarze niewolników i sprzedali w Aquilonii.

–Czy to on rozkazał demonowi zabić cię, a ciebie ocalił jedynie znak feniksa na mieczu?

–Owszem. Zrządzeniem losu Thoth-Amonowi udało się odzyskać wolność i pierścień oraz powrócić do Khajaru. Tymczasem władzę nad Czarnym Pierścieniem przejął jego rywal, Thuthomes, który przeniósł siedzibę zakonu do Khemi. Thuthomes opierał swoje rządy na potędze talizmanu nazywanego Sercem Arymana. Przez jakiś czas Czarny Pierścień był podzielony na dwa odłamy: Thuthomesa i Thoth-Amona. Ich siły były wyrównane, Thuthomes jednak zginął w walce z grupą chińskich czarowników wysłanych, aby mnie zabić. Chińczycy również zginęli, a ja

zabrałem Serce Arymana do Tarancji. Teraz jednak Thoth-Amonowi udało się ponownie odzyskać panowanie nad Czarnym Pierścieniem i stworzyć stowarzyszenie czarnych magów z całego świata pod swoim przewodnictwem. Wyrocznia przekazała mi, że Thoth-Amon znajduje się teraz w Nebthu.

Zamyślony Conn pokiwał głową. Hrabia Trocero, przysłuchujący się temu uważnie, zapytał:

–Czy miasto jest dobrze strzeżone?

Conan wzruszył ramionami.

–Mitra jeden wie. Według ostatnich plotek, które do mnie doszły, zostało porzucone i popadło w ruinę. Być może czarnoksiężnicy odbudowali je i załatali mury. Choćby jednak tak było, jestem pewny, że przy pomocy czterestu tysięcy mieczy uda się nam wedrzeć do środka.

–Myślę, że tak właśnie powinniśmy uczynić – rozległ się przenikliwy głos druida, który podjechał do nich na ciągniętym przez muły wózku.

Trocero obrócił się w siodle i popatrzył na filigranowego staruszka, który jak zwykle wydawał się być pijany. Hrabia zmusił się do uprzejmego uśmiechu i mruknął:

–Ta pusta, przekłeta kraina wcale mi się nie podoba.

Conan nie odpowiedział. Dalej jechali w milczeniu.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy do kolumny dołączyli wysłani naprzód zwiadowcy. Zameldowali, że Nebthu jest całkowicie wymarłe.

Niedługo potem ruiny znalazły się w zasięgu wzroku. Potężny, okalający miasto mur zawalił się w wielu miejscach. Ocalały jedynie wielkie kolumny wspierające bramę miejską. Pokrywały je płaskorzeźby przedstawiające szyderczo uśmiechnięte demony ruchomych piasków. Prócz paru ptaków, które poderwały się z ruin i kołując odleciały, nie było widać ani znaku życia, nawet jednego pasma dymu. Dachy pozapadały się, a zrujnowane gmachy stanowiły jedynie sterty kruszących się, glinianych cegieł.

Koń Conana potrącił okrągły, biały kamień, leżący pośrodku drogi. Ten uderzony końskim kopytem potoczył się kawałek i w górę spojrzwały czarne otwory. Okazało się, że to czaszka, odpowiedni herb dla Nebthu – grodu niezliczonych grobowców. Na ulicach panował zupełny bezruch, jeśli nie liczyć pierzchających skorpionów, żmij piaskowych, a może snujących się duchów dawno temu pogrzebanych stygijskich królów.

–I co teraz? – spytał półgłosem poitański hrabia.

–Rozbijcie obóz – mruknął król. – Potem zobaczymy.

Rzeźbiona czaszka przyglądała się im z szyderczym uśmiechem.

6. MIESZKANIEC PUSTYNI

Obóz rozbito za murami wymarłego miasta. Conan wiedział, że żołnierze nie będą spali spokojnie na pokrytych gruzem placach stygijskiej metropolii. W starożytnych ruinach „często trwały rozmaite pozostałości czarów. Odnosiło się to szczególnie do Stygii obciążonej nie odwoływanyymi od stuleci klątwami.

W czasie gdy wyznaczona grupa żołnierzy ciąła na brzegu Bakhru naręcza młodej trzciny na strawę dla koni, inny oddział objechał szybko połączoną przylegającą do Nebthu pustyni. Ich dowódca powrócił z meldunkiem, że wśród wydm nie widać żadnego ruchu. Na pustkowiu natrafiono jednak na coś godnego uwagi. Był to gigantyczny pomnik. Podczas gdy w obozowisku rozpalono ogniska by przygotować wieczorny posiłek, Conan wyprawił się z niewielką świtą, żeby sprawdzić, co to takiego. Gdy zbliżyli się do rzeźbionego w kamieniu potwora, wielki, kary koń Cymmerianina zadrżał i położył uszy po sobie.

–Na Croma, Mitrę i Varunę! – wykrzyknął Conan, utkwivszy spojrzenie w kamiennym tytanie, wznoszącym się przed nimi na tle purpurowego zmierzchu. Trocero zaklął, Biały Druid zaś przywołał imiona Nuadensau, Danu i Epony oraz dla kurażu zaczerpnął solidny łyk wina.

Statua czaiła się na pustkowiu jak jakiś przedwieczny potwór. Wykonano ją z gładkiego, połyskliwego, czarnego kamienia, przywodzącego na myśl gagat, onyks lub bazalt. Przypominała sfinksa, lecz jej głowa nie była ani ludzka, ani lwia, lecz należała do drapieżnika o długiej czaszce, okrągłych uszach i masywnych szczękach. Trwała przycupnięta na tylnych łapach, jak wygłodniały szakal.

–Myślałem, że wszyscy magowie tego piekielnego kraju czcili Starego Węża Seta – powiedział Trocero. – Cóż to za piekielny pomiot?

Diviatix przetarł oczy.

–Na rogi Cerunnosa, to monstrualna hiena Chaosu – powiedział. – Nie sądziłem, że ludzkie ręce kiedykolwiek sporządziły jej podobiznę.

Przyjrząwszy się dokładnie kamiennej hienie, Conan stwierdził, że nieznanym rzeźbiarzom udało się uzyskać niezwykle realistyczny efekt. Obwisłe wargi bestii były nieco ściągnięte, odsłaniając tępe kły, zdolne do kruszenia młyńskich kamieni. Zdawało się, że lada chwila zwierze zerwie się z półprzysiadu i rzuci na nich, tocząc pianę i zgrzytając zębami. Włosy na karku Conana zjeżyły się, złowieszcze przeczucie skuło mu żyły mrozem.

–Wracajmy – mruknął król. – Inaczej to czarne szkaradzieństwo przyśni nam się dziś w nocy.

Blaski zachodu zgasły ostatecznie, mrok spowił stygijskie piaski. Księżyc w pierwszej kwadrze podążył szybko śladem słońca, ustępując pola niezliczonemu mnóstwu rozmigotanych czerwonych, błękitnych i białych gwiazd.

Na pustyni dookoła ruin Nebthu rozkwitło miasto namiotów. Płonące ogniska rzucały na śniady piasek dodające otuchy pomarańczowe błyski. Posępni żołnierze spożyli posiłek i owinięci w koce pokładli się, pogrążając w niespokojnym śnie. Wartownicy, w zdwojonej liczbie, czujnie patrolowali skraj obozu. Pustynna noc nie była pusta, ciemna i cicha, ale żywa i wyczekująca.

Znużony całym dniem forsownego marszu Conan był jednak zbyt niespokojny, by zasnąć. Po północy wstał i krzyknął na giermka, by przyniósł olejną lampkę. Nalał sobie miarkę wina i usiadł na składanym stołku. Wszystkie nerwy wibrowały mu jak potrącone struny. Barbarzyński instynkt ostrzegał przed niewidzialnym niebezpieczeństwem.

W końcu Cymmerianin zmełł w ustach przekleństwo i nałożył bryczesy oraz pikowany hakieton.

–Zbroję! – rzucił giermkowi. – Nie, nie napierśnik, wystarczy kolczuga. Ruszamy pieszo.

Nie zadał sobie trudu założenia całego rycerskiego rynsztunku, gdyż zawiązanie wszystkich rzemieni zabrałoby giermkom zbyt wiele czasu, a poza tym znaczna waga zbroi zbyt ciężałaby w marszu. Zadowolwszy się kolczugą, hełmem, butami i mieczem, Conan przystanął na chwilę, namyślając się, po czym otworzył okutą kasetę i wyjął z niej szkatułkę z orichalku, którą kapłani Mitry przywieźli z Tarancji.

Wyszedłszy z namiotu, Conan zbudził śpiących w sąsiednich namiotach Trocera i Conna, a następnie podążył do Białego Druida. Stwierdził jednak, że staruszek nie śpi. Opatulony w koc, Diviatix dygotał, chociaż siedział tuż przed ogniskiem. Wydawało się, że jest odurzony, jak; oszałamiający się oparami opium Kitajczyk.

–Racz wstać, druidzie! – powiedział Conan. – Czuję niebezpieczeństwo.

Obwisłe policzki Liguryjczyka zbiełaly, a jego zapatrzonej w ciemność oczy miały wyraz świadczący o krańcowym przerażeniu.

–Oczy – wyszeptał. – Cienie mają oczy. W nocy czai się zło...

Conan potrząsnął ramieniem skulonej postaci.

–Wstawaj, kapłanie. Znów się upiłeś?

Diviatix zamrugął i roześmiał się niemrawo.

–Upiłem? Na piersi i łono Macierzy Danu, wyżłopałem dość wina, by upić połowę twojego wojska, królu, ale jestem trzeźwy jak niemowlę.

Conan zadrżał i obrócił się na pięcie, rozglądając się w ciemnościach. Nie ujrzał jednak nic. Nic prócz cieni.

PATRZĄCE CIENIE

Conan wyszedł w rozświetloną gwiazdami noc. Podpierając się dębową laską, zamyślony druid podążył chwiejnie jego śladem. Czujny Trocero oczekiwał na swojego władcę wraz z rozespanym księciem. Po chwili dołączył do nich Pallantides.

–O co chodzi, panie? – spytał niespokojnie wódz.

–Nie wiem, ale coś się stanie – mruknął Conan. – Niech to Crom przeklnie, nie mogę tego nazwać, ale coś nie jest w porządku...

–Mam kazać odtrąbić pobudkę?

–Jeszcze nie. Niech ludzie się wyśpią, póki mogą, ale podwój strażę. Dokonamy obchodu. Może wartownicy coś zauważyli. Pallantidesie, daj mi dwóch zbrojnych, którym niestraszni są ludzie, bogowie ani diabły.

Po chwili dołączyło do nich dwóch ziewających Gunderlandczyków. Byli wysocy, o szerokich piersiach, nieprzeniknionych obliczach i twardych spojrzeniach. Conan przyjrzał się im z uznaniem, a następnie skinął głową.

–Chodźmy.

Przeszli aleją między podwójnym szeregiem namiotów, ku skrajowi obozowiska. Okazało się, że strażnicy nie dostrzegli nic niezwykłego. Dowodzący wartą Amric zameldował:

–Nic nie słyhać, panie, z wyjątkiem szczekania szakali w dali. Niektórzy narzekają jednak na... cienie.

–Jakie cienie? – spytał z naciskiem Conan.

Krzepki Kothyjczyk poskrobał się po brodzie.

–Ludzie gadają jakieś głupoty, że widzą cienie tam, gdzie nie powinno ich być, bo nie ma co ich rzucać. Narzekają, matolki, że cienie na nich patrzą!

–Cienie mające oczy! A jednak moja wizja była prawdziwa! – jęknął Diviatix.

Conan przygryzł wąsa.

–Cienie, tak? Niedługo będą skakać ze strachu na widok myszy! No dobrze, w takim razie teraz my obejmujemy wartę. Zobaczymy, czy trafimy na te niesforne cienie!

Poluzowawszy miecz w pochwie, Conan poprowadził wokół obozowiska Trocera, Conna i obu żołnierzy. Buty skrzypiały w suchym piasku. Owiewane niespokojnym wiatrem pochodnie w dłoniach wartowników skwierczały i przygasały. Cienie idącej grupy to wyprzedzały ją, to pozostawały w tyle.

Naraz młody Conn zamarł w miejscu, chwycił ojca za ramię i wskazał przed siebie. Conan popatrzył w kierunku wskazywanym przez chłopca i mruknął:

–Odciski stóp! Wygląda na to, że jednak ktoś nas szpieguje, bo jeszcze nigdy nie spotkałem się z cieniami, pozostawiającymi na piasku ślady stóp!

Trocero położył rękę na rękojeści miecza.

–Panie, mam kazać trąbić na alarm?

–Z powodu jednego tchórzliwego szpiega? – prychnął Conan. – Sami wytropimy, gdzie się łotr kryje. Będziemy mieli dość czasu wezwać strażę, jeśli natkniemy się na gniazdo czcicieli Seta – Cymmerianin wyciągnął ostrze. – Ty! – rozkazał jednemu z

Gunderlandczyków. – Wróc do obozu i powiedz Pallantidesowi, gdzie się udajemy. Niech wyśle naszym śladem oddział dzielnych zawadiaków, niech jednak nie dołączają do nas, o ile nie wpadniemy w jakieś kłopoty. Mam nadzieję, że uda się nam niepostrzeżenie podejść tego szczura.

Nie wahając się dłużej, Cymmerianin podążył tropem odcisków stóp. Długi marsz bez spotkania z przeciwnikiem sprawił, że król był niespokojny i skory do działania. Ślad wkrótce zawiódł ich za wydmy wznoszące się za obozem.

–Patrz, panie! – syknął Trocero.

Conan zdusił pomruk. Czy była to złudna sztuczka cienia, czy też rzeczywiście widać było czarno odzianą, zakapturzoną sylwetkę, zmierzającą w kierunku Czarnego Sfinksa?

–Za mną! – szepnął Conan, ruszając za nieznanym.

NOCNY UCIEKINIER

Pod zataczającymi powolne kręgi błyszczącymi gwiazdami Conan i jego towarzysze brnęli schyleni przez chrzęszczący piasek tropem uciekającej sylwetki, która jak pustynne widmo stale majaczyła na granicy zasięgu wzroku.

Wkrótce znaleźli się niedaleko kamiennej hieny, której głowa zasłaniała gwiazdy. Odziana w czerń sylwetka wśliznęła się bezszelestnie między przednie łapy gigantycznego posągu. Ścigający widzieli ją przez chwilę na tle piersi sfinksa, po czym postać zupełnie zlała się z ciemnością i zniknęła.

–Na Croma! – wyszeptał Conan. Ogarnął go barbarzyński lęk przed tym, co nadnaturalne.

Zagadka jednak wkrótce się wyjaśniła. Gdy podeszli do piersi posągu, zauważyli szczelinę w gładkim kamieniu. Okazało się, że w pozornie jednej bryle posągu znajdowały się wielkie, trzykroć wyższe od człowieka drzwi, po zamknięciu dokładnie przylegające do krawędzi otworu. Gdy się zbliżali, wrota zamykały się powoli na niewidocznych zawiasach, a czarny otwór stawał się coraz węższą szczeliną.

Conan rzucił się naprzód i wepchnął w szparę ostrze miecza. Drzwi znieruchomiały. Król wsunął palce do wnętrza i zaczął ciągnąć ku sobie. Pot wystąpił na jego brwi, a masywne mięśnie zagrały pod kolczugą.

Wrota otworzyły się z lekkim skrzypieniem. Conan podniósł miecz i potrząsając obnażonym ostrzem, bez wahania wszedł w ziejący otwór. Pozostali podążyli za nim, jedynie druid zawahał się przez chwilę. Conan odwrócił się do Gunderlandczyka, który pozostał na zewnątrz:

–Daj mi pochodnię, jak ci tam... Thorus, prawda? Wetknij pikę w drzwi, żeby się nie zamknęły, i biegnij do obozu. Powiedz Pallantidesowi, żeby wysłał za nami całą kompanię. Ruszaj! Żywo! Pozostali, za mną!

Wewnątrz sfinksa otworzył się przed nimi opadający, wykuty w skale korytarz. Chyboczący płomień pochodni rzucał na chropowate ściany groteskowe cienie. Bacząc na pułapki i zapadnie, Conan powiódł swych towarzyszy ku szerokim kamiennym schodom, prowadzącym na dolny poziom, poniżej piasków pustyni.

–Na Mitrę, nic dziwnego, że nie znaleźliśmy nikogo w mieście! – wyszeptał Trocero. – Jeśli wszyscy czarni magowie chowają się w tym labiryncie...

Zaiste był to labirynt. Korytarz rozgałęział się co parę kroków i nie sposób było zorientować się w jego zwielokrotnieniach. Po każdej zmianie kierunku Conan sadzą z pochodni kreślił znak na ścianie. Wszystkie komnaty, do których zaglądali, okazywały się nie zamieszkałe i pozbawione mebli. Gdzie podziali się magowie Czarnego Pierścienia?

–Na Croma! – zastanowił się na głos Conan. – Czyżby istniały jeszcze głębsze piętra? Jeżeli filozofowie mają rację i świat jest w istocie okrągły, to pewnie niedługo wyjdziemy po drugiej stronie!

Gdy zeszli po kolejnych schodach, Trocero okazał niepokój.

–Panie, może powinniśmy wrócić i poczekać na posiłki?

–Zapewne, ale uważam, że najpierw musimy przeszukać labirynt – burknął Conan.

– Gwardziści powinni niedługo do nas dołączyć, a jak dotąd nie znaleźliśmy nic, czego należałoby się obawiać. Idziemy dalej!

U stóp kamiennych schodów znajdowała się komnata, wielka jak arena. Otaczały ją rzędy kamiennych siedzeń. Conan uniósł pochodnię i powiódł wzrokiem po najbliższych ławach. Chyboczący płomień oświetlił jedynie niewielką część olbrzymiej sali. Przypominała ona wielki hipodrom w Tarancji, z tą różnicą, że hipodrom znajdował się pod otwartym niebem, a nie pogrzebany w stęchłej ciemności głęboko pod pustynią.

–Jak myślicie, do czego służy ta komnata? – mruknął Conan.

Trocero otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz przeszkodził mu inny głos, spokojny, silny, głęboki i pełen triumfu:

–Pozbywamy się tu naszych wrogów, Conanie z Aquilonii!

Conan znieruchomiał. Zapłonęło zimne, sztuczne światło, wypełniając całą salę jasną jak blask dnia, niesamowitą, pozbawioną źródła iluminacją. Dopiero teraz Cymmerianin dostrzegł, że na kamiennych ławach po przeciwnej stronie komnaty siedzą setki ludzi w czarnych szatach z kapturami. Po prawej ział ciemny wylot gigantycznego portyku, równie wielkiego jak ten, który znajdował się w piersi sfinksa na powierzchni.

Na wprost nich, ponad rzędami czarowników siedział na wielkim tronie z czarnego kamienia wysoki mężczyzna, odziany w prostą, pozbawioną ozdób, zieloną szatę. Miał śniadą cerę, gładko wygoloną głowę, wąskie, ciemne oczy i charakterystyczne dla Stygijczyka czystej krwi jastrzębie rysy twarzy.

–Witaj w moim pałacu – powiedział Thoth-Amon z uśmiechem.

Tymczasem Thorus, którego Conan wysłał, by sprowadził posiłki, leżał nieruchomo pod niebem pustyni, zaledwie sto kroków od Sfinksa z Nebthu. W gardle Gunderlandczyka tkwiła stygijska strzała.

SZKARŁATNE MIECZE STYGII

Pallantides wykrzykiwał rozkazy i wrzeszczał na oficerów. Grały trąbki, kopyta łomotały po osypującym się piasku.

Sytuacja zaczęła pogarszać się od chwili, gdy Conan i jego towarzysze wkroczyli do wnętrza czarnego sfinksa. Najpierw zdezerterowały rozlokowane po przeciwnej stronie obozu oddziały z Koth i Ophiru. Wartownicy przybiegli z meldunkiem, że sprzymierzeńcy umknęli pod osłoną ciemności, ogarnięci paniką lub wykonując wcześniejszy plan.

Pallantides klął szpetnie. Rozkazał, by setka jazdy ruszyła w pościg za dezertierami, lecz wówczas okazało się, że zniknęły konie. Kothyjczycy i Ophirczycy, którzy nie mieli własnych wierzchowców, zabrali wierzchowce Aquilończyków. Te konie, których nie wzięli dezertierzy, zostały rozpętane i rozbiegły się po pustyni.

Później zjawił się pierwszy z dwóch żołnierzy, których przydzielenia zażądał Conan. Przekazał królewski rozkaz, iż ma ruszyć za nim silny oddział. Gdy Pallantides zbierał resztki konnych i instruował ich, co mają przekazać monarsze, z krzykiem zjawił się kolejny wartownik: – Do broni! Jesteśmy okrążeni! Atakują nas stygijskie wojska!

Wokół całego obozu, zza wydm zaczęli się wyłaniać napastnicy, przeważnie łucznicy na koniach i wielbłądach.

W mroku nie można było oszacować ich liczby. Zaczęli w galopie okrążać obóz, szyjąc z łuków. Chociaż ciemność sprawiała, że strzelali na oślep, Aquilończycy padali jeden po drugim. Coraz rozlegały się krzyki trafianych mężczyzn.

Na wierzchołkach wydm pojawiły się kolejne oddziały Stygijczyków, którzy wystrzeliwali w kierunku obozu zapalone strzały. Płonące pociski przecinały niebo jak komety. Zapalił się jeden namiot, po chwili kolejny.

Aquilońskich żołnierzy zaalarmowało już zamieszanie, które zapanowało po odkryciu ucieczki sprzymierzeńców. Przywoływani odgłosami sygnałówek przebijającymi się nad wojenne okrzyki Stygijczyków, potykając się, wybiegali z namiotów, naciągali hełmy, wiązali rzemienie napierśników i poprawiali miecze.

–Gasić ogień! – krzyczał Pallantides. – Zwijać namioty! Cenwulf! Gdzie się podziewasz, do diabła?!

–Tutaj! – odpowiedział kapitan bossońskich łuczników, biegnąc w kierunku wodza. – Gdzie król?

–Mitra jeden wie! Chciał wytropić na pustyni jakiegoś szpiega. Rozstaw swoich ludzi wokół obozu. Niech postarają się ubić trochę tych czarnych kapot. Wyślij też kompanię, żeby wystrzelała tych bękartów na wydmie, wypuszczających zapalone strzały. Amric!

–Tak, panie!

–Niech twoi ludzie utworzą krąg przed Bossończykami i ustawią piki do odparcia ataku. Niech zwał przed siebie przedpiersia z taborów i worków piasku...

Thoth-Amon uśmiechnął się złowieszczo.

–Zbyt długo, Cymmerianinie, stałeś mi na drodze – powiedział najpotężniejszy na

Ziemi czarny mag. – Przyglądałem się, jak czterdzieści lat temu przybyłeś w te strony ze swej lodowatej Północy. Już wtedy powinienem był cię zniszczyć, bo byłeś młody i słaby. Gdybym wiedział, do jakiej dojdiesz władzy, powaliłbym cię ciosem magii już tego pierwszego razu, kiedy wmieszałeś się w moje sprawy w domu Kalliusa Publico, lub wówczas, gdy zrujnowałeś mój plan wydarcia królestwa Zingary ze słabych rąk króla Ferdruga. A może wtedy, kiedy ujrzałem cię w twierdzy hrabiego Valensa nad Oceanem Zachodnim lub kiedy rozpoczynałeś panowanie nad Aquilonią, a ja byłem niewolnikiem Ascalanty w Tarancji. Nieważne. Teraz wreszcie naprawię te zaniedbania.

Król oddał pochodnię Trocerowi i skrzyżował potężne ramiona na piersiach. Z nieruchomym obliczem wpatrzył się lwim spojrzeniem w Thoth-Amona.

–Mów, Stygijczyku – warknął Conan. – Dołożyłeś niezwykłych starań i wysiliłeś cały swój spryt, by zwabić mnie w tę pułapkę, więc w nagrodę masz prawo wyżalić się na swe niepowodzenia.

Gniewne syczenie, jak głos z gniazda niespokojnych węży, przeszło przez odziany na czarno tłum. Thoth-Amon uśmiechnął się sardonicznie.

–Dobrze powiedziane, psie z dzikiej Północy. Podziwiam twój spokój w równej mierze, jak moi czarownicy gardzą twoją bezczelnością. Jednak teraz nic nie uchroni cię przed dawno zasłużoną karą. Wszedłeś mi w drogę o raz za wiele. Nadszedł ostatni akt naszego dramatu. Schwytałem w pułapkę króla Aquilonii wraz z jego wojskiem. Gdy tu wymieniamy uprzejmości, moi wojownicy okrążają twój obóz. Rośli aquilońscy rycerze ścielą się pod naszymi mieczami jak dojrzała pszenica pod kosą. Nadszedł dziś kres nie tylko twojej dynastii, zginie również potęga królestwa Aquilonii.

Conan wzruszył ramionami.

–Być może. Nie lękam się jednak twoich pełzających węży, a aquilońscy rycerze z łatwością wyłupią im kły. Nie wątpię, że to moi wojownicy zbierają teraz krwawe żniwo.

–Walczę nie tylko mieczami... – Thoth-Amon uśmiechnął się, unosząc dłoń.

Z koniuszków palców trysnęła szmaragdowa błyskawica, która przecięła komnatę i wytrąciła z ręki Trocera obnażony miecz. Skąpana w zielonym promieniu broń natychmiast rozżarzyła się do czerwoności, hrabia zaś zaklął i zaczął dmuchać na oparzoną dłoń.

–...ale również czarami – dokończył Stygijczyk.

Conan wciąż wpatrywał się miążdzącym spojrzeniem w oczy Thoth-Amona, w których migotały złośliwe ogniki.

–Z czarami można walczyć jedynie czarami – powiedział spokojnie król.

Do przodu wystąpił niski mężczyzna, okryty płaszczem z kapturem. Gdy go rzucił, okazało się, że ma na sobie białą szatę, a na skroniach wieniec z dębowych liści. Czarnoksiężnik zeszywniał na tronie.

–To Biały Druid z Kraju Piktów! – jakiś głos wybił się nad powstały zgiełk.

–Istotnie – odrzekł posępnie Thoth-Amon. – O ile mnie oczy nie mylą, to nikt inny jak sam Diviatix we własnej osobie.

Z mnóstwa gardeł uniósł się wściekły krzyk. Na znak księcia czarowników zapadła

znów cisza. Czarnoksiężnicy powstali z miejsc i setki par oczu wpatrzyły się z mocą w Conana i jego towarzyszy. Cymmerianin poczuł, jak ciarki przechodzą mu po skórze. W sercu poczuł chłód, jak gdyby powiał w nim wiatr jednego z czarnych, zamrożonych piekieł Pomocy. Ogarniało go odrętwienie, a obraz przed oczami stawał się zamglony. Serce zaczęło nierówno bić. Za jego plecami młody Conn zatoczył się i łapczywie chwycił powietrze.

–Cz-czary! – stęknął Conan. Lśniące, złowieszcze oczy czarnoksiężników miały nad nim koszmarną władzę. Zakręciło się mu w głowie. Pomyślał, że za chwilę jego dało opuści stalowa wola i runie na posadzkę komnaty.

BIAŁY DRUID I CZARNY MAG

Lecz druid przełamał zaklęcie. Rozpostarł ramiona i potrząsnął dębową laską. Conan ze zdumieniem ujrzał, jak martwe drewno pokrywa się świeżym listowiem. Diviatix otoczył się aurą pulsującą złotym światłem. Z jego laski unosiła się woń zdrowej ziemi i kielkujących roślin. Ciepłe światło i zapach życia stłumiły czarnoksięski blask oraz odór rozkładu, który przenikał podziemny labirynt.

Zdekoncentrowani magowie Czarnego Pierścienia opadli na ławy. Niektórzy otarli pot z czoł. Diviatix zachwiał się i zakrztusił, jakby nagle podziałało na niego wypite wieczorem wino. Mimo że był niski, niepozorny i być może pijany, nie ulegało wątpliwości, że jest osobą władającą najpotężniejszą mocą spośród wszystkich zgromadzonych.

Thoth-Amon przestał się śmiać, na jego pobrużdżonym czole pojawił się wyraz skupienia. Wyprostował się nagle i cisnął w Białego Druida długim snopem trzaskających, zielonych promieni. Diviatix zasłonił się przed nim laską, a struga ognia rozprysnęła się w kaskadę syczących iskier.

Thoth-Amon cisnął kolejną błyskawicę, a po chwili jeszcze jedną i następną. Idąc za przykładem swojego przywódcy czarnoksiężnicy Pierścienia powstali po raz drugi i wszyscy poczęli miotać snopy zielonego ognia na grupkę swych wrogów. Przez kilka chwil Aquilończyków chroniła pulsująca złota aura, wkrótce jednak Diviatix począł słabnąć. Mimo że złoty blask nie stracił na sile, wiązki zielonego ognia zaczęły ryc dymiące bruzdy w posadzce blisko stóp Conana i jego towarzyszy.

–Biała magia zawodzi w próbie sił, Cymmmerianinie! – zawołał Thoth-Amon.

–Więc nadszedł czas, aby ją wzmocnić! – odkrzyknął król i wydobył z zapały szkatułkę ze lśniącego orichalku. Wyjął z niej wielki, czerwony klejnot o mnóstwie powierzchni. Emanował z niego oślepiający blask, zdający się spadać na zrytą podłogę drżącymi, złotymi płatkami. Conan i podał migoczący klejnot Diviatixowi, który złapał go tak, jak tonący chwyta pomocną dłoń.

Gdy druid przyjął klejnot, ochronna zasłona odbiła zielone błyskawice porażając czarnoksiężników. Złoty ogień i rozbłysnął jaskrawo jak słońce. Powaleni magowie przyciskali pięści do oczu, bezwładnie osunęli się w objęcia; Śmierci lub w najlepszym razie tracili przytomność. Druida w białej szacie otoczyła potęga złotego blasku. W tym, momencie Diviatix wydał się nadludzko wysoki i władczy. Z ław dobiegły płaczliwe zawodzenia. Niektórzy czarnoksiężnicy stracili rozum i zaczęli toczyć ze sobą walkę, inni i zaś starali się pierzchnąć przez mniejsze wyjścia po bokach J komnaty.

–Serce Arymana! – jęknął Thoth-Amon, osuwając się i na tron ze zbielełą twarzą. Wielki czarnoksiężnik nagle zaczął wyglądać jak ktoś stojący nad grobem. Jego ascetyczne rysy zamarły w wyrazie przerażenia. – Serce Arymana! – stęknął powtórnie.

–Myślałeś, że ruszę do twojego legowiska bez najpotężniejszego talizmanu na świecie? – Conan zaśmiał się pełną piersią. – Chyba wciąż uważasz mnie za nieopierzonego, aroganckiego śmiałka, który przybył na Południe czterdzieści lat

temu! Przez wszystkie te lata Serce Arymana spoczywało w krypcie Mitreum. Kiedy druid ostrzegł mnie o twoim spisku, posłałem gońców, by sprowadzili je tutaj wraz z moim synem. Z tym amuletem Diviatix przerasta siłą tysiąc twoich czarowników. Właśnie dlatego tak zależało ci na tym klejnocie! Nie był ci on potrzebny, by wzmacnić twoją władzę, lecz by uniemożliwić wykorzystanie go przeciw tobie. Dlatego właśnie bogowie Zachodu nakazali druidowi opuścić Święty Gaj i przemierzyć szeroki świat po jałowe piaski przeklętej Stygii. Żaden inny biały mag nie oparłby się pokusie władzy, która tkwi w tym talizmanie. Nikt, z wyjątkiem tego nurzającego się w winie człowieka, świętego i uświęconego naczynia woli bogów!

Upiornie poblady Thoth-Amon, którego twarz w gorejącym złotym blasku przypominała czaszkę, osunął się bezwładnie ze swego tronu. Niektórzy z pomniejszych magów Czarnego Pierścienia leżeli martwi, niektórzy ogarnięci szaleństwem skowycieli i toczyli pianę z ust, jeszcze inni tratowali się w przejściach w rozpaczliwej żądzy ucieczki. Diviatix wzniosł jeszcze wyżej potężny arcytalizman. Jego magiczna siła skupiła się jak w soczewce. Komnatę przecinały jedna po drugiej błyskawice złotego blasku. Każdy czarownik, którego trafiały, padał bez życia.

Ocalał jedynie Thoth-Amon. Nim przyszła jego kolej, zdążył odzyskać panowanie nad sobą. Włosy Conana stanęły dęba, gdy ujrzał, jak wokół Stygijczyka zbiera się pasmo mroku, które owinęło się wokół czarnoksiężnika jak sploty gigantycznego węża. Być może sam Set przybył, by ocalić swojego najwierniejszego sługę.

–Cymmeriański psie, zmuszasz mnie, bym wbrew sobie wykonał ostateczne posunięcie! – syknął Thoth-Amon.

Sploty cienia wokół Stygijczyka zgęstniały tak, że spowiła go absolutna ciemność. Oczy Thoth-Amona zapłonęły jak czarne gwiazdy. Gdy Stygijczyk wypowiedział tajemniczą inkatację w nieznanym, gardłowym języku, Conana przeszedł dreszcz. Ludzkie gardło nie było zdolne posłużyć się tak nieludzką mową. Słowa obcej rasy odbiły się echem w pogrążonej w półmroku sali.

Wszystkie oczy zwróciły się ku olbrzymiemu wejściu do komnaty, które dopiero teraz otworzyło się na całą szerokość. Zamajaczyło w nim niewyraźnie coś potwornego, przyczajonego. Istota nie do wyobrażenia ocknęła się, by przybyć zza otchłani mroku.

ZZA CZARNEJ BRAMY

Bestia zaczęła powoli wynurzać się z ciemności. Z początku Conan nie był w stanie przyjrzeć się jej dokładnie, wydawała się bowiem przedłużeniem mroku. Nie była jednak niematerialnym cieniem, ponieważ posadzka zatrzęsała się w rytm jej kroków.

–Na Croma! – wycedził przez zęby Conan.

Jego towarzysze cofnęli się, gdy tylko ich wzrok spoczął na przerażającym kształcie.

–Bogowie, wspomóżcie! – jęknął Diviatix. – To żywy sfinks, pod którego pomnikiem jesteśmy! Podobna potworność nigdy nie powinna stąpać po powierzchni Ziemi! Pomyślcie tylko, przez ile stuleci ta przeklęta istota żyła w trzewiach podziemnego świata. Niech Panowie Światła mają nas w opiece, bowiem nawet Serce Arymana nie wystarczy, bym pokonał Czarną Bestię, dziecię samego Chaosu!

Conan potoczył dzikim wzrokiem po zasłanych trupami ławach. Prócz nich nie pozostał w komnacie nikt żywy. Thoth-Amon uciekł przed bestią, którą swoimi modłami zbudził z trwającego eony snu.

–Wycofujemy się na schody za nami! – warknął Cymmerianin. – Trocero, podaj mi pochodnię. Ruszcie się, nim nas dopadnie!

Rzucili się do ucieczki tą samą drogą, którą weszli; szerokimi schodami i wąskim korytarzem. W biegu Conan rozglądał się szukając bocznych odnóg na tyle wąskich, by mogli się w nich schronić przed bestią, lecz nie było takich. Dziecię Chaosu na pewno nie zamierzało zatrzymać się w wielkiej kolistej komnacie, którą ongiś wyciosano ze skały dla jego wygody.

Jedyna szansa ocalenia leżała w znalezieniu przejścia na tyle ciasnego, by bestia nie mogła się przez nie precisnąć. Łomocząc obcasami, król Aquilonii biegł olbrzymim korytarzem, na przemian wzywając i przeklinając obojętnego Croma.

Dookoła obozu powstało prowizoryczne obwałowanie z piasku i tobołów, za którym przycupnęli gunderlandzcy pikinierzy oraz bossońscy łucznicy. Co chwila, na dany znak, łucznicy podnosili się i wypuszczali strzały, przerzedzając wirujący pierścień Stygijczyków. Przedpole było usłane trupami. Długie łuki Bossończyków znacznie przewyższały zasięgiem krótszą broń stygijskich konnych łuczników. Każda trafiająca aquilońska strzała przebijała zbroję, dziurawiąc wnętrzości.

Pallantides nie żywił jednak złudzeń co do rozpaczliwego położenia swych wojsk. Gwiazdy na horyzoncie bladły w świetle przedświt. Do wschodu słońca nie pozostało wiele czasu. Bez koni Aquilończycy nie byli w stanie pokonać przytłaczająco liczniejszej stygijskiej armii. Gdyby rzucił swoich żołnierzy do pieszego ataku na nieprzyjacielską jazdę, spotkałaby ich jedynie rychła śmierć. Aquilończycy mogli utrzymywać swoje pozycje aż do zupełnego; wyczerpania zapasów, ponieważ Stygijczycy nie mieli ciężkozbrojnych piechurów, zdolnych przełamać linie obrony.

Wraz z nadejściem świtu napastnicy mieli jednak zyskać nowego potężnego sprzymierzeńca – pustynne słońce. Nawet przy najoszczędniejszym racjonowaniu

zapasy wody nie mogły wystarczyć na długo, a w obliczu wroga wysłanie ludzi nad brzeg Bakhru było niepodobieństwem. Zapasy strzał Bossończyków również nie były niewyczerpane. Przy obecnej szybkości ich zużycia, mogło ich wystarczyć na godzinę obrony, najwyżej dwie. Wystarczyłoby, żeby Stygijczycy uparcie krążyli wokół schwytej w pułapkę armii i wciąż zasypywali obóz strzałami, aby pod koniec dnia aquilońska armia straciła zdolność bojową.

Wyglądało jednak na to, że Stygijczycy mają odmienne plany. Niespodziewanie jeden po drugim oddziały konnych łuczników zaczęły zawracać w stronę Czarnego Sfinksa, stając się ciemnymi plamkami, które wkrótce przepadły za wydmami.

Kiedy ostatni Stygijczycy zniknęli spod obozu, Pallantides wysłał na zwiady żołnierza znanego z chyżości nóg. Zwiadowca pobiegł w mrok, w kierunku wydmy między obozem i pomnikiem, po czym wrócił z meldunkiem:

–Panie, oni się wcale nie wycofują. Zebrali się wokół tej szkaradnej, czarnej figury, ich wódz wlał na jej zadek i wygłasza mowę. Coś mi się zdaje, że szykują się do decydującego natarcia. Widziałem kompanię ciężkiej konnicy w czarnych zbrojach.

Pallantides zwrócił się ku swoim ludziom, którzy po raz pierwszy od wielu godzin mogli rozciągnąć się na piasku i zjeść zimny posiłek.

–Łucznicy i pikinierzy powstrzymają natarcie przez jakiś czas – odezwał się do Cenwulfa i Amrika. – Jednak wrogów jest zbyt wielu. Wysuniemy rycerzy na czoło. Użyją kopii jako pik, a ponieważ mają najlepsze zbroje... – Pallantides zorientował się, że mówi bez przekonania. Zdawał sobie sprawę, jak nędznie wyglądają ich szanse.

Gdzie podziewał się Conan?

ZABÓJCA SPRZED WIEKÓW

Zazgrzytał kamień. Wielka brama z piersi Czarnego Sfinksa otworzyła się. W progu pojawiła się potężna sylwetka Conana z Cymmerii. Światło z trzymanej przez niego pochodni połyskiwało na kolczudze i lustrzanej klindze obnażonego miecza. Za nim stłoczyli się książę Conn, hrabia Trocero i druid Diviatix, wciąż trzymający w dłoni Serce Arymana.

Gwiazdy zbladły, a nieboskłon na wschodzie pojaśniał. Kolosalne łapy sfinksa rozchodziły się pod nieznacznym kątem, a każda z nich była dwakroć wyższa od człowieka. Dalej rozpościerały się wydmy, rzadko porośnięte wielbłądzim cierniem i kępkami niskiej, uschniętej trawy. W ograniczonym łapami sfinksa wycinku pustyni nic się nie poruszało, jednakże całkiem blisko słychać było odgłosy dużej liczby zbrojnych. Szczęk broni, parskanie i tupanie koni, pomruki i bulgot wielbłądów, szemranie ludzi. Nad tym wszystkim górował głos stygijskiego wodza nawołującego wojowników do dzielności i unicestwienia obcych wyznawców nieczystych bogów. Jego chrapliwy, gardłowy głos wyraźnie brzmiał w ustępującym mroku.

Conan zwrócił głowę ku otwartej bramie.

–Goni nas – szepnął, czując drżenie ziemi pod nogami potwora. – Thoth-Amon musiał wezwać całą stygijską armię. Jeśli pobiegniemy do obozu, a oni nas zobaczą, to zginęliśmy...

Drżenie gruntu nasilało się. Od strony niewidocznego wojska zgromadzonego z tyłu Czarnego Sfinksa dobiegł łomot bębnow. Stygijczycy ruszali.

–Za mną – rozkazał Conan, gasząc w piasku dopalającą się pochodnię.

Powiódł swoich towarzyszy między rozchodzącymi się nogami posągu. Za nimi, w otworze w piersi sfinksa pojawiła się czarna sylwetka, napawający grozą kształt, który z wiecznego mroku wychodził na świat. Tocząc ślinę i skowycząc, wielka jak dom hiena, zapatrzyła się w ciemność i wciągnęła w nozdrza powietrze przedświt. Wystarczyło jedno spojrzenie na nią, by Conan i pozostali rzucili się do biegu.

–Do rowu! – krzyknął Conan, wskazując drogę. – Może tam nas nie dojrzy!

Wskoczyli do rozpadliny wskazanej przez Conana i znieruchomieli, ledwie ważąc się oddychać. Monstrum zaczęło szukać ich śladu, gdy nagle przy akompaniamencie zgiełkliwego trąbienia i bębnienia stygijską armia ruszyła do ataku. Pierwsze oddziały minęły lewą łapę posągu, maszerując równolegle do bestii.

Któryś ze Stygijczyków wydał z siebie okrzyk przerażenia. Po nim następni. Chwilę później noc wypełniła się wrzaskiem zaskoczenia i grozy. Zaśpiewały cięciwy i na bestię spadła ulewa strzał i oszczepów. Znaczyły dla niej tyle co ukłucia szpilek, lecz żądając jej skórę, wznieciły w niej furję.

Obróciła się ociężale w stronę wojska i przez chwilę stała nieruchomo, górując nad nim jak żywe szczenię pomnika wyrzeźbionego na jej podobieństwo, po czym rzuciła się między żołnierzy. Wymachiwała wielkimi łapami na prawo i lewo, miażdżąc konie i jeźdźców i rozrzucając ociekające krwią trupy. Torowała sobie drogę przez tłum, co chwila pochylając łeb, by chwycić jakiegoś Stygijczyka i zgruchotać go jednym kęsem. Powietrze przepelniał kwik mordowanych koni, koszarne wrzaski

ludzi i odgłosy konania.

Stygijczykom nie brakowało odwagi. Ich wódz zarządził desperacki atak. Jednak bestia wgniała żołnierzy w piasek z taką szybkością, z jaką do niej docierali. W końcu obłąkani ze strachu Stygijczycy rzucili się do panicznej ucieczki, trając siebie nawzajem. Wielu z nich powypadało z siodła wskutek szaleństw przerażonych koni oraz wielbłądów i brnęli pieszko przez pustynię, Czarna Bestia zaś posuwała się za nimi, rozgniatając i pożerając.

Zabijała... zabijała... zabijała...

Gdy nad pustynią wzniósł się złoty krąg słońca, bestia zakończyła rzeź. Umykając przed wrogim jej blaskiem, przecisnęła się przez wielką bramę w piersi sfinksa i zniknęła. Wielkie wrota zatrzasnęły się za nią.

Conan i jego towarzysze obserwowali z daleka odwrót potwora, po czym znużeni ruszyli z powrotem do obozu. Aquilończycy, którzy rozstawili już szyki gotowych drogo sprzedać swoje życie łuczników, pikinierów i rycerzy, ledwie byli w stanie uwierzyć w szczęśliwy powrót króla.

Część taborów spłonęła. Trochę ludzi zginęło od lekkich stygijskich strzał, lecz rannych było wielokroć więcej. W całym obozie medycy oczyszczali i bandażowali rany.

Conan i Pallantides wkrótce doprowadzili obóz do porządku. Schwymano trochę błądzących po okolicy bezpańskich wielbłądów i koni, następnie wykorzystano je do przygnania ocalałych stygijskich wierzchowców. W czasie wykonywania tego zadania Aquilończycy natrafili na porzucone stygijskie tabory, dzięki czemu szybko uzupełnili straty w wyposażeniu.

Biały Druid wyprawił swojego ducha na poszukiwania w obszarze astralnym. Gdy ocknął się z transu, przekazał, że Thoth-Amon uniknął zagłady, która spotkała resztę adeptów Czarnego Pierścienia, i znajduje się teraz daleko na południowym wschodzie, w drodze do pełnego tajemnic, czarnego królestwa Zembabwei.

Doprowadzone do porządku wojsko, sformowawszy kolumnę marszową, oczekiwało rozkazów. Zmienił się wygląd aquilońskiej armii. Większość wierzchowców stanowiły teraz żyłaste, stygijskie kuce, jeźdźcy zaś pozbyli się zbroi płytowych, zbyt ciężkich dla tak wątłych koni, pozostawiając na sobie tylko lekkie kolczugi. Sformowano także oddział jeźdźców na wielbłądach, którzy niechętnie przyjęli kapryśne wierzchowce.

Conan by dać przykład, zasiadł na wielbłądzie. Z wprawą splótł nogi wokół jego garbu i uśmiechnął się, widząc minę Trocera.

–Oczywiście, że wiem, jak się jeździ na wielbłądzie! – zachichotał. – Czyż nie byłem swego czasu wodzem zuagirskich nomadów na wschodnich pustyniach? Jeśli się wielbłąda dobrze traktuje i zna jego ograniczenia, nie jest go trudniej dosiadać niż jakiegokolwiek innego wierzchowca... – nastroszywszy groźnie brwi, utkwiał wzrok w odległym płowym horyzoncie.

Siedzący na zaprzężonym w muły wózku Diviatix uśmiechnął się do Cymmerianina. Znów tego popił, mówił jednak w miarę wyraźnie.

–Panowie Światła wciąż są z tobą, królu! – odwrócił się do siedzącego na

stygijskim kucu księcia Conna. – Użycz mi swego ostrza, książę!

Conn podał mu miecz. Diviatix wskazującym palcem nakreślił na brzeszczocie kilka runów, które odcięły się czerwienią na jasnej stali.

–Co to takiego? – spytał Conn, biorąc miecz z powrotem i przyglądając się runom z ciekawością.

–Nie pytaj, chłopcze! – Diviatix uśmiechnął się figlarnie. – Niech ci wystarczy, że gdy wczoraj wieczorem byłem w transie, jedna z potęg nakazała mi zapisać te słowa. Przydadzą ci się, więcej nie mogę powiedzieć!

Podjechał Pallantides, ściągając wodze narowistego stygijskiego siwka.

–Jesteśmy gotowi, panie!

–Więc wydaj rozkazy – mruknął Conan.

–Dokąd się kierujemy? – spytał Trocero.

Conan uśmiechnął się. Białe zęby zaśniły na tle ogorzalej, nieprzeniknionej twarzy.

–Na południowy wschód, do Zembabwei i krain w dżungli, a jeśli zajdzie taka potrzeba, nawet na kraj świata!

Zagrały trąbki.

CZERWONY KSIĘŻYC ZEMBABWEI

1.

ZIELONE PIEKŁO

Hrabia Trocero chwycił łęk siodła, gdy jego zdrożony wierzchowiec poślizgnął się w błocie, o mało nie wyrzucając jeźdźca z siodła. Trocero pociągnął za wodze, odwracając łeb konia i zamachnął się na chmurę komarów, wiszącą przed swoją twarzą. Ze znużeniem wymamrotał przekleństwo. Za jego plecami Pallantides, dowódca wojsk Aquilonii, zaklął jeszcze szpetniej, gdy jego wierzchowiec poślizgnął się na tej samej kałuży błota. Trocero zmrużył oczy, podnosząc wzrok ku nisko nawisłemu, pokrytemu chmurami niebu. Wydawało się, że unosi się ono niewiele wyżej niż sięgające do ramion jeźdźca, przypominające trzcinę trawy. Konie brnęły niekiedy w sięgających im po pęciny ogromnych taflach wody. Na równinach Zembabwei nastąpiła bowiem pora deszczowa, zamieniając je w cuchnące trzęsawiska. Można się było spodziewać, że za dwa tygodnie deszcze ustaną, a równina powoli zamieni się w suchą, spękaną skorupę. Strzeliste trawy zżółkną, wyschną i przepadną w stepowych pożarach. To wszystko miało jednak dopiero nastąpić.

– Chyba zaczyna padać – mruknął Trocero do Pallantidesa.

Wódz z niechęcią podniósł wzrok.

– Na oślizgłe łuski Seta, hrabio, powiedz mi coś nowego! – burknął. – Pada codziennie od dziesięciu dni. Zrezygnowałem już ze starań, by moja zbroja nie zardzewiała. Jak długo jeszcze król będzie nas tak poganiać?!

– Znasz Conana. – Trocero wzruszył ramionami z sardonicznym uśmiechem. – Nie ustanie dopóki nie będzie tak ciemno, że nawet sowa nie zdoła wypatrzeć drogi. Uwaga, wąż! – krzyknął, a jego wierzchowiec stanął dęba. Pallantides szarpnął wodze na widok bagiennej żmii grubości ludzkiego ramienia, która przemknęła pomiędzy łodygami traw i przepadła.

– Mam po uszy tego przeklętego bagna! – prychnął wódz. – Wypuście mi trzewia na ołtarzu Derketo, alej żałuję, że nie ma z nami tego starego opoja – druida. Może dzięki swojej magii przeniósłby nas prosto do Zembabwei! Wszystko byłoby lepsze od babrania się w tym błocie! Połowa naszych koni i wielbłądów pozdychała albo choruje, połowa ludzi wyzbywa się wnętrzości z powodu bagiennej gorączki. Nie mam bladego pojęcia, jak, na czterdzieści piekieł, mamy dotrzeć do Zakazanego Grodu zdolni do walki!

Trocero wzruszył ramionami. Już ponad miesiąc król Conan parł ze swoimi wojskami wzdłuż Styksu do jego; tajemniczych źródeł. Najpierw posuwano się wzdłuż granic i wschodniej Stygii, gdzie złote wydmy pustyni ograniczały wąski pas zieleni po obu stronach rzeki. Dalej rzeka skręcała na południe, przez wyschniętą ziemię niczyją, gdzie można było spotkać tylko nieliczne oznaki życia. Jedynie wędrowne klany mieszkańców wschodniego Shem – Zuagirów, przemierzały te strony ze stadami wielbłądów i owiec. Wojsko przekroczyło granice Stygii i posuwało się dalej między królestwami Keshan i Punt. Pustynia ustąpiła miejsca pofałdowanej, trawiastej sawannie, przetykanej w rzecznych dolinach łąkami dżungli. Na południu Punt. Styks tworzył szerokie, bagniste rozlewisko, którego omięcie zabrało kilka

dni. Obecnie armia zbliżała się do granic pełnego tajemnic Zembabwei.

Trocero rzeczywiście wiele razy odczuwał żal, że nie towarzyszył im Biały Druid Diviatix. Wykształcony hrabia Poitanii z reguły nie zwracał wielkiej uwagi na mamrotania czarnoksiężników, lecz obdarzony pociągami do trunków stary druid dobrze spisał się w starciu z czarnoksiężnikami Thoth-Amona. Nikt inny, tylko Diviatix uratował króla i jego towarzyszy z pułapki zgotowanej przez magów Czarnego Pierścienia. Gdy Czarny Pierścień został rozgromiony, a sam Thoth-Amon uciekł do porośniętego dżunglą Zembabwei, hrabia Trocero żywił nadzieję, że Conan nakaże powrót do Tarancji Tysiąca Wieżyc.

Stało się jednak inaczej. Conan postanowił tym razem ostatecznie przyprzeć stygijskiego czarnoksiężnika do muru i raz na zawsze skończyć z zagrożeniem z jego strony. Zamierzał tego dokonać z pomocą pradawnego talizmanu, Serca Arymana, którym Biały Druid posłużył się pod Nebthu z tak druzgoczącym skutkiem. Jednak Diviatix powrócił na Zachód. Dekanawatha, wódz, czy też król dzikich Piktów, poległ w boju. Jego następcę Sagoyagę przepełniały krwiożercze ambicje. Myślał on o zorganizowaniu unii wszystkich piktyjskich plemion i inwazji na najbardziej na zachód wysunięte aquilońskie prowincje. Jedynie Biały Druid miał na Sagoyagę wystarczający wpływ, by odwieść go od napaści na Aquilonię w sytuacji, gdy król był zajęty gdzie indziej.

Diviatix rozstał się więc z Aquilończykami, gdy zatrzymali się oni by odpocząć przed wtargnięciem na sawanny i w dżungle dalekiego Południa. Zabrał ze sobą Serce Arymana, aby umieścić je z powrotem w dobrze strzeżonym Mitreum w Tarancji. Conan zresztą i tak nie potrafił posługiwać się talizmanem. Przed opuszczeniem aquilońskiego obozu druid użył swych nadnaturalnych mocy, by zobaczyć, gdzie znalazł schronienie Thoth-Amon. Sprzymierzeniec Stygijczyka z Północy, zakon Białej Ręki z Hyperborei, został rok wcześniej unicestwiony przez Aquilończyków w Pohioli. Sojusznik Thoth-Amona z Dalekiego Wschodu – bractwo Szkarłatnego Kręgu po śmierci przywódcy, Pra-Euna, rozpadło się na kilka zaciekle zwalczających się odłamów.

Thoth-Amon nie miał innego wyjścia, jak szukać schronienia w Zakazanym Grodzie w Zembabwei. Nenaunir, najwyższy czarownik – kapłan Damballaha, z tronu wykonanego z ludzkich czaszek, rządził trzema milionami czarnych barbarzyńców. Właśnie tam Thoth-Amon uciekł po rzezi w ruinach Nebthu. I tam właśnie podążał Conan.

POTWÓR O CZARNYCH SKRZYDŁACH

Zgodnie z przewidywaniami Trocera, król Aquilonii zarządził postój dopiero wtedy, kiedy ciemności uniemożliwiły dalszy marsz. Raptowne nastanie tropikalnej nocy zaskoczyło wojsko w czasie pokonywania olbrzymiej równiny porośniętej wysoką trawą. Na szczęście udało się rozbić obóz na wzgórzu wznoszącym się ponad bagniska.

W ciemności zapłonęły ogniska, na których przygotowywano wieczerzę. Zdrożeni wojownicy szemrali i przeklinali, zabijając obsiadające ich insekty, oporządzając wyczerpane wierzchowce i starając się osuszyć pokrywającą się pleśnią odzież. Rozciągnięci na ziemi, zmęczeni ludzie polerowali broń i zbroje, by ustrzec je przed nieustannie wkradającą się rdzą.

Na szczycie wzgórza rozbito czarny namiot króla. Monarszy sztandar zwisał bezwładnie w parnym, nieruchomym powietrzu. W środku obnażony do pasa Conan pochylony nad brązową misą zmywał gorącą wodą pot i błoto z potężnego torsu. Na jego masywnych mięśniach lśniła wilgoć.

Chociaż władca Aquilonii kończył szósty dziesiątek lat życia, wiek i dworski żywot jedynie nieznacznie odcisnęły swe piętno na jego krzepkim ciele. Czas poprzetykał siwizną gęstą, czarną czupryną, a zwisające jak odwrócone rogi byka sute wąsy sprawiały, że pokryta bliznami twarz o grubo ciosanych rysach wydawała się bardziej pociągła. Pokryta szramami od mnóstwa bitew i bijatyk skóra stała się bardziej chropowata, a tu i ówdzie znaczyły ją drobnej zmarszczki, jednakże potężne mięśnie ramion i barków nie straciły siły ani wytrzymałości, a węzłasty brzuch nadal był płaski.

Conan wytarł się do sucha, a giermkowie rozłożyli na niskim, składanym stoliku kolację dla niego i księcia Conna. Składały się na nią uwędzone i gotowane mięso oraz razowy chleb.

Zapasy wina i piwa wyczerpały się, przez co całe wojsko, łącznie z królem, musiało gasić pragnienie wodą czerpaną z bagna. Conan rozkazał, by gotowano ją przed piciem. Wiekowy filozof Alcemides powiedział mu kiedyś, że w ten sposób zmniejsza się ryzyko nabawienia się rozmaitych chorób. Conan wykorzystał tę radę i wydał stosowny rozkaz swojemu wojsku, choć wywołało to powszechne szemranie i wzruszanie ramionami.

Narzuciwszy luźną opończę na mocarny tors, Conan ziewnął, odesłał giermków i zaatakował skromny posiłek. Wyczerpujące dni pokonywania wyprażonych pustynnych piasków, wyrąbywanie drogi przez dżunglę i brnięcie przez nie kończącą się, bagnistą, porośniętą trzcinami równinę nadwerężyły jego siły, choć i tak utrudziły go mniej niż kogokolwiek z ludzi znajdujących się pod jego rozkazami. Mimo wyczerpania, wciąż jednak gnęła go niepowstrzymana chęć policzenia się ze starym wrogiem. Co więcej, dziesięciolecia wędrówek, walk i uciech w niezliczonych miastach i królestwach sprawiły, że północny barbarzyńca odczuwał nieustanne pragnienie przygód, którego nie był w stanie nasycić w ciągu ostatnich kilku pokojowych lat. Dlatego też, mimo że padł na niego cień starości, cieszył się z tej

dłuższej podróży do nigdy nie widzianych krain, tym bardziej że wróżyła ona ostateczne rozstrzygnięcie walki z prześladowującym go przez całe życie przeciwnikiem.

Zasłona u wejścia do namiotu podniosła się. Do środka wszedł Conn. Conan przywitał syna mruknięciem i wskazał mu miejsce po drugiej stronie stolika.

–Jak wierzchowce? – spytał krótko.

–Oporządziłem je, ojciec. Twój wielbłąd próbował mnie ugryźć.

–Musisz nauczyć się radzić sobie z tymi zwierzętami.

Książę Conn westchnął.

–Brak mi twojego karego Ymira.

–Mnie również. Kiedy wrócimy do domu, zmuszę Kothyjczyków i Ophirczyków, żeby go zwrócili, albo przewrócę ich królestwa do góry nogami! – Conan uśmiechnął się łaskawie, gdy chłopiec wbił silne, białe zęby w sztukę mięsa. Widać było wyraźnie, że obydwaj pochodzą z tego samego rodu. Conn miał taką samą, równo przyciętą czuprynę prostych, czarnych włosów, nachmurzone brwi, wyraziste, żywo niebieskie oczy i mocną szczękę. Trzynastoletni chłopiec był o wiele wyższy od swych aquilońskich rówieśników. Brakowało mu jednak półtorej głowy wzrostu, – by dorównać swojemu zwałistemu ojcu.

Gdy Conan ruszył z aquilońskimi wojskami nad granice królestwa Zingary, a stamtąd przez Shem do Stygii, jego syn pozostał przy matce w Tarancji. Losy wojny sprawiły, że Conanowi przyszło stawić czoła magom Czarnego Pierścienia i potrzebował Serca Arymana – talizmanu przechowywanego w podziemiach świątyni Mitry w Tarancji. Dlatego też, gdy Cymmerianin wysłał gońców po potężny talizman, rozkazał im również sprowadzić swojego następcę, księcia Conna. Król zatrzymał syna przy sobie mimo protestów swoich najmędrszych doradców, przekonujących go, że nie powinien w ten sposób wystawiać na niebezpieczeństwo losów dynastii. Conan był zdania, że rozpieszczając przyszłego władcę Aquilonii, uczyni z niego słabeusza. Był święcie przekonany, że następca tronuj powinien zasmakować bitwy, nim brzemień królewskiej odpowiedzialności pozbawi go beztroskiej przyjemności uśmiercania nieprzyjaciół. Uważał też, że lepiej, by następny król Aquilonii poznał sztukę wojenną na polu bitwy, a niej z zakurzonych ksiąg i ust przemądrzałych historyków.

Ukończywszy wieczerzę, ojciec i syn mogli udać się na spoczynek, jednak Conan zapragnął jeszcze dokonać obchodu obozu. Czuł, że będzie lepiej spał, jeśli upewni się, że wszystko jest w porządku. Nie zadał sobie trudu ubrania się. Naciągnął na tors świeżo naoliwioną kolczugę, przypasał miecz i wzuł wyczyszczone przez giermków buty. Conn zaofiarował się towarzyszyć ojcu.

Gdy Conan wyprzedzając syna, odrzucił w bok zasłonę wejścia do namiotu i wyszedł, w obozie rozbrzmiał nagły harmider. Zagrały trąbki, rozległ się tupot stóp i rżenie koni. To wszystko zdominował dziwny, łopoczący odgłos, którego Conan nie był w stanie rozpoznać. Najbardziej przypominało to szum żagli, nagle wypełniających się wiatrem – dźwięk dobrze mu znany z czasów, gdy był piratem.

Tuż nad horyzontem wisiał na poły zasłonięty przez chmury blady łuk księżyca.

Obok połyskiwały nielicznej gwiazdy, pod nimi zaś kołował rój potworów z czarnymi skrzydłami, gotujących się do ataku na biegających bezładnie nie ludzi. W ciemnościach stwory te wyglądały jak horda monstrualnych, ognistookich nietoperzy.

GOŚCIE ZE ŚWITU CZASU

Conan na kilka chwil znieruchomiał z otwartymi ustami. Dookoła niego stanął kordon łuczników ze strzałami na naciągniętych cięciwach. Czarny potwór o ciele wielkości lwa, długiej, giętkiej szyi i węzowym łbie rzucił się prosto na nich. W otwartych szczękach widać było dwa rzędy spiczastych kłów, a ślepia bestii płonęły jak piekielne węgle.

Nietoperzowate skrzydła latającego demona przysłoniły niebo. Pikujący potwór wyciągnął przed siebie ptasie łapy z ostrymi szponami. Bossończycy jak jeden mąż podnieśli łuki i wystrzelili. Pociski zaświstały w nocnym powietrzu i z chrzęstem trafiły w cel. Niektóre utkwili w szerokiej, pokrytej łuskami piersi, na której przy każdym uderzeniu skrzydeł prężyły się potężne mięśnie. Potwór wydał przenikliwy skrzek i skręcił w bok. W tej samej chwili jakiś człowiek padł z łoskotem na ziemię u stóp Conana. Był to wysoki, muskularny Murzyn w pióropuszu, naszyjniku z kłów, przepasce biodrowej z futra małpy i płaszczu z lamparciej skóry. Zginął przeszyty dwoma bossońskimi strzałami.

–Na Croma, te potwory są oswojone! – zagrział Conan. – Strzelajcie do jeźdźców!

Ku Aquilończykom zaczęło pikować więcej smoczycy bestii z wyciągniętymi szponami. Na każdej z nich widać było jeźdźca w pióropuszu. Niektórzy z nich miotali w dół oszczepy. Jakiś koń rżąc przeraźliwie wił się w agonii, gubiąc trzewia wyprute pazurami potwora. Jeden ze smoków, naszpikowany strzałami, odleciał ciężko znad obozu i tracąc powoli wysokość runął w bagno.

Pallantides zaczął wykrzykiwać rozkazy. Wszyscy łucznicy ustawili się w szyku, pozostali żołnierze uspokojali wystraszone konie i wielbłądy. Conan utkwiał wzrok w górze. W czasie swoich wędrówek słyszał o tych skrzydlatych potworach. Od świtu ludzkości przekazywano sobie niejasne legendy o przedludzkich czasach, gdy nad Ziemią panowały gady. Prastare mity i pokryte pleśnią tabliczki w wymarłych miastach opowiadały o takich potworach, będących przeżytkami przedwiecznej epoki. Zwano je wyvernami lub pterodaktylami.

Kolejny pterodaktyl pomknął ku nim z szeroko rozcapierzonymi pazurami. Conan wydał z piersi przenikliwy, cymmeriański okrzyk bojowy, schwycił Conna za ramię i rzucił go na ziemię, po czym dobył miecza i trzymając broń oburącz, wywinął młyńca, rozrąbując szyję bestii. Trysnęła czarna w świetle księżyca krew, a powietrze wypełnił stęchły gady odór. Smok zatrzepotał gigantycznymi skrzydłami, jednym z nich powalając Conana na ziemię. Gadowi udało się przelecieć jeszcze kawałek, po czym spadł w jedno z ognisk na środku obozu, wyrzucając spod siebie fontannę skwierczących węgli. W momencie upadku jeździec zeskoczył ze swego powietrznego wierzchowca, lecz wkrótce padł, rozsiekany przez dyszących żądzą zemsty Aquilończyków. Podnosząc się na nogi, Conan przyglądał się zwięzionymi do szparek oczami upadkowi pterodaktyla i śmierci jego jeźdźca. Więc stąd brała się legenda o latających mieszkańcach Zembabwe! Znękani wędrowcy snuli opowieści o okrutnych potworach, przywoływanych mocą prastarej magii, o wieżach bez dachów,

okien i wejść. Rezultatem tych opowieści była wiara, że ludzie z Zakazanego Grodu są skrzydlaci jak ptaki. Prawda okazała się jednak równie przerażająca. Zembabwańscy hodowali te przeżytki zapomnianej epoki i przysposabiali je do roli wierzchowców! Jakimi sposobami czarni czarownicy dokonali tej sztuki, Conan nawet się nie domyślał. To jednak musiało czynić ich prawie niezwykłymi. Jak przykuta do ziemi armia mogła toczyć bój z nacierającymi z nieba skrzydlatymi potworami?

Latające monstra raz po raz spadały spod gwiazdzistych niebios, rozrywając na części ludzi i zwierzęta, po czym unosiły się z powrotem, nim ktokolwiek był w stanie przyjść zaatakowanym z pomocą. Ciemność sprawiała, że bossońscy łucznicy nie mogli wykazać się swoim kunsztem. Po zachodzie księżyca stało się zbyt ciemno, by mogli celować do wrogów, o ile przypadkowo nie oświetliły ich rubinowe płomienie ognisk.

Ciskając przekleństwa i wzywając wszystkich cymmeriańskich bogów, z wyjątkiem Croma, którego mężczyźni wzywać nie wypadało, król Aquilonii zachęcał swoich ludzi do walki. Gdy wykrzykiwał rozkazy, łopot skrzydeł i szum powietrza za plecami ostrzegł go przed kolejnym atakiem. Nim jednak zdążył się odwrócić, poczuł potężne uderzenie w plecy. Znalazł się w pazurach smoka i został uniesiony nad ziemię. Otrzeźwiony pędem powietrza, Conan zorientował się, że uderzenie wytrąciło miecz z jego dłoni i zaklął ponuro. Desperacko zaczął szukać długiego sztyletu, który zwykle nosił przy boku, lecz bez powodzenia. Niestety, spiesząc się, by dokonać obchodu obozu, nie włożył szerokiego, skórzanego pasa, który leżał teraz na stołku w namiocie. Gdy jednak popatrzył na szybko oddalającą się, ciemną ziemię, uświadomił sobie, że nie pomógłby mu nawet sztylet. Gdyby zdołał zadać bestii śmiertelne pchnięcie, zabiłby go upadek z wysokości kilkudziesięciu sążni. Dobrze, że przynajmniej miał na sobie kolczugę, chroniącą przed krzywymi pazurami smoka.

Z niknącego w dole obozu dobiegł go jeszcze Amrika:

–Łucznicy, nie strzelać!

Jakiś krzyk z tyłu sprawił, że Conan odwrócił głowę. To, co ujrzał, sprawiło, że ponownie zaklął. W szpon drugiego smoka, lecącego w parze z tym, który go unosił, znajdował się książę Conn. Chłopiec zwisał bezwładnie, jak unoszona przez orła owca.

–Król! – rozlegał się z dołu rozpaczliwy krzyk z wielu gardeł.

Ziemia oddalała się coraz bardziej i wkrótce zniknęła w ciemnościach. Drugi smok dołączył do swojego towarzysza, co pozwoliło Conanowi przyjrzeć mu się dokładniej. Na grzbiecie lecącej obok bestii siedział odziany; w pióra i skóry czarny wojownik, dzierżący w jednej dłoni wodze, a w drugiej ozdobioną kępką pierza włócznię. Gdy i Conan przeniósł spojrzenie na brzemień dźwigane przez smoka, Conn zaczął rozpaczliwie machać do niego. Było zbyt ciemno, by dojrzeć twarz chłopca, szum powietrza zaś i łopot gigantycznych skrzydeł uniemożliwiał porozumienie się głosem. Jednak gest dłoni Conana w odpowiedzi na machanie syna niósł ze sobą uspokajające przesłanie.

Smoki leciały coraz dalej. Bestia dźwigająca Conana, ze względu na ciężar króla, miała kłopoty z utrzymaniem stałej wysokości. Parokrotnie zaczęła zniżać ku ciemniejszej w dole równinie. Jednak za każdym razem ostra komenda jeźdźca i uderzenie drzewcem włóczni sprawiały, że z mozołem wznosiła się wyżej.

Wyczerpany Conan zapadł w drzemkę. Chociaż uchwyt szponów gada w żadnym wypadku nie był wygodny, nie był też szczególnie bolesny. W sytuacji, gdy zwykłego śmiertelnika paraliżowałaby groza, Conana podtrzymywała na duchu jego własna filozofia, którą stworzył podczas wieloletnich wędrówek po świecie. Zgodnie z nią, gdy położenie stawało się beznadziejne, nie było sensu tracić sił na zamartwianie się. Człowiek powinien powierzyć swój los bogom, a samemu zachować siły na dogodny moment.

WIEŻE BEZ DACHÓW

Conana przebudziło lśnienie szybko nadchodzącego świtu oraz zmiana rytmu uderzeń skrzydeł strudzonego smoka. Popatrzył w dół.

Porośnięta trawami równina ustąpiła miejsca tropikalnej dżungli, skrytej jeszcze w purpurowym półmroku kończącej się nocy. Na okrytym mgłą horyzoncie świt jak żar pieca rozświetlał niebo. Przez gęstą dżunglę wiła się rzeka. Po wewnętrznej stronie jej łuku las został wykarczowany pod pola uprawne, pośrodku zaś obszaru upraw wznosiło się fantastyczne miasto.

Było całe z kamienia, otoczone wałami obronnymi ze skalnych bloków. Wewnątrz nich, w rdzawym świetle poranka w górę strzelało około dwudziestu wieżyc przypominających olbrzymie kominy. Obrzuciwszy jastrzębim wzrokiem tajemnicze budowle, Conan przekonał się, że legenda o wieżach bez wejść i okien mówiła prawdę. Co więcej, nie miały one dachów. Zamiast nich ziały czarne otwory.

Cymmerianin poczuł dreszcz nadnaturalnego lęku. Z mieczem w silnej prawicy stawiałby czoła każdemu niebezpieczeństwu, każdemu nieprzyjacielowi, jednak rzeczy nie z tego świata wzbudzały w piersi gigantycznego Cymmerianina przesądny lęk. Zimne tchnienie Nieznanego budziło w nim dziedzictwo niecywilizowanych przodków. W ciągu długich lat przemierzania wszerej i wzdłuż znanego świata był prawie wszędzie pomiędzy skutym lodem Asgardem a czarnymi królestwami za południową granicą, między brzegami piktyjskiego pustkowia na Zachodzie a legendarnym Kitajem na Wschodzie. Na szlaku bitew, zawieruch i przygód dwadzieścia lat temu zbłądził na krótko do królestwa Zembabwei. Zatrzymał się w leżącej na północy kraju stolicy, rządzonej przez królów-bliźniaków, by zaciągnąć się jako strażnik wyruszającej na północ karawany. Nigdy jednak nie dotarł do Zakazanego Grodu w Starym Zembabwei, miasta zazdrośnie strzeżonego przed niepożądanymi przybyszami.

Z wielu ust nasłuchiwał się pogłosek i plotek, dotyczących Zakazanego Grodu leżącego w dżungli nie przeciętej żadnymi drogami. Powiadano, że jego mieszkańcy wyznają Starego Węża Seta pod imieniem Damballaha, a jego czarne ołtarze spływają szkarłatem ofiar z ludzi. Szeptano, iż w noc ofiary sam księżyc zabarwia się czerwienią od krwi tych, których umęczone dusze ofiarowano Staremu Wężowi.

Skrzydlaty smok zataczając spiralę zaczął opadać ku Zakazanemu Grodowi. Żaden człowiek na Zachodzie nie był w stanie orzec na pewno, kiedy wybudowano to starożytne miasto. Niewątpliwie w zamierzchłej przeszłości, być może nawet przed nastaniem człowieka na tej planecie. Legendy mówiły, że kamienie węgielne pod gmachy Zakazanego Grodu położyli, zlewając je obficie krwią, potworni ludzie – węże pradawnej Valuzji – dzieci Seta, Yiga, ciemnoskórego Hana i Byatis W Wężowej Koronie, rządzących wrzącymi trzęsawiskami i paprociowymi dżunglami przed – ludzkiego świata. Wielki król – heros Kull, praprzodek Conana, zgniótł potęgę resztek wężowego ludu, które przeżywszy swoją epokę, dotrwały ery Atlantydy i Valuzji. Było to jednak całe tysiąclecie temu i w tej chwili nie miało znaczenia dla Conana. Cymmerianin wiedział dobrze, że niesamowite miasto jest ostoją najczarniejszej

magii. Było odpowiednim legowiskiem dla Thoth-Amona, który mógł się tu zaszyć i lizać rany. Nadszedł czas ostatniej bitwy, pomyślał Conan.

TRON CZASZEK

Na głównym placu Starego Zembabwei wznosiła się cytadela, okolona stożkowatymi wieżami bez dachów. Królewski pałac oraz świątynia Damballaha, położone w jej pobliżu, spoglądały na siebie z przeciwnych stron wykładanego kamieniami rynku.

Gdy skrzydlate smoki opadły z łopotem, by dostarczyć swoich więźniów na miejsce przeznaczenia, okazało się, że dookoła placu rozstawiony jest kordon czarnych wojowników z włóczniami o żelaznych ostrzach i tarczami ze skóry nosorożców. Nad wygolonymi głowami Murzynów pyszniły się pióropusze z piór strusi, ibisów, flamingów i innych ptaków. Powiew smoczych skrzydeł przyginał pióropusze jak wiatr, a podnoszący się pył sprawiał, że czarni wojownicy mrużyli oczy. Gady upuściły swoje brzemia na kamienny bruk i na rozkaz jeźdźców ponownie wzniosły się w powietrze, by przysiąść na szczytach dwóch najbliższych wież. Tam inni czarni mężczyźni przejęli ich wodze i sprowadzili je do środka. Podnosząc się na nogi i pomagając Connowi wstać, Conan uświadomił sobie, że tajemnicze wieże nie są niczym innym jak stajniami zembabweńskich powietrznych wierzchowców.

Conan i jego syn rozejrzeli się dookoła. Ze wszystkich stron otaczały ich rzędy czarnych wojowników, których pozbawione wyrazu twarze wyglądały jak wyryte w hebanie maski.

–Znów się spotykamy, cymmeriański psie – rozległ się złowieszczy głos.

Obróciwszy się, Conan spojrział w gorejące oczy swojego wroga.

–Ostatni raz, stygijski szakalu – odpowiedział ponuro.

Thoth-Amon stał obok wielkiego tronu z ludzkich czaszek, spojonych ciemną, przypominającą smołę substancją. Wysoki stygijski czarnoksiężnik wciąż wywierał imponujące wrażenie, bystre oko Conana dostrzegło jednak na śniadym obliczu Stygijczyka znamiona wieku. Twarz maga pobruździło mnóstwo drobnych zmarszczek, w opuszczonych zaś kącikach zaciśniętych ust widniał wyraz czenia, a może nawet wyczerpania. Gorączkowy blaski czarnych oczu różnił się od dotychczasowego kociego, skupionego spojrzenia. Potężne, obleczone w szmaragdowozieloną szatę ciało wydawało się skurczone i niezdrowo zgarbione.

Conan pomyślał, że być może Thoth-Amona zaczęły wreszcie opuszczać czarodziejskie moce. Wyglądało na to, że czarny płomień od stuleci napelniający księcia magów nienaturalną witalnością teraz ledwie się tli. Być może czczeni przez Stygijczyka ciemni bogowie odmówili Thoth-Amonowi swych łask po klęsce pod Nebthu i właśnie nadchodził kres jego ziemskiego bytowania. W każdym razie czarnoksiężnik zaczął wyglądać staro.

–Ostami raz, powiadasz? – rozległ się dźwięczny głos Stygijczyka. – Niech tak się stanie! Z tego spotkania tylko jeden z nas wyjdzie żywy i będę to ja! Nie mam ochoty na słowną szermierkę. Zabiję cię tak jak stoisz, razem z twoim pomiotem. Twoją nędzną armię unicestwią hordy czarnych wojowników. Zachód w końcu upadnie. Set znów roztoczy swe panowanie nad całą Ziemią, ja zaś zasiądę jako cesarz w Tarancji.

Szykuj się na śmierć!

Gwałtowny potok słów Thoth-Amona przerwał dźwięczny głos:

–Na nasienie Damballaha, Stygijczyku, zapominasz, kto tu jest królem!

Conan wznosił oczy ku Tronowi Czaszek. Zasiadającemu na nim człowiekowi miał do tej pory okazję przyjrzeć się jedynie w półmroku. Był to Nenaunir, król-czarnoksiężnik Zembabwei, ostatni ze sprzymierzeńców Thoth-Amona. Rozłożysta klatka piersiowa zwalistego Murzyna lśniła jak wypolerowany heban w promieniach słońca. Zimne spojrzenie oczu przypominających kawałki lodu pochodzące z zamrożonego piekła wywierało paraliżujące wrażenie.

Stygijczyk zająknął się i pobladł. Gdy starał się obmyślić jakąś replikę. Conan wyczuł napięcie narastające między dwoma książętami czarnej magii. Upadek ogólnoświatowej gildii czarnoksiężników, którą Thoth-Amon powołał do życia dzięki swojemu sprytowi, a Conan zniszczył swoją potęgą, sprawił, że Stygijczyk znalazł rywala w ostatnim z ocalałych magów.

–Ja... oczywiście, bracie, twoje słowo jest tutaj rozkazem – wykrztusił Thoth-Amon. – Ale... obydwaj zamierzamy stworzyć wielkie imperium. Ty będziesz władać Południem, a ja Zachodem. Podzielimy między siebie świat, który od tej pory będzie miał kark przed Ojcem Setem...

–Przed Panem Damballahem, którego prorokiem i namiestnikiem na tym świecie jestem ja! – zagrział majestatyczny Murzyn. – Nie zapominaj się, Stygijczyku. Pełzający Bóg w końcu odwrócił się od ciebie. Twój dzień przeminął, a ja nie widzę powodu, by dzielić cesarstwo z podobnymi tobie. Jeśli będziesz się dobrze sprawować, wyznaczę cię namiestnikiem jednej z prowincji, którą zdobędą moi poddani. Masz jednak baczyć na swoje postępowanie! Ja jeden władny jestem zarządzić śmierć tego białego diabła – głęboki głos Nenaunira, używającego uproszczonej wersji języka shemickiego, umilkł, lecz tysiące Murzynów zaczęło uderzać o tarcze drzewcami swych włóczy. W ciszy, która zapadła później, król-czarownik Zembabwei przeniósł lodowate spojrzenie z wychudłej sylwetki Thoth-Amona na stojącego niewzruszenie Conana i jego syna, który starał się przybrać możliwie najdzielniejszy wyraz twarzy. – Zaś ty, biały pies, popełniłeś błąd, wkraczając do mojego królestwa – oznajmił czarny król. – Spotkaliśmy się w zamku Louhi w Hyperborei. Udało ci się uwolnić, ponieważ Louhi zawahała się przed pozbawieniem cię życia, mając nadzieję wykorzystać cię przeciwko Stygijczykowi i w ten objąć przewodnictwo nad czarnoksiężnikami całego świata. Gdy motała swoje żalosalne intrygi, tobie udało się uwolnić i zniszczyć ją. Zrujnowałeś również potęgę Thoth-Amona w Stygii, ale ja nie zamierzam powtórzyć ich błędów. Nie muszę też obawiać się Thoth-Amona i nie mam wiele do zyskania na jego przyjaźni. Nie myśl, że znów uda ci się uciec!

Conan nie odpowiedział, śmiało patrzył swoim gorejącym wzrokiem w lodowate oczy Nenaunira.

–Spotkamy się jeszcze raz na kilka chwil podczas Nocy Czerwonego Księżyca – podjął złowieszczco Zembabwei. – Gdy księżyc oblecze się purpurą, twoja krew spłynie szkarłatnym strumieniem po ołtarzu Pełzającego Boga, twa skowycząca

dusza zaś nasyci Damballaha.

–Kiedy niby ma się to stać? – spytał spokojnie Conan.

Nenaunir odwrócił głowę i zawołał:

–Rimush!

–Tak, Wasza Wysokość? – Zza tronu wyszedł starszy, zgarbiony Shemita w szacie astrologa, zdobnej w symbole jego profesji.

–Kiedy nadejdzie Noc Czerwonego Księżyca?

–Zgodnie z moimi obliczeniami, o ile nie wtrąci się jakiś bóg, za dwanaście nocy od właśnie minionej, panie.

–Masz swoją odpowiedź, biały psie. Teraz zabierzcie go do lochu!

KAZAMATY ZEMBABWEI

Lochy były wykute w litej skale głęboko pod powierzchnią starożytnego miasta. Oddział czarnych wojowników poprowadził tam Conana i jego syna poprzez wąskie, kręte korytarze, oświetlone jedynie rzadkimi pochodniami. Patrząc na osobliwe proporcje i kąty, pod jakimi skręcały korytarze, Conan stwierdził, że mity mówiły prawdę. Istotnie Stare Zembabwei zostało wzniesione przez starą, węzową rasę z przedludzkich czasów lub przynajmniej położyła ona fundamenty, na których został zbudowany Zakazany Gród. Tak dziwną, kamieniarską robotę Cymmerianin widział jedynie dwa razy podczas swoich długich wędrówek. Było to w zrujnowanym zamku na trawiastych równinach Kush i po raz wtóry na Bezimiennej Wyspie na niezmiernym Oceanie Zachodnim, daleko na południe od wszelkich szlaków statków handlowych.

Cela, którą przyszło dzielić Conanowi z synem, była ciasna i wilgotna. Z pokrytych pleśnią ścian z czarnego, porytego zębem czasu granitu ciekła wilgoć. Podłogę zaścielała oślizgła, spleśniała słoma. Wielki szczur zapiszczał i wymknął się między nogami wkraczających do celi ludzi. Stęchłe powietrze wypełniała dusząca woń rozkładu.

Gdy weszli, za ojcem i synem zatrzasnęła się ciężka krata z kutego brązu. Oficer dowodzący oddziałem czarnych wojowników zamknął ją wielkim kluczem. Eskorta oddaliła się z człapaniem bosych stóp.

Gdy tylko kroki strażników ucichły, Conan zaczął krążyć po celi, obmacując uważnie pobrużdżone kamienie ścian i szarpiąc za zaśniedziałą, brązową kratę całą siłą mocarnych mięśni. Cela pozbawiona był okna. Jedyne światło dochodziło od pochodni obsadzonej w ściennym obejmie przy najbliższym zakręcie korytarza.

Młody Conn osunął się na posadzkę w najsuchszym kącie i starał się nie okazywać po sobie przygnębienia. Męczył go również głód i pragnienie, lecz naśladowując swojego ojca, przybrał obojętny wyraz twarzy. Trzynastoletni syn Conana wołałby zostać wbity na pal niż okazać lęk w obecności ojca. Zbadawszy ściany i nie znalazłszy żadnej drogi ucieczki, Conan wyciągnął się z potężnym ziewnięciem obok syna. Otoczył chłopca ramieniem, by go ogrzać i pocieszyć. Wreszcie Conn spytał:

–Co się z nami stanie, ojcze?

–Wiem, co zamierzają z nami zrobić, chłopcze – wruszył ramionami król. – To, co się wydarzy, może się znacznie różnić od ich zamierzeń. Pamiętaj, że właśnie w tej chwili zdąża tu aquilońska armia. Nie wątpię, że Pallantides narzuci teraz tempo marszu, które zabije najmniej wytrzymałe konie. Noc Czerwonego Księżyca wypada prawie za dwa tygodnie. Do tego czasu wiele może się zdarzyć...

–Zamierzają złożyć nas w ofierze Setowi, prawda? – wyszeptał Conn.

–Tak im się wydaje! – burknął Conan. – Ale to nie od nich zależy, niech zaraza weźmie ich czarne skóry. Zdecydują bogowie, jak powiedzieliby kapłani, albo Los, który według niektórych filozofów rządzi tak samo bogami jak i śmiertelnikami. Co do mnie...

–Tak, ojcze?

–Marnie się wyspałem w szponach smoczyska, zatem należy mi się trochę odpoczynku. – Conan ziewnął i wyciągnął nogi przed siebie.

Conn westchnął i uśmiechnął się słabo. Niemożliwością było długo czuć lęk lub smutek w obecności jego mocarnego ojca. Nie dlatego, by Conan był z natury radosnego usposobienia, lecz dlatego, że nie dumał przesadnie nad niebezpieczeństwami. Miast tego, przystosowywał się do okoliczności i wykorzystywał je najlepiej jak umiał, ufając niezmiernie, że przyszłość odmieni zły los. Kończąc tę myśl, Conn zorientował się, że król chrapie już w najlepsze. Opuścił więc głowę na jego potężne ramię i niedługo później on również zapadł w spokojny sen.

Potężnego Cymmerianina wytrącił ze snu grobowy jęk. Natychmiast stał się czujny, niczym dzikie zwierzę czujące zapach zbliżającego się przedstawiciela wrogiego gatunku.

Conan wysunął ramię spod śpiącego chłopca, wstał i przemknął przez celę. Zatrzymał się przy wejściu, czujnie nasłuchując. Udręczony jęk rozległ się ponownie, po nim nastąpiło ciężkie dyszenie. Tym razem Conn również się przebudził. Leżąc nieruchomo, przeczesywał mrok bystrym spojrzeniem młodych oczu. Był zbyt dobrze wyszkolony, by się odezwać.

Stary barbarzyńca zajrzał do celi naprzeciwko. Wpatrzywszy się w ciemność, udało się mu dojrzeć sylwetkę czarnego mężczyzny, przykutego do ściany. Obnażony do pasa Murzyn, którego ciało pokrywały setki świadczących o niedawnej chłości pręg, zwisał z łańcuchów jak ukrzyżowany.

Pierś Murzyna dźwignęła się konwulsyjnie. Więzień jęknął raz jeszcze, przewróciwszy głowę z boku na bok. Słaby blask pochodni zamigotał na białkach jego oczu. Obeznany z widokiem zmarłych i konających, Conan ocenił, że mężczyzna jest u kresu sił.

–Dlaczego tak z tobą postąpiono? – zapytał Conan niskim, lecz donośnym głosem. Użył najpierw języka shemickiego, a następnie powtórzył pytanie po kuszycku.

–Kto tam? – odezwał się słabym głosem skuty mężczyzna.

–Współwięzień. Jestem Conan, król Aquilonii na północy – odpowiedział Cymmerianin.

–A ja Mbega, król Zembabwei – odpowiedział przykuty do ściany Murzyn.

OPOWIEŚĆ O DWÓCH KRÓLACH

Murzyn był bardzo osłabiony przejściami, lecz zdołał opowiedzieć swoją historię, pełną zdrady i złych mocy.

Wynikało z niej, że lud Zembabwei to plemię stanowiące szczep Kehaków, czarnego narodu, wypędzonego ze swych ziem przez silniejszy klan. Zembabwańska gałąź Kehaków wędrowała na wschód, aż trafiła na starożytne, rozpadające się ruiny bezimiennego miasta, które wybrała sobie na nową siedzibę. Pobliskie plemiona unikały rzecznej doliny, w której znajdowały się ruiny, ponieważ uważały te ziemie za przeklęte. Dzięki temu nowo przybyli mogli osiedlić się nie niepokojeni i na gruzach starego grodu zbudować nowe miasto, które nazwali imieniem swojego plemienia.

Przez wiele lat ich jedynymi wrogami były dwunogie skrzydlate smoki, które miały siedziby w jaskiniach gór na wschodzie. Później wódz plemienia zdołał skraść jaja tych stworzeń i wychować młode w niewoli. Odkrył, że można je oswoić i przysposobić do roli powietrznych rumaków. Broń ta pozwoliła Zembabwańczykom rozciągnąć swoje panowanie na sąsiadujące plemiona i stworzyć obecne królestwo.

Ów bohater, Lubemba, miał brata bliźniaka, z którym był bardzo zżyty. Pewnego dnia ogłosił, iż dostał boskiego objawienia i że od tej pory Zembabwańczykami winni rządzić bliźniacy. Jego autorytet był tak wielki, że nikt mu się nie sprzeciwił. Brata Lubemby koronowano na współkróla.

Od tej pory krajem rządziła stale para bliźniąt. By uniknąć dynastycznych konfliktów, postanowiono – później stało się to prawem – iż po śmierci jednego z braci drugi winien odebrać sobie życie lub udać się na banicję. Po zakończeniu każdego takiego podwójnego panowania kapłani wybierali spośród poddanych parę zdrowych bliźniaków, których obwoływano nowymi monarchami.

Wszystko układało się gładko do czasu, gdy na tronie zasiedli Nenaunir i Mbega. Nenaunir uległ wpływowi czcicieli Seta, których pradawne bractwo powstało już trzy tysiące lat wcześniej, za czasów królestwa cieni Acheronu. Bóg-demon Set, czy też Damballah, jak zwali go Murzyni, obiecał Nenaunirowi i jego ludowi wielkość, jeśli odwrócą się od plemiennych bogów i będą czcić wyłącznie jego, Pełzającego Boga.

Nawrócenie jednego młodego króla podzieliło poddanych, z których jedni byli wierni Mbedze i starym bogom, a drudzy zaczęli czcić Starego Węża i jego namiestnika na Ziemi, Nenaunira. Ponieważ wielu wodzów i młodych wojowników przyłączyło się do nowego kultu, zaistniało niebezpieczeństwo krwawej wojny między zwolennikami obydwu frakcji. Nie chcąc, by królestwo spłynęło krwią i być może rozpadło się, Mbega abdykował na rzecz Nenaunira. Być może żyłby spokojnie dalej jako zwykły poddany, gdyby Nenaunir nie zaczął mordować tych dawnych stronników brata, którzy głośno wypowiadali się przeciw pozostałemu przy władzy królowi i nowemu bogu. Mbedze i jego ocalałym zwolennikom nie pozostawało nic innego jak zorganizowanie spisku. Jednak spóźniona i zbyt skromna rewolta została utopiona we krwi. Siły byłego króla rozbito w zasadzce, a jego samego wtrącono do lochu. Uwięzienie brata było jednak kłopotem dla Nenaunira. Mógł on z łatwością stracić Mbegę, lecz prawo i obyczaj stanowiły, że po śmierci jednego z monarszych

bliźniaków drugi powinien odebrać sobie życie albo opuścić kraj. Nenaunir wiedział, że gdyby złamał odwieczne prawo, jego własni poddani powstałoby przeciw niemu, tym chętniej, że nienasycony apetyt Damballaha na ludzkie ofiary odebrał Nenaunirowi większą część początkowej sympatii ludu.

Nenaunir wybrał najprostsze rozwiązanie. Uwięził Mbegę na resztę życia, pokazując go ludowi tylko podczas świąt i ceremonii. Takie postępowanie wytrąciło broń z rąk frakcji Mbegi, który stał się zakładnikiem przeciwnika. Nenaunir nie odmawiał sobie jednak od czasu do czasu wyładowania na bracie mściwych uczuć. Ostatnim razem, gdy Mbega miał wystąpić przed obliczem ludu, Nenaunir zażądał, by więzień wygłosił przemówienie, zawierające przyrzeczenie posłuszeństwa bratu i polecające swoim zwolennikom podporządkowanie się królowi. Mbega jednak nie ugiął się i splunął Nenaunirowi w twarz. W zamian został wychłostany.

Conan dowiedział się zatem, że Nenaunir nie czuje się jeszcze na Tronie Czaszek na tyle pewnie, by podważyć starożytnie prawo bliźniaczego królowania. Gdyby nawet oślepił czy okaleczył Mbegę, przy następnej uroczystości z udziałem ludu wszystko wyszłoby na jaw.

Skuty Murzyn najwyraźniej poczuł się lepiej, przedstawiając swoją posępną historię. Wspomnienie krzywd tak podsycało jego nadwerżoną witalność, że zaczął w oczach odzyskiwać siły. Widać było, że Mbega jest wspaniałym okazem nieokiełzanego męstwa. Umięśniony jak gladiator, Murzyn był w stanie cierpieć katusze i przeżyć, podczas gdy bardziej subtelna natura z cywilizowanego kraju już dawno wyzionęłaby ducha.

–Czy nadal masz dużą liczbę gotowych na wszystko zwolenników? – zapytał Cymmerianin.

Czarnoskóry król skinął głową.

–Wielu jeszcze wiąże przysięga na wierność mojej osobie. Na dodatek mnóstwo ludzi Nenaunira szemrze przeciw niemu. Zniechęciły ich jego okrucieństwa, pogarda dla dawnych praw i ofiarne jatki, które sprawia z poddanych. Gdybym zdołał uciec na chociażby godzinę, poderwałbym armię do szturm na cytadelę i obala tego czarownika, który mieni się być moim bratem. Po co jednak o tym mówić? Nasze położenie jest beznadziejne.

–To czas pokaże – powiedział Conan z zagadkowym uśmiechem.

POD ZAMKNIĘTYMI BRAMAMI

Pallantides czołgał się przez gęste trawy ku brzegowi rzeki. Nozdrza wypełniała mu woń gnijącej roślinności. Pełznąć jak wąż, aquiloński wódz posuwał się ku miejscu, gdzie skulony hrabia Trocero obserwował wroga zza rozwidlonego pnia drzewa. Poitańczyk obejrzał się na swojego towarzysza. Arystokratyczna twarz hrabiego i jego spiczasta, siwa broda były umazane lepkiem błotem. Spod hełmu spływał pot, żłobiący bruzdy w pokrywającej oblicze mazi.

–Na murach są wartownicy – szepnął Trocero. – Na wieżach również. Czeka nas twardy orzech do zgryzienia.

Pallantides uważnie przyjrzał się roztaczającemu się przed nimi widokowi, w zamyśleniu przygryzając wąsa. Mury Zembabwei były mocne i wysokie. Doświadczony oko mówiło mu, że oblężenie ciągnęłoby się miesiącami. Trzeba by ścinać drzewa na katapulty i maszyny oblężnicze...

Padł na nich czarny cień. Wódz wcisnął się głębiej pomiędzy paprocie i czekał znieruchomiały. Nad ich głowami ku murom miasta przeleciał jeden z potworów o nietoperzowatych skrzydłach. Na jego grzbiecie widać było wojownika w pióropuszu. Obydwu rycerzy przeszedł dreszcz odrazy.

–Na krew Dagona! – mruknął Pallantides. – Jeśli Nenaunir potrafił poskromić te monstra, nic dziwnego, że trzyma swój lud w garści. Popatrz tylko!

Gad poszybował ku jednej z wież bez wejścia i zniknął nad jej szczytem.

–Więc na tym polega sekret tych wież! – mruknął Trocero. – To tam skrzydlate smoki mają swoje grzędy.

–Niech ognie Molocha pożrą te diabły! – warknął Pallantides. – Musimy ocalić króla i księcia.

–Skąd masz pewność, że są w mieście?

–Na pazury Nergala, to widać tak wyraźnie, jak pieprzyk na tyłku tancerki! – zirytował się Pallantides. – Jedynym sprzymierzeńcem Thoth-Amona pozostał Nenaunir, władca tego miasta. To jego latające diabły porwały Conana i Conna z naszego obozu. Gdzie mogły ich zabrać, jak nie do stolicy?

–Żywych?

–Dowiemy się tego, kiedy znajdziemy się w środku.

Trocero westchnął.

–Masz więcej doświadczenia w obleganiu niż ja. Dla mnie te mury wydają się nie do pokonania.

–Dla armii tak, ale nie dla pojedynczego człowieka.

Trocero popatrzył uważnie na wodza.

–Co proponujesz?

Pallantides potarł brudną dłoń parodniową szczecinę na policzku.

–Przypominasz sobie tego zingarańskiego szlachetkę, Murzia?

–Tego cwanego łotrzyka? No i co?

–Jest sprytny jak łasica, dobrze posługuje się sztyletem i o ile mi wiadomo, jest wierny Aquilonii, chociaż mocno wątpię w błękit jego krwi. Myślę, że wyląkł się w

rynsztokach Kordawy, ale to bez znaczenia. Conan okazuje Murziowi łaskę, ponieważ jego ojciec wyświadczył mu przysługę w czasach, gdy był piratem. Przypominasz sobie, jak trzy lata temu Conan zaprosił na dwór swojego starego druha Ninusa?

–Kapłana Mitry? Zaiste, nasz król ma osobliwych przyjaciół z dawnych czasów, ale nikogo tak odrażającego, jak ten stary, krzywonogi moczymorda!

–Święta prawda! – zachichotał Pallantides. – Pamiętasz, jak Ninus za dnia pałętał się po dworze z miną świętego patriarchy, a w nocy urządził brewerie w winiarniach i lunaparkach? Cóż, on i Murzio pasują do siebie jak dwa złe szelągi. Conan chciał kiedyś wysłać Murzia ze szpiegowską misją i namówił Ninusa, by ten nauczył swojego syna swoich złodziejskich sztuczek, a Murzio okazał się pojętym uczniem. Król wysłał go potem do Shem, gdzie Zmgarańczyk wykrył spisek przeciw królowi Ophiru i nie którym shemickim królewiałkom. Co więcej, wykradł dokumenty i zdobył trochę innych dowodów, dzięki którym Conan powiesił zdrajców od razu na jednej szubienicy. Za to właśnie nasz król uszlachcił Murzia. Zingarańczycy to zdradliwa nacja, ale potrafią być wierni. Jeśli któregoś z nich przekabaci się na swoją stronę, będzie ci służyć do ostatniej kropli krwi. Mam nadzieję, że z Murziem jest tak samo.

–Ale co to ma wspólnego z wdarciem się do Zembabwei?

Pallantides mruknął.

–W każdym mieście jest jedna nie strzeżona brama: ścieki...

–Ścieki? Łaźnienie po dżungli zaszkoziło ci na rozum, człowieku! Taka barbarzyńska dziura na pewno nie ma kanałów!

–Ależ ma! Najpewniej pochodzą one jeszcze z przedludzkich czasów. Widzisz tę strugę szlamu, spływającą od południowego muru? – Pallantides pokazał, o co mu chodzi.

–Owszem.

–Sądząc po smrodzie, który niesie się stamtąd, to jest właśnie ujście ścieków z Zembabwei. Murzyni mogli wybudować system tuneli łączących się z podziemnym strumieniem, by ich wychodki się opróżniały, albo wykorzystali już istniejące kanały. Podejrzewam bowiem, że to miasto zbudowano na ruinach starszego grodu. Jeśli ktokolwiek w naszej armii jest w stanie precyzyjnie się przez tę kratę, to na pewno Murzio. Jest chudy jak szczapa i śliski jak węgorz.

Trocero poskrobał się po imponującej, niegdyś gładko przystrzyżonej, obecnie splątanej i zabłoconej brodzie, po czym rzekł:

–Pojąłem twój plan, przyjacielu. Murzio wślizgnie się do środka, zasztyletuje lub ogłuszy strażników i w nocy otworzy dla nas miejską bramę.

–Nie zrozumiałeś go w pełni, szlachetny hrabio. Serce mi rośnie, gdy sobie pomyślę, jak ten wychuchany, zadzierający nosa parweniusz będzie siedział w tej brei po uszy. Nigdy nie miałem dla Zingarańczyków zbyt wiele sentymentu, zwłaszcza od czasu, odkąd złapałem trubadura tej nacji w łóżu z moją małżonką! Moją świętej pamięci małżonką, oczywiście.

Trocero uśmiechnął się.

–Wracajmy do obozu. Zawiadomię szlachetnego Murzia, iż los wyznaczył go na zbawcę naszego króla – zachichotał.

–Och nie, nie ty! – zaprotestował Pallantides. – Tę przyjemność zastrzegam sobie.

Kilka godzin później, gdy ciemność spowiła mury i wieże Zembabwei, szczupła postać w czerni wysunęła się z dżungli i bezgłośnie przepłynęła rzekę, wyszukując po drugiej stronie ściek wypływający z zakratowanego otworu w miejskim murze. Postać bez trudu dotarła do tej przeszkody i zatrzymała się na chwilę, szukając sposobu jej sforsowania, po czym precyzyjnie przycisnęła się do środka i zniknęła.

Być może w żyłach Murzia nie płynęła błękitna krew, którą się szczycił, lecz skoro złożył przysięgę wierności królowi, był jej wierny bez względu na cenę.

OCZEKIWANIE

Światło księżyca w pełni padało z ukosa na puste ulice Starego Zembabwei. Nikt w mieście nie spał, była to bowiem Noc Czerwonego Księżyca. Kiedy srebrzysta tarcza ulegnie złowieszczej przemianie, król Nenaunir przywoła swojego okrutnego boga, którego ołtarz spłynie krwią tej samej barwy co złowróźnie odmieniony księżyc.

Procesje wyznawców z pochodniami wymaszerowały z posępnych budowli i ruszyły wąskimi, krętymi zaułkami starożytnego miasta. W gorącej, czarnej nocy rozbrzmiał łoskot bębnów i rozległy się posępne pieśni.

W lochach Zembabwei Conan krążył po celi jak wielki, czujny kot. Przyglądał się mu książę Conn. Podobnie jak ojciec liczył dni, które minęły od wtrącenia ich do lochu, orientując się po tym, ile razy przyniesiono im pożywienie. Tej nocy, gdy pod łapami Czarnego Sfinksa z Nebthu została pokonana stygijska armia, był nów. Od tamtej pory upłynęło prawie półtora miesiąca, a dokładnie licząc, czterdzieści jeden dni. Bakalarze Conna dopilnowali, by ich wychowanek poznał dobrze fazy księżyca, skoro któregoś dnia miał zostać władcą królestwa, w którym rolnictwo było największym źródłem bogactw. Tego dnia przypadła zatem pełnia, zresztą ojciec mówił mu kiedyś, że zaćmienie księżyca przypada tylko podczas pełni.

Tego dnia, o ile nie sprzeciwi się temu jakaś nieznana siła, Conn wraz ze swoim rodzicem miał ponieść śmierć na czarnym ołtarzu Damballaha.

Nawet tutaj dobiegało niesamowite dudnienie drewnianych bębnów, wybijających powolny, doprowadzający do szaleństwa rytm. Wysoko nad ich celą, przed pojawieniem się Czerwonego Księżyca, tysiące dzikich poddanych Nenaunira wprawiało się w stan żądzy krwi.

Conan raz jeszcze spróbował pokonać kratę celi, jednak i tym razem musiał ją puścić nawet nie nadwerężoną. Zdarł sobie skórę z dłoni do żywego mięsa, w uszach mu dzwoniło, a twarz nabrała z wysiłku szkarłatnej barwy. Krata okazała się nie do pokonania nawet dla niemal nadludzkich mięśni Cymmerianina. Starzy budowniczości dobrze obliczyli jej wytrzymałość. Pokryte śniedzią, wielowiekowe pręty miały dwa cale grubości, zbyt dużo, by mogła je wygiąć siła nawet najpotężniejszych ludzkich mięśni.

Puściwszy kratę, Conan dysząc z wysiłku dojrzał zbliżającą się sylwetkę, tak niewyraźną, że zdawała się być zgęstkiem ciemności niewiele bardziej namacalnym niż cień. Cymmerianin znieruchomiał i utkwiał wzrok w pogrążonym w mroku korytarzu. Z ciemności wyłoniła się znajoma, wąska twarz o ziemistym odcieniu.

–Hrabio Murzio, czy to rzeczywiście ty, czy też śnię? – szepnął Conan.

–To ja, mój panie – odrzekł szeptem Zingarańczyk.

–Jak, na Croma, tu trafiłeś? Gdzie wojsko? Dlaczego tak śmierzisz?

Zingarańczyk uśmiechnął się ze znużeniem. Ściszym głosem zdał krótką relację ze swoich poczynań.

–Okazało się jednak – zakończył – że wychodzące na ulice wyloty kanałów są zbyt wąskie, by można było się przez nie przecisnąć. Udało mi się dotrzeć tutaj, ale nie

zdołałem otworzyć bramy miasta przed naszą armią.

Conan w milczeniu przemyślał tę wiadomość.

–Może nie wszystko stracone – mruknął w końcu. – Masz wytrych? Jeśli wydostaniemy się z tej klatki, przynajmniej będziemy mogli walczyć.

Murzio wy dostał kawałek zgiętego drutu i zaczął dłubać w zamku. W świetle odległych pochodni na czole Zingarańczyka zalśnił pot. Przez jakiś czas sły chać było; wyłącznie odgłos oddechów i słabe szczęk anie metalu o metal.

W końcu Murzio podniósł wzrok. Malował się w nim wyraz desperacji.

–Nawet ojczulek Ninus nie potrafiłby otworzyć tego zamka, panie. Myślę, że został zaklęty.

–Możliwe – mruknął Conan. – Nie zdziwiłbym się, gdyby ten stygijski szakał zaczarował wejście do mojej celi. Ten cwany diabeł wie, że uciekałem już z niejednego zamknięcia. Ale spróbuj otworzyć celę naprzeciw. Jej więzień to mój przyjaciel.

Odziany na czarno Zingarańczyk zaczął zмагаć się z drugim zamkiem. Przykuty łańcuchami do ściany Mbega obojętnie obserwował wysiłki Murzia. Po chwili krótki szczęk oznajmił otwarcie zamka. Wstrzymujący oddech Conan odetchnął z ulgą. Zingarańczyk wszedł do celi Mbegi i szybko uwolnił z okowów zde tronizowanego króla Zembabwei, po czym uginając się pod jego ciężarem pomógł Murzynowi wyjść na korytarz. Conan w ponurym milczeniu przyglądał się, jak czarny król rozciera zdrętwiałe nadgarstki.

Murzio ponownie spróbował otworzyć celę Conana. Król Aquilonii jeszcze raz pokusił się o próbę rozgięcia kraty, lecz i tym razem bez powodzenia.

–Wy, Zembabwańczycy, budujecie solidne cele – stęknął w końcu. – Trudno, trzeba znieść to, na co nie ma lekarstwa.

–Przecież stoisz w obliczu śmierci – powiedział posępnie Mbega.

–Nie pierwszy raz, przyjacielu. – Conan wzruszył ramionami.

–Co mam robić? – spytał Murzio.

–Przede wszystkim daj mi swój sztylet. Wartownicy zostawili mi tylko buty. – W prawy z nich Conan wsunął długie ostrze. – Teraz pomóż wydostać się stąd Mbedze. Może zna drogę na powierzchnię. Spróbujcie znaleźć schronienie u jego zwolenników. Jeśli razem zdołacie wzniecić zamieszki przed godziną ofiary i otworzyć bramy do miasta, może dożyjemy świtu – Conan popatrzył uważnie na swego poddanego. – Murzio, czy nam się powiesz, czy nie, zasłużyłeś na moją wdzięczność. Jesteś dzielnym i oddanym człowiekiem. Jeśli wyjdziemy z życiem z tych opałów, masz ode mnie baronię Castrii. Powodzenia! Uciekajcie stąd i niech Crom i Mitra mają was w swojej opiece.

Dwie sylwetki zniknęły w głębi korytarza. Conan poklepał Conna po ramieniu.

–Bądź dobrej myśli, synu – mruknął. – Przyjaciel wewnątrz murów jest wart dziesięciu tysięcy poza nimi.

Zamilkł, gdy usłyszał odgłos stóp ludzi zbliżających się z przeciwnej strony korytarza. Nadeszła ich godzina próby.

PEŁZAJĄCY BÓG

Conana i jego syna skrupowano grubymi rzemieniami i wyprowadzono z lochów pod eskortą oddziału czarnych wojowników. Wyszli na wielki plac, rozciągający się między pałacem a świątynią. Tarcza księżycy wzniosła się już wysoko. Lśniła tak jaskrawo, że nieliczne gwiazdy bladły wobec niej.

Plac okalały kamienne bloki, pokryte niepojętymi symbolami i znakami nieznanego pisma. Conan nie wiedział, czy było to dzieło zembabwańskich czarowników, czy też przedludzkich mieszkańców miasta.

Przed świątynią Damballaha wznosił się wyrzeźbiony z czarnego bazaltu, złowieszczy idol. Był trzykroć wyższy od człowieka i dorównywał wysokością kamiennym blokom. Kiedy Conana podprowadzono bliżej, Cymmerianin zorientował się, że posąg przedstawia olbrzymiego, zwiniętego w stożek węża. Gdy oczy posągu na chwilę rozbłysły złowieszczym szkarłatem, wydawało się, że jest żywy. Dopiero po chwili Conan ujrzał, że ślepia Boga-Węża wykonano z dwóch gigantycznych rubinów. Pozór życia nadawało im światło migoczących pochodni.

Cymmerianin stłumił dreszcz. Set, czy też Damballah, jak zwali go Zembabwańscy, od niepamiętnych czasów symbolizował siły zła i ciemności. Król Aquilonii wyszeptał modlitwę do Croma. Ten wyniosły cymmeriański bóg rzadko wtrącał się w ludzkie sprawy i niewiele obchodził go poświęcony mu kult. Jednak gdy na człowieka spoglądał z góry demon Ostatecznej Otchłani o oczach jarzących się szkarłatnym płomieniem, lepszy był obojętny bóg niż żaden.

Ołtarz Damballaha stanowiła wielka misa z czarnego marmuru, zagłębiona w bruku przed posągiem. Do marmuru umocowane były brązowe pierścienie. Conana i Conna wprowadzono na dno misy i przykuto łańcuchami do pierścieni tak, że chociaż stali, nie mogli się poruszyć. Dopiero wtedy rozwiązano ich rzemienie.

Conan ocenił sytuację. Łańcuchy i okowy na nadgarstkach odlano z brązu całkiem niedawno i nie można ich było rozerwać, jednak wpuszczone w marmur pierścienie wyglądały na pochodzące sprzed wielu stuleci i mocno nadwerżyły je ząb czasu.

Gdy jeńców unieruchomiono, czarni kapłani Seta cofnęli się. Zapadła cisza. Nocny powiew od dżungli zaszumił ponuro w kręgu kamiennych bloków i zakołysał płomieniami pochodni. Czerwone ślepia idola płonęły w ciemności niesamowitym złudzeniem życia. Po drugiej stronie placu obok króla Nenaunira stał zgarbiony, wynędzniały Thoth-Amon. Czarnoskóry monarcha ubrany był w sięgającą do stóp, najdostojniejszą szatę z purpury. W prawej dłoni, zdobnej w pierścienie – talizmany, trzymał magiczną laskę, której wierzchołek ozdobił zwinięty wąż.

Milczenie przeciągało się, aż w końcu tysiące twarzy uniosło się ku niebu. Z gardzieli stłoczonych Zembabwańczyków dobyło się przeciągłe: „Aaaaach!” Conan również wznosił głowę. Na powierzchni księżycy poczał wpełzać czerwony cień. Milczące do tej chwili bębny poczęły wybijać opętańczy, gorączkowy rytm, przypominający tętno olbrzyma. Kłębiące się nad miastem opary znad dżungli zdawały się pulsować w takt bębnow. Conan odniósł wrażenie, że rubinowe ślepia

Boga-Weża otwierają się i zamykają w tym samym rytmie. Czerwony cień zajmował coraz większą część tarczy księżyca.

Nadszedł czas działania.

Zacisnąwszy dłonie na łańcuchu skuwającym prawą rękę, Conan napiął go z całych sił. Starał się wyrwać mocujący go pierścień. Dziesięć tysięcy Murzynów przyglądało się obojętnie usiłowaniom Cymmerianina. Na ramionach, barkach i plecach króla Aquilonii z wielkiego wysiłku wystąpiły postronki mięśni. Łańcuch wytrzymał, jednak zagłębiony w marmurze stary pierścień rozciągnął się i w końcu pękł. Uwolniwszy jedną rękę, Conan obrócił się i wszystkie siły włożył w rozerwanie drugiego pierścienia. Pod wpływem potwornego wysiłku brwi połączyły się, a usta rozchyliły w zwierzęcym grymasie. Wydawało się, że lada chwila oczy wyskoczą Cymmerianinowi z orbit. W końcu drugi pierścień wykrzywił się i pękł z donośnym szczękiem.

Conan w każdej chwili oczekiwał uderzenia trafiającej go w plecy strzały lub włóczni. Tak się jednak nie stało. Murzyni obserwowali go ze stoicką obojętnością. Z łomotem krwi w skroniach Conan odwrócił się do syna. Czerwony cień napelzał coraz dalej na księżyc. Tysiące gardeł wydało z siebie ogłuszającą pieśń.

Naśladując ojca, młody Conn szarpał się w więzach, jednak bez skutku. Conan schylił się, by przyjść synowi z pomocą, gdy nagle poczuł lodowaty chłód. Jego karku dotknął powiew arktycznego wiatru, tak zimnego, że warstwa potu na skórze zamarzała w jednej chwili. Zaledwie Conan zdał sobie sprawę z obecności niespodziewanego chłodu, ujrzał nad sobą niesamowity widok. Szkarłatny cień zajął już większą część tarczy księżyca, nie to jednak wstrząsnęło Cymmerianinem. Pod tchnieniem międzygwiazdowego chłodu, którym emanowało cyklopowe oko Czerwonego Księżyca, unoszące się nad placem pasma mgły zgęstniały, przybierając kształt olbrzymiego, wijącego się węża.

Trzewia Conana ścisnęło przerażenie. Zrozumiał, do czego służy ołtarz w kształcie misy i dlaczego skuto go na stojąco. Gdy owinęła się wokół niego pierwsza smuga twardniejącego oparu, w pełni pojął, jak koszmarne los chciał mu zgotować Nenaunir.

Albowiem na ziemskiej płaszczyźnie rzeczywiście materializował się Damballah we własnej osobie. Wkrótce sploty Ojca Zła miały w pełni wynurzyć się z pustki, by wpięrować zgruchotać ofiary w swoim uścisku, a później zapewnić Pełzającemu Bogu pożywienie w postaci ich dygoczących dusz.

KRWAWY KSIĘŻYC

Ignorując paraliżujące zimno, gigantyczny Cymmerianin resztką sił starał się rozerwać ostatni łańcuch, pętający jego syna. Brązowy pierścień w końcu puścił z trzaskiem.

Bezpostaciowe sploty gęstniały wokół Conana. Zaległy ciężarem na jego mocarnych kończynach, a ich międzygwiazdne zimno zaczęło nadweręzać niespożytą witalność Cymmerianina. Conan z wysiłkiem schylił się i wyciągnął z buta sztylet, który dostał od Murzia. Zatopił ostrze po rękojeść w twardniejącym ciele demona.

–Ojczy! – zawołał Conn, patrząc na upiorną istotę, przywołaną przez Nenaunira z międzygwiazdowego piekła.

–Uciekaj, chłopcze! – stęknął Conan. – Ratuń się!

Król Aquilonii wbijał sztylet raz za razem w potężne, węzowe sploty. Mimo że ciosy więzły głęboko, wydawały się nie czynić żadnej szkody powoli tężejącej zjawie. Skórę Conana szorowały łuski wielkości spodków, przytłaczał go niesamowity ciężar monstrualnego węża. Wysoko nad głową Cymmerianina trójkątny łeb Damballaha kołysał się na tle gorejącego księżyca, a rozjarzone ślepią boskiego węża wpatrywały się nieruchomo w króla Aquilonii. W oczach tych kryła się okrutna i przebiegła inteligencja oraz olbrzymie znużenie, nieskończona rozpacz i bezgraniczny głód. Dusza Conana zamierała, gdy patrzył w ślepią demona, który od milionów lat starał się wgnieść ludzką rasę w muł, z którego powoli i z trudem się wynurzyła.

Zimno przenikało Conana do szpiku kości. Wąż zacisnął sploty, na jego piersi, gniotąc serce i płuca. Sztylet wypadł ze zdrętwiałej dłoni Cymmerianina i zadźwięczał na marmurze. Conan nie zaprzestawał walki. Nie była to tylko próba sił dwóch ciał, lecz bitwa nieposkromionych woli, toczona przez dusze na niematerialnym obszarze świadomości. Conanowi wydało się, że umysł, wola i dusza utworzyły przedłużenie jego ciała. Rzucił wigor swej nieugiętej woli przeciwko duchowej pustce węża-demona tak, jakby ciskał oszczep we wroga z krwi i kości. Nie czuł swojego ciała, zdrętwiałego od stóp do głowy. Niejasno uświadamiał sobie, że jeszcze stoi, miażdżony zacieśniającymi się splotami Wielkiego Węża. Serce zwolniło coraz bardziej, mięśnie skurczyły się, jak gdyby w oczekiwaniu na nadchodzącą śmierć, krew krzepła w żyłach, lecz gdzieś głęboko biło źródło, z którego Conan wciąż czerpał moc. Do nadnaturalnej walki stanęły jego odwaga, męstwo i wola życia. Temu ostatniemu Set Damballah nie mógł nic przeciwstawić, był bowiem uosobieniem śmierci i rozkładu. Sensem jego istnienia było niszczenie wszelkiego życia. Siła boga-węża dorównywała jednak mocom, które sprawiają, że góry stoją, a planety krążą po swoich orbitach. Set cisnął w swego przeciwnika zimne tchnienia lęku, tchórzostwa i wątplenia. Z ich pomocą uśmiercał herosów, zatruwał patriotów jadem zdrady, dzięki nim wysysał dusze narodów i imperiów. Zimna inteligencja tej istoty wiedziała, że w swoim czasie doczeka się zniszczenia Ziemi i wypalenia samego słońca. Lecz teraz całą swoją niepokonaną, wampiryczną moc rzuciła przeciw jednemu śmiertelnikowi. Nic, co żywe, bez względu na swoją odwagę, nie mogło ostać się

przed nienasyconą potęgą, wchłaniającą nawet ogień gwiazd.

Conan zaczął tracić przytomność. Ze wszystkich stron otaczała go ciemność, lecz instynkt samozachowawczy sprawiał, że nie zaprzestawał walki, wykorzystując każdą szczyptę pozostałej mu siły ducha. Walczył z ciemnością, wciągającą go w nicość, jego walce zaś przyglądali się szyderczy czerwony księżyc i roześmiany król Nenaunir.

ŚMIERĆ W NOCY

Nagle paraliżujący Conana lodowaty uścisk zelżał. Ogarniająca jego umysł mgła ustąpiła przed falą świeżego wigoru.

Dochodził do siebie. Leżał na plecach na dnie marmurowej misy, patrząc na rozmigotane, przyjazne gwiazdy. Padało na niego dobroczynne światło księżyca, który znów stał się srebrną tarczą. Do uszu Conana dobiegł zgielk. Spróbował podnieść się, lecz natychmiast padł z powrotem na kolana. Nie wróciła mu jeszcze pełnia sił. Gdy w końcu zdołał dźwignąć się, ujrzał zdumiewający widok.

Kilka kroków od niego, na skraju marmurowej misy leżał powalony w chwili swego triumfu Nenaunir. Obok niego spoczywał lśniący w blasku księżyca sztylet, który Conan dostał od Murzia i upuścił w walce z bogiem-demonem. Za zwłokami zembabwańskiego króla szarpał się w rękach ogarniętych zgrozą Murzynów jego zabójca. Był to książę Conn. Uwolniony z okowów ostatnim wysiłkiem Conana, chłopiec nie uciekł, lecz podniósł sztylet i rzucił się ku Nenaunirowi, który gorejącymi żądzą krwi oczami wpatrywał się – tak jak wszyscy na placu – w kosmiczną walkę toczącą się w ofiarnej misie. Jedynie Thoth-Amon dostrzegł, jak syn Conana biegnie w stronę pogrążonego w transie króla-czarownika. Stygijczyk zawahał się przez jeden fatalny moment, podczas którego zazdrość szła o lepsze z ostrożnością. Ta chwila wystarczyła, by sztylet przeszył serce Nenaunira i ziemski namiestnik Damballaha padł skąpany we własnej krwi. Złamało to zaklęcie i ocaliło gasnącą duszę Conana przed zatraceniem. Wężowy kształt nad ofiarną misą rozwiął się w nicość, a Cymmerianin pozostał przy życiu.

Nim strażnicy Nenaunira zdecydowali się zabić Conana, z bocznych ulic wypadły krzyczące hordy czarnych wojowników i zaatakowały ze wszystkich stron wyznawców Damballaha. Szeregi wojowników Nenaunira poszły w rozsypkę. Pozbawieni przywództwa i łatwi do odróżnienia z powodu swych pióropuszy zwolennicy króla-czarownika byli zmasakrowani przez przybywającą odsiecz. Nad placem zabrzmiał nagle zadzierzysty dźwięk trąbki i tupot podkutych butów. Conan uśmiechnął się na widok Aquilończyków. Zataczając się, ruszył przez gąszcz walczących, wykrzykując rozkazy. Zobaczył, jak Mbega z setką wojowników wybiega z za jednego z gmachów i rzuca się do walki z włócznią i toporem.

W chwilę później rozległ się łoskot rzucanej na ziemię broni. Setki ludzi Nenaunira padło na kolana błagając o miłosierdzie. Mbega biegał od jednej do drugiej grupy walczących, by powstrzymać zbędny rozlew krwi.

Conan zatrzymał się, ledwie stojąc na nogach. Zachwiał się, gdy Conn, który podbiegł do niego z drugiej strony placu, rzucił się mu w ramiona. Ojciec uściśnął syna i rozejrzał się za Thoth-Amonem.

Stygijskiego czarnoksiężnika nie było nigdzie widać. W chwilę później na szczycie jednej z wież rozpostarł nietoperzowate skrzydła latający smok. Na gadzie siedział okrakiem śniady mężczyzna w zielonej szacie. Potwór poderwał się do lotu, okrążył centralny plac i skierował się na południe. Conan nachmurzył brwi, przyglądając się ucieczce Stygijczyka. Na południu znajdowały się jedynie niezmierzone połacie

dżungli i skraj kontynentu, gdzie bezimienna plaża ustępowała miejsca nie nazwanemu oceanowi. Ten najbardziej na południe wysunięty cypel stanowił kres znanego świata. Thoth-Amon stracił ostatniego sprzymierzeńca. Był teraz sam, pozbawiony nawet łaski swego bezlitosnego boga. Conan zdał sobie sprawę, że Stygijczyk nie mógł uciec nigdzie indziej.

Zdawał sobie również sprawę, że wcześniej pomylił się. Ostatnia walka z czarnoksiężnikiem nie zakończyła się między pozbawionymi szczytów wieżami zakazanego Zembabwei. Ostateczne starcie miało nastąpić na bezimiennej plaży na Krańcu Świata.

Przytulając do siebie Conna, Conan ruszył naprzeciw Pallantidesa i Trocera.

Nim świt zaróżowi wschodni nieboskłon, król Zembabwei powróci na tron, a ostatni słudzy ziemskiego namiestnika Damballaha szeszną. Aquilońska armia musiała zatrzymać się w Zembabwei, by odpocząć i odzyskać siły po długiej podróży przez bagna i dżunglę.

A później na południe, ku Krańcowi Świata, by ostatecznie rozprawić się z Thoth-Amonem.

Conan głęboko zaczerpnął powietrza i uśmiechnął się. Poczuł, jak krew znów zaczyna żywiej krążyć w jego mocarnym ciele i wzbiera w nim wigor.

Na Croma, dobrze było żyć!

CIENIE W CZASZCE

1.

WIZJE W DYMIE

Znad stosu żarzących się węgla uniosło się pasmo zielonego dymu. Rimush, królewski jasnowidz Zembabwei, rzucił na nie drgające serce ibisa i rozwidlony język żmii oraz dołał krwi goryka. Nad żarem zajaśniała chybotliwa, szkarłatna poświata. W mętym blasku widać było posępne rysy surowego oblicza Conana, króla Aquilonii. Ciemnoczerwona, migocząca poświata zamieniła twarz jego towarzysza, Mbega, w oblicze bożka wyrzeźbionego w polerowanym hebanie.

W wilgotnej komnacie o kamiennych ścianach słychać było wyłącznie skwierczenie węgla oraz mamrotanie wychudzonego, shemickiego astrologa. Rimush skulił się nad misą z żarem. Światło pełgających płomyków nadawało jego wiekowej twarzy wygląd czaszki, w której żyły jedynie głęboko osadzone oczy.

Conan poruszył się niespokojnie. Wszelkie rytuały wykorzystujące magię, jasnowidzenie czy czarnoksięstwo napawały go niepokojem. Od urodzenia wystarczała mu prosta wiara w Croma – srogiego, barbarzyńskiego boga jego rodzinnej, północnej krainy, który napawał swoich wyznawców jedynie odwagą potrzebną do mordowania nieprzyjaciół.

–Dość tego zawodzenia! – Conan szepnął do Mbega. – Daj mi legion swoich wojowników, a sam, bez czarów, przeczeszę dżunglę i znajdę Thoth-Amona!

Czarny olbrzym ostrzegawczo położył dłoń na ramieniu Conana. Wiekowy astrolog sprężył się konwulsyjnie, zgrzytając zębami. Pasma zielonego dymu zawirowało i uniosło się w górę, tworząc arabeskę barwy nefrytu. W kącikach ust Rimusha pokazały się kropelki piany.

–Poczekaj jeszcze chwilę – mruknął Mbega.

Stary Shemita zaczął szeptać pod nosem. Dopiero po chwili dało się rozróżnić pojedyncze słowa:

–Południe... na południe... skrzydła biją w nocy nad dżunglą... ku wielkiemu wodospadowi... na wschód, w stronę Bezpowrotnej Krainy... do wielkich gór... ku Wielkiej Kamiennej Czaszce... – Szept ustał nagle, a jasnowidz wyprostował się, jakby przeszył go sztylet. – Znajdziecie go na krańcu świata, gdzie z dawien dawna, nim jeszcze nastał człowiek, rządzi węzowy lud – powiedział Shemita dźwięcznie i mocno, po czym zgarbił się i zwałił jak podcięty obok misy z tłącymi się węglami.

–Na Croma! – zaklął Conan. Węzlaste mięśnie naprężyły się na jego przedramionach.

Mbega przyklęknął i położył dłoń na piersi starca. Po chwili wyprostował się marszcząc czoło.

–Co się stało? – zapytał niecierpliwie Conan. Ujrzał lęk w oczach czarnego monarchy, któremu pomógł zdobyć niepodzielne władanie nad krajem, przez poprzednie stulecia rządzonym przez bliźnięta.

–Nie żyje – rzekł głucho Mbega. – Zupełnie jakby powalił go piorun, albo jad węża...

Jeszcze nigdy podczas wieloletniej służby królowi Aquilonii Pallantides nie był tak

bliski otwartego buntu. Stary wojak zaklął soczyście, starając się podnieść z obitej jedwabiem sofę, na której spoczywał z zabandażowaną lewą nogą.

–Na łeb Nergala, panie, nie dopuszczę, byś wyprawił się w dżunglę sam, bez kompanii krzepkich Aquilończyków u boku! Na trzewia Dagona, nie przyszło ci do głowy, że te czarnuchy pierzchną, gdy tylko zobaczą błysk obnażonej stali? Ani to, że upieką cię na obiad, kiedy wyczerpią się zapasy?! Chociaż z taką nogą nie mogę maszerować, mogę przynajmniej jechać konno...

Conan ścisnął ramię swojego wodza i lekko pchnął go z powrotem na łożo.

–Na Croma, mój przyjacielu, samemu mi się to nie podoba, ale jest, jak jest i nie ma na to rady! – westchnął. – Aquilończycy są wyczerpani po marszu przez tę śmierdzącą dżunglę. Połowa jest niezdolna do walki z powodu ran odniesionych w czasie zdobywania miasta, a druga połowa przez gorączkę i biegunkę. Nie mogę czekać dłużej. Król Mbega zaproponował, – żebym wziął jego żołnierzy. Jeśli będę czekał w Zembabwei, aż nasi chłopcy staną na nogi, Thoth-Amon zdąży uciec do Vendii, Kitaju czy na Kraniec Świata, sam nie wiem, gdzie! Wiesz dobrze, że stary czarownik nie stracił całej mocy. Nie mogę czekać dłużej!

–Ale, panie, te czarne dzikusy...

–Są wyśmienitymi wojownikami, Pallantidesie. Nie daj sobie wmówić nic innego! – prychnął zirytowany Conan. – Żyłem wśród nich, walczyłem z nimi i przeciw nim, aż okrzyknęli mnie „czarnym królem o białej skórze”. Nie znajdziesz wojowników dzielniejszych od nich. Mój stary druh Jurna mógłby gołymi rękami połamać żebra trzem aquilońskim rycerzom, nie przestając się przy tym uśmiechać. Oprócz tego są jeszcze Amazonki.

Pallantides westchnął wiedząc, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Dwa tygodnie temu oddział czarnych wojowniczek przybył do Wielkiego Zembabwei, by reprezentować królową Nzingę na koronacji Mbegi. Oddziałem tym dowodziła córka Nzingi, przystojna dwudziestolatka o pełnym biuście, zuchwała, gibka jak lwica i o pół głowy wyższa niż przeciętny Aquilończyk.

Pallantides wiedział, że nieco ponad dwadzieścia lat wcześniej Conan jako zingarański korsarz odwiedził krainę Amazonek, gdzie poznał królową Nzingę. Wystarczyło lepiej przyjrzeć się księżniczce – która jak wszystkie królowe i następczynie tronu nosiła imię Nzinga – by dostrzec, że jest ona córką Cymmerianina. Dlatego też stary wódz, dobrze znający przygody i temperament Conana, zdecydował się trzymać język za zębami.

Usłyszawszy o planie wyruszenia w najodleglejsze dżungle nie poznanego Południa, gdzie świat miał swój kres, Nzinga młodsza rzuciła zdobną w pęk piór włócznię do stóp aquilońskiego króla i zaofiarowała pomoc swoją i swoich wojowniczek. Conan od razu przystał na jej propozycję.

–Przecież do krainy bez powrotu, o której plótl astrolog, może być i tysiąc mil – Pallantides spróbował jeszcze jednego argumentu. – Nawet Mbega nie ma map tych stron. Nikt z mieszkańców Zembabwei nie wrócił z wyprawy na południe, by opowiedzieć, co się tam dzieje.

–Zgadza się, ale my nie wyruszamy tam pieszo. – Conan uśmiechnął się szeroko.

– Ja, Conn i najdzielniejsi gwardziści Mbegi polecimy na skrzydlatych smokach. Zostało ich dość, by zabrać dwudziestu ludzi. Będziemy lecieć przodem, wyszukując najlepsze przejścia, przez które Nzinga poprowadzi swoje wojowniczeki, a Trocero kompanię pieszych włóczyków Mbegi. Kiedy dotrzemy do Wielkiej Kamiennej Czaszki, o której mówił Shemita, zawrócimy, zaczekamy, aż dołączą Nzinga i Trocero i równocześnie uderzymy z ziemi i powietrza.

–Nie możecie lecieć na tych skrzydlatych potworach! – Pallantides nerwowo przygryzł węża.

–Spróbujemy – Conan uśmiechnął się. – Jeździłem już konno, na wielbłądach, a raz nawet na słoniu. Skoro mogłem lecieć w szponach tego smoka, to poradzę sobie i na jego grzbiecie.

SMOCZE STADO

Conan wkrótce przekonał się, że w tym, co powiedział Pallantides, było wiele racji. Olbrzymie pterodaktyle, wychowane i oswojone przez Zembabwańczyków, nie były potulnymi wierzchowcami. Miały paskudne charaktery, były drażliwe, głupie, obdarzone koszmarną skłonnością do zapominania o swoich jeźdźcach i pikowania w pościgu za zwierzyną. Na domiar złego śmierdziały.

Conan prychał rozdrażniony, gdy uśmiechnięci czarni stajenni przypasali go do wysokiego siodła z grubej skóry opiętej na bambusowym szkielecie. Już podczas pierwszego, próbnego lotu wierzchowiec Cymmerianina rzucił się w zapamiętały pościg za umykającą gazelą. Dopiero wtedy Conan uświadomił sobie, dlaczego został przywiązany do siodła solidnymi rzemieniami.

Zembabwańczycy mieli także zwyczaj umieszczać przy łękach siodeł pałki. Wymuszali nimi posłuszeństwo krnąbrnych gadów, gdy drapieżcze instynkty brały górę nad wyszkoleniem. Przy pomocy takiej właśnie pałki Conanowi udało się w końcu zmusić zwierza do dalszego lotu. Król Aquilonii pomyślał wtedy, czy nie lepiej byłoby zdecydować się na pieszą wyprawę przez dżunglę w towarzystwie wojowników Mbegi i Amazonek Nzingi.

Nie można było jednak zaprzeczyć, że pterodaktyle szybko zostawiały w tyle ludzi idących pieszo. Podczas gdy czarni wojownicy wyrąbywali sobie szlak w gąszczu, Conan ze swoimi zwiadowcami wypuszczał się daleko naprzód, wyszukując najlepszą drogę. Raz dostrzeżono gromadę Murzynów, zaczajonych na szlaku przemarszu wojsk Conana. Równoczesny przelot wszystkich skrzydlatych smoków tuż nad głowami nieprzyjacielskich wojowników sprawił, że ci rozpierchli się w bezmyślnej ucieczce.

W końcu dżungla przerzedziła się i przeszła w sawannę, po której oddziały piesze mogły poruszać się o wiele szybciej. Ich tempo było jednak wciąż żółwie w porównaniu z powietrznym szwadronem, który posuwał się kilkakrotnie szybciej od najszybszej konnicy. Zresztą w tych stronach i tak nie sposób było znaleźć jakiegokolwiek konie. Sawanna była upstrzona jedynie czarnymi plamkami stad antylop, bawołów i słoń.

Każdego dnia Conan wylatywał przed swoją armię, po czym zawracał na jej spotkanie. Kolumna 'składająca się z Amazonek Nzingi, wojowników Mbegi pod wodzą hrabiego Trocero i kobiet dźwigających na głowach żywność, wyglądała z góry jak pasmo czarnych mrówek. Hrabia Trocero, który z powodu wieku nie był w stanie dotrzymać kroku wojownikom, przez większość czasu był niesiony w lektyce przez czterech krzepkich Murzynów.

Po powrocie Conan niezmiennie zasepiał się widząc, jak niewielki dystans pokonała od świtu jego armia. Wiedział jednak, że wojsko posuwało się w tempie, które z trudem mogliby wytrzymać nawet urodzeni piechurzy – Gunderlandczycy.

Gdy Conan i jego syn obalili Nenaunira, księżyc znajdował się w pełni. Gdy władca Aquilonii wyrpiał się w dalszy pościg za Thoth-Amonem, minęły prawie dwie pełne kwadry. Podczas marszu przez dżunglę i sawannę księżyc po dwakroć

osiągnął pełnię i zamienił się z powrotem w cieniutki rąbek. Obecnie ponownie stawał się coraz grubszy. Zamglone słońce na prawo od Conana zniknęło z pola widzenia za okalającymi horyzont, szczytami wierzchołkami gór. Po lewej, na wschodzie, blady księżyc w pierwszej kwadrze zdążył już wznieść się wysoko nad widnokrąg.

Kilkaset sążni pod dosiadającym pterodaktyla Conanem rozciągała się pofalowana, surowa kraina, poprzecinana licznymi wąwozami i rozpadlinami. Wszystko pokrywała złocista sucha trawa, przetykana ciernistymi chaszczami i drzewami, w większości zrudziały, pozbawionymi liści, ponieważ trwała właśnie pora sucha. Przed Cymmerianinem pofalowana ziemia przechodziła w pasmo wzgórz. Ze słów, które stary Rimush zdołał wypowiedzieć przed śmiercią, i z wiadomości, które udało się wycisnąć z tubylców po drodze, można było sądzić, że niedaleko stąd znajduje się olbrzymi wodospad.

Niebawem serce Conana podskoczyło z radości, gdy w rozpadlinie wśród wzgórz, na wprost przed sobą ujrzał pióropusz wodnej mgły. Kilka kolejnych uderzeń skrzydeł gigantycznego gada sprawiło, że przed królem rozciągnął się widok na sam wodospad. Wijąca się między pagórkami rzeka spadała w uskok o połowę niższy niż poziom lotu Conana.

Cymmerianinowi przyszło do głowy, że powinien teraz zawrócić do pozostawionej daleko w tyle armii. Zdecydował jednak, że poleci zgodnie ze wskazówkami shemickiego astrologa jeszcze parę mil na wschód i dopiero wtedy zawróci. Miał nadzieję dołączyć do wojsk przed zapadnięciem ciemności. Pociągnął więc za wodze, a powietrzny wierzchowiec z łopotem skrzydeł skierował się w lewo. Książę Conn i gwardziści Mbegi poszli za jego przykładem.

Conan obrócił się. Wiatr zdmuchnął mu przetykaną siwizną grzywę prosto w oczy. Mrużąc powieki, popatrzył na roześmianego syna. Na kwadratowym obliczu Conna widniał hardy uśmiech, a w przenikliwych niebieskich oczach tliły się żywe ogniki. Conan wymruczał pełne czułości przekleństwo. Wyraz jego twarzy złagodniał. Widać było, że chłopak ma wyśmienitą zabawę. Od czasu gdy dołączył do wyprawy Conana nad Styksem, książę brał udział w pustynnych walkach, przeprawie przez dżunglę i oblężeniu Zembabwei. Do tej pory poznał kawał żołnierskiego rzemiosła. Doświadczeniom z ryzykownej wyprawy na Dalekie Południe nie mogły równać się żadne lekcje udzielane przez bakaarzy lub wyczytane z ksiąg. Jeszcze raz Conan pomyślał, że miał rację, ignorując swoich doradców i zabierając syna na tę wyprawę. Późnym popołudniem Conan dotarł do miejsca, w którym pocięte wąwozami wzgórza przechodziły u stóp garbatych gór w posępny płaskowyż. Niewątpliwie była to Bezpowrotna Kraina, o której mówił Rimush. Król miał zamiar przelecieć szybko wzdłuż bliższego stoku górskiego pasma w poszukiwaniu przełęczy i zawrócić na spotkanie Nzingi i Trocera. Cymmerianin pogonił pałą pterodaktyla. Nie chciał, by ciemności zastały go w locie i nie zamierzał ryzykować, że w nocy nie odnajdzie reszty wojsk.

Z lewej strony rozległ się łopot gigantycznych skrzydeł. Conan odwrócił się i ujrzał tuż obok rozgorączkowanego Conna. Książę ściągnął wodze swojego smoka – mniej znużonego niż pterodaktyl dźwigający potężnego króla Aquilonii – i wyciągnął

przed siebie prawą dłoń.

Conan popatrzył tam, gdzie wskazywał chłopiec. Dostrzegł kredowobiałą górę, której dolne stoki wyrzeźbione na podobieństwo uśmiechniętej czaszki.

W Cymmerianinie wezbrał przesądny, barbarzyński chłód. Poczuł mrowienie na grzbiecie na widok Wielkiej Kamiennej Czaszki, o której wspominał Rimush.

Wysilając wzrok z całych sił, Conan starał się przeniknąć zasłone gęstniejącego półmroku. U podnóża góry ciągnęło się pasmo gołej, jałowej ziemi. Dalej ział gigantyczny łuk bramy, której nadproże zostało wyrzeźbione na kształt górnej szczęki z długimi kłami. Wyżej znajdowały się dwa okrągłe okna, przypominające oczodoły. Całość sprawiała niesamowite wrażenie.

W tej samej chwili rozpoczął się koszmar.

Całe ciało Conana przeszył potworny skurcz. Ogarnięty niezwykłą słabością, król zaczął się trząść i łapczywie chwycił powietrze. Zawodziły go zmysły, serce mu łomotało. Przemknęło mu, że wleciał w niewidzialną chmurę trującego oparu.

Ta sama siła dosięgła także powietrznego wierzchowca Cymmerianina. Pterodaktyl zakołysał się, przechylił w bok i zaczął spadać ku jałowej ziemi, na którą w zadumie spoglądała biała czaszka.

KRAINA ŻŁUDZEŃ

Conan ściągnął wodze smoka tak silnie, że złamałoby to szczękę konia. Pterodaktyl zareagował ociężałe, zwiesił bezwładnie ogon i niemrawo zatoczył czerwonymi ślepiami. Zdołał jednak rozpostrzeć szerzej żebrowane skrzydła, hamując bezwolny upadek i wylądować pomimo oszołomienia. Conan spiesznie rozwiązał przypasujące go do siodła rzemienie i zeskoczył na zieloną murawę. Potrząsając głową, starał się jak najszybciej dobrać do siebie. Czyżby pterodaktyl wleciał istotnie w jakąś jadowitą chmurę? Spojrzał w górę. Pozostali członkowie jego podniebnego oddziału natknęli się na tę samą niewidzialną barierę. Ich wierzchowce po kolei waliły się w dół. Jako pierwszy zapikował pterodaktyl księcia Conna. Pozbawiony zmysłów następca tronu ze zbielełą twarzą zwiślał bezwładnie na zabezpieczających rzemieniach.

Conan poczuł ucisk w brzuchu i przypominający miedziany knebel, gorzki smak strachu na języku. Gdy ujrzał, jak jego syn wali się bezwładnie ku ziemi, na czoło króla wystąpiły krople lodowatego potu. Starzejący się monarcha wydał z siebie nieartykułowany błagalny krzyk, wyciągnął przed siebie pokryte bliznami pięści i zacisnął je w bezsilnej rozpacz. Wyglądało jednak na to, iż powiew świeżego powietrza przywrócił chłopcu świadomość. Conn spojrzawszy mętnym wzrokiem na mknący ku niemu grunt. Natychmiast w oczach księcia zagorzały niepokonane ognie. Błyskawicznie zdawszy sobie sprawę z zagrożenia, Conn całą siłą młodych mięśni ściągnął do siebie wodze sprawiając, że pterodaktyl otrząsnął się z otępienia, podobnie jak chwilę wcześniej wierzchowiec jego ojca. Conana ogarnęła ulga, gdy zobaczył, jak chłopiec ląduje bezpiecznie. Natychmiast pobiegł kił synowi, który siedział w siodle zgarbiony i przestraszony, ale cały. Conan rozwiązał rzemienie, pomógł synowi zejść na ziemię i o mało nie zgniótł chłopca w gwałtownym uścisku.

Nie wszyscy uczestnicy powietrznej wyprawy mieli takie szczęście. Dwóch z gwardzistów Mbegi nie ocknęło się w porę. Zwalili się na ziemię z mrozącym krew w żyłach odgłosem gruchotanych kości. Pozostali zdołali jednak sprowadzić otępiałe gady na ziemię, choć niektórzy odczuli lądowanie we wszystkich kościach.

Gdy działanie niesamowitej bariery ustało, zmysły Conana odzyskały pierwotną ostrość. Uświadomił sobie, że dzieje się coś złego. Conn również to dostrzegł. Bez słowa wyciągnął przed siebie rękę.

Gdy znajdowali się w powietrzu, pod sobą widzieli jedynie martwą równinę, pokrytą piaskiem aż do stóp białej góry, wyrzeźbionej na groteskowe podobieństwo uśmiechającej się czaszki. Teraz stali po kolana w bujnej, aksamitnej trawie, przetykanej białymi, niebieskimi i szkarłatnymi kwiatkami. Niedaleko pasło się spokojnie stado długorogiego bydła. Tam, gdzie było pustkowie, rozpościerała się teraz aż do stóp góry bujna łąka.

Górskie zbocze również wyglądało zupełnie inaczej. Conan zmrużył gorejące oczy, a po grzbiecie znów przebiegł mu dreszcz nadnaturalnego lęku. Urwisko, które z powietrza wydawało się mieć formę czaszki, teraz było kunsztowną fasadą wspaniałego pałacu. Wzdłuż zbocza ciągnęła się bogato zdobiona kolumnada.

Smukłe pilastry podtrzymywały szerokie, kamienne belki, na których widniały płaskorzeźby przedstawiające nimfy, satyrów i wielogłowych bogów. Pośrodku szeregu kolumn znajdował się pogrążony w cieniu portyk, od którego zaczynał się korytarz prowadzący do wnętrza pałacu.

Na twarzy Conana odbiło się niedowierzanie. Zwalisty barbarzyńca ufał świadectwu swoich zmysłów, teraz jednak nie wiedział, co jest iluzją: czy widziana z powietrza rzeźbiona czaszka, czy też obecny, egzotyczny wykwint. Zadawał sobie pytanie, czy bariera, przez którą przeleciał, nie pomieszała mu zmysłów. Za jego plecami Murzyni Mbegi, wróciwszy do siebie, zsiadali z pterodaktyli i pętali je. Wciąż powątpiewając, Conan nachylił się i dotknął kołyszącej się trawy. Wielkie dłonie niezgrabnie musnęły delikatne kwiaty, przypominające kształtem gwiazdy. Cymmerianin uniósł głowę i głęboko zaczerpnął powietrza. W nozdrzach poczuł silną woń kwiecia i bujnej trawy. W szkarłatnym świetle zachodzącego słońca migotały żyły kwarcu w widocznej ze wszystkimi szczegółami fasadzie z białego marmuru. Nie mógł wątpić świadectwu swoich oczu.

Wzruszył ramionami. Być może znalazł się pod wpływem trującego oparu, powodującego fantastyczne wizje, a jeśli nie... Niczego jednak nie mógł zyskać, stojąc w miejscu i brnąc w jałowe rozważania. Zwykł był rozwiązywać podobne dylematy nie poprzez wymyślanie i roztrząsanie zawiłych teorii, lecz przez bezpośrednie badanie trapiących go zagadek.

W chwili gdy ruszył przed siebie, zatrzymał go przenikliwy okrzyk: „Angalia!”

Mkwawa, oficer dowodzący gwardzistami, wyciągnął przed siebie rękę. Na ten rozkaz pozostali wojownicy pochwycili włócznie. Ich groty zabłysły w blasku zachodzącego słońca.

Spomiędzy kolumn przed wejściem do pałacu wyłoniła się grupa kobiet. Ruszyły ku przybyszom przez rozkołysaną trawę. Były śniade, zgrabne, zmysłowe. Ich czerwone usta uśmiechały się, a oczy lśniły jak czarne klejnoty. We włosach miały wetknięte niewielkie kryształowe dzwonki, roztaczające wokół delikatną melodię. Wszystkie były młode, kształtne i skąpo ubrane.

Mkwawa spojrzał pytająco na Conana. Król zmarszczył brwi, po czym wzruszył ramionami.

–Smoki są wciąż oszołomione – powiedział. – Niech odpoczną, nim ruszymy z powrotem. Może w tym czasie dowiemy się czegoś od tych kobiet. Nie wyglądają groźnie. Rozkaż, by połowa ludzi została przy smokach, a pozostali będą stanowić moją straż. Każ też jednemu z wojowników, by natychmiast wracał do maszerujących. Niech dołączy do nas jak najszybciej.

Czarny oficer przekazał rozkazy Conana i po chwili król Aquilonii, Conn i tuzin gwardzistów ruszyli w stronę tajemniczego pałacu. Conan w zamyśleniu gładził koniuszek sumiastego wąsa. Jego twarz miała nieprzenikniony wyraz, w istocie był jednak strapiony. Może była to wyszukana zasadzka? Dożył szóstego dziesiątka lat tylko dlatego, że nauczył się nie lekceważyć złych przeczuć. Bez wątplenia w miejscu, które w ciągu paru chwil zmieniło swój wygląd, coś było nie w porządku.

ZŁOTE WINO

Był wieczór trzeciego dnia po przybyciu Conana i jego towarzyszy do wyciętego w skale pałacu, a właściwie miasta w jaskiniach. Okazało się, że nazywa się ono Yanyoga. Królowa Lilit obiecała wędrowcom ucztę, gdy tylko uda się wszystko przygotować.

Właśnie nadszedł jej czas.

Na marmurowej posadzce wielkiej komnaty, w towarzystwie królewskich krewniaków i ministrów, na posłaniu z jedwabnych poduch leżał rozciągnięty Conan, opróżniając kolejny róg z pachnącym miodem winem. Barbarzyńca czuł się osobliwie beztroski. Jego brzuch wypełniały subtelnie przyprawione wyborne dania. Złote wino było chłodne, wytrawne i Cymmerianinowi szumiało już nieco w głowie. Po drugiej stronie komnaty ucztowali gwardziści Conana.

Obok króla spoczywał młody Conn w starannie wypolerowanej kolczudze. Książę przyglądał się szeroko otwartymi oczami grupie tancerek odzianych jedynie w sznury paciorków owinięte wokół bioder. Dziewczęta poruszały się leniwie, zastygając co chwila w zmysłowych pozach. Widząc spojrzenie swojego syna, Conan uśmiechnął się pobłaźliwie. Spodziewał się, że już niedługo łupem młodzieńca padnie pierwsze dziewictwo. Sam nie był wiele starszy, gdy rozpoczynał swą wędrówkę, w czasie której szybko wyzbył się surowych obyczajów, nabytych w rodzinnej, cymmeriańskiej wiosce.

Królowa jaskiniowego pałacu, Lilit, siedziała opodal na onyksowym postumencie. Na liczne pytania Conana odpowiedziała wcześniej, twierdząc, że nie wie nic o Thoth-Amonie, ani dlaczego jej pałac wygląda z powietrza jak kamienna czaszka. Wyjaśniła jedynie, że w tej krainie znajduje się wiele podziemnych jam, z których często przesączają się zjadliwe gazy.

Conan uznał, że takie wyjaśnienie na razie mu wystarczy, chociaż nie rozwiązało ono całkowicie jego podejrzeń. Lilit, mówiąca znanym wśród murzyńskich nacji uproszczonym shemickim, opowiedziała swemu gościowi przekonującą historię o tym, w jaki sposób znalazła się tu wraz ze swoimi poddanymi.

Według Lilit, paręset lat temu król Vendii wyprawił flotyllę handlową do Iranistanu. Niespodziewany cyklon zepchnął statki daleko z kursu przez Ocean Południowy. Wyczerpanym rozbitkom udało się wylądować kilka mil od miejsca, w którym właśnie się znajdowali. Vendiańczycy zastali tu rasę niskich, żółtoskórych tubylców, których uczynili swymi niewolnikami. Uczestnicy wyprawy pobrali za żony niewolnice, które stanowiły część ładunku wyprawy. Oni właśnie i ich potomkowie wryli w miękkiej, kredowej skale górskiego zbocza miasto – pałac Yanyoga.

Conan uznał, że pałac jest zbyt luksusowy jak na jego gust. Osobiście wolał bardziej surowy styl życia. Królewski pałac w Tarancji, wybudowany z wielkim przepychem przez Numenidesa – nienieodżałowanego poprzednika Conana, również wydawał się Cymmerianinowi zbyt kunsztowny. Z prywatnych komnat obecnego króla Aquilonii już dawno znikły jedwabne draperie, dywany i zdobne w klejnoty posągi, ustępując miejsca gołym kamiennym ścianom i zasłanym trzcina posadzkom,

dokładnie takim, z jakimi Conan miał do czynienia jako chłopak w rodzinnej Cymmerii.

Pałac, w którym się teraz znajdował, przypominał mu rezydencje, które widywał jako młody mężczyzna: pałac króla Yildiza Turańskiego w Aghrapurze, gdzie służył jako najemnik, dwór w Shamballah, stolicy tajemniczej doliny Meru za odludnymi stepami Hyrkanii, czy siedzibę króla Shu w odległym Kitaju. Ten pałac, podobnie jak tamte, był przeładowany ozdobami, fantastycznie rzeźbionymi kolumnami, nadprożami i murami o wykwintnej sztukaterii. Przypominając sobie krótką niewolę w Shamballah, Conan wrócił myślami do dawnych czasów, minionych wojen i straconych towarzyszy. Pomyślał z irytacją, że złote wino mąci jego zmysły.

Niepostrzeżenie zapadł w lekką drzemkę. Nie zauważył, jak Conn, obrzuciwszy go ukradkowym spojrzeniem, wstał ze swojego miejsca i wymknął się z komnaty.

Nie dostrzegł również wychudzonego, śniadego człowieka o posępnym obliczu, który przyglądał się temu wszystkiemu zza jednej z kolumn. Wynędzniały mężczyzna odziany był w spłowiały, szmaragdowy strój. Chociaż od ich ostatniego spotkania postarzał się, zdawałoby się, o dziesięciolecia, Conan na pierwszy rzut oka rozpoznałby w nim Thoth-Amona.

W młodym Connie wrzała gorąca krew. Jego uwagę przykuła jedna z tancerek. Była starsza od niego o kilka lat, miała bujne piersi przypominające złote melony i usta stworzone do całowania. Jej oczy skrzyły się jak żywe srebro, gibkie ciało przepelniała kocia gracia i ciepło.

Gdy taniec się skończył, Conn zauważył, że dziewczyna zwleka z odejściem, spoglądając ku niemu z cienia kolumny. Złowiwszy jego wzrok, oblizała wargi i znacząco przesunęła dłonią po brzuchu i biodrach.

Niemalże dygocząc z podniecenia, Conn ruszył za tancerką. Teraz lub nigdy, pomyślał.

Nie był całkowitym ignorantem, jeśli chodziło o kobiety. W Aquilonii niejedna podkuchenna czy podręczna starała się zatrzymać na sobie spojrzenie młodego księcia. Jednak poza paroma niezgrabnymi pieszczotami i nieporadnymi pocałunkami żadne z tych karesów nie zakończyły się tym, co Conn, jak większość chłopców, uznawał za ostateczną próbę męstwa. Teraz miał wreszcie okazję udowodnić, że jest już mężczyzną.

Dziewczyna wciąż stała w cieniu kolumny. Conn objął jej gibką kibić i przyciągnął do siebie, starając się skraść całusa, lecz ona roześmiała się tylko i zgrabnie udaremniła jego starania.

–Nie tutaj! – szepnęła. – Królowa może zobaczyć.

–Więc gdzie?

–Chodź!

Wywinęła się z jego objęć, lecz splotła swoje palce z jego i poprowadziła księcia przez pogrążoną w półmroku plataninę korytarzy i izb. Nie zastanawiając się nawet nad możliwością, iż mogła to być zasadzka – jego myśli przepelniały inne wizje – Conn potulnie dał się zaciągnąć w ciemności.

Ucztujący gwardziści Conana również wymknęli się kolejno z sali biesiadnej,

zostawiając króla, drzemiącego na poduszkach. Wino wylewające się z wielkiego bawolego rogu, który, wysunął się z bezwładnych palców Cymmerianina, utworzyło kałużę na marmurowej posadzce.

W wyludnionej sali pojawili się smukli, śniadzi niewolnicy bezszelestnie przemykający między poduchami porozrzucanymi przez biesiadników. Czarni gwardziści myśląc wyłącznie o miłosnych podbojach, zostawili beztrosko swoje włócznie, spiżowe topory i drewniane pałki. Słudzy zebrali broń i przekazali ją czekającym na korytarzu pomocnikom. Dwóch z nich podeszło do chrapiącego na poduszkach Conana. Smukłe dłonie zręcznie oswobodziły go od sztyletu i miecza.

Lilit przyglądała się temu wszystkiemu ze swojego podwyższenia. Gdy słudzy skończyli i podnieśli na nią wzrok, świszczącym językiem, całkowicie odmiennym od tego, którym posługiwała się przy gościach, królowa wydała niewolnikom kolejne polecenia. W tej chwili w sali biesiadnej pozostała jedynie ona, niewolnicy i Conan. Tak się jej przynajmniej wydawało.

Lilit wstała i lekko podeszła do pogrążonego w pijackim śnie Cymmerianina. Sługa, który odebrał broń Conanowi, podał swej pani jego długi puginał. Wyciągając ostrze z pochwy, królowa uśmiechnęła się do nieprzytomnego barbarzyńcy.

Szybka jak język węża klinga pomknęła ku sercu Conana.

DZIECI WĘŻA

W mroku komnaty, rozjaśnianym jedynie przez dwie migoczące świece, Conn schwycił tancerkę w ramiona. Obsypał jej kark i twarz gorącymi pocałunkami, osuwając się z nią ba obitą jedwabiem otomanę.

Odchyliwszy się na chwilę, księżę zrzucił pas i bezskutecznie szamotał się z zapięciami kolczugi. Zbroja stała się trochę przyciasna, ponieważ Conn urósł znacznie w ciągu roku, który minął od czasu, gdy królewski zbrojmistrz zdjął z księcia miarę.

Naga dziewczyna zwijała się na otomanie, mrużąc zmysłowo, podczas gdy Connowi udało się w końcu rozsuptać rzemienie. Uwolnił się od kolczugi, ale nauczony dbać o uzbrojenie, zamiast cisnąć ją po prostu w kąt, choć przepelniało go pożądanie, zaczął porządnie zwijać żelazną plecionkę.

Gdy to czynił, w wypolerowanej przed uczcą powierzchni jednego z naramienników ujrzał odbicie dziewczyny. Zobaczył, czym była naprawdę.

Ciało było wciąż ludzkie, choć mniej, niż gdy patrzyło się wprost. Natomiast tam, gdzie powinna znajdować się uśmiechnięta twarz, widniało coś zrodzonego z koszmaru, przyprowadzającego o dreszcze przerażenia. Zamiast głowy, dziewczyna miała trójkątny, pokryty łuskami łeb węża z wystającymi łukami brwiowymi i pozbawionymi powiek ślepiami o szczelinowatych źrenicach. Spomiędzy szczęk o wystających kłach wynurzał się rozdwojony, ruchliwy język.

Conn zareagował bez zastanowienia. W najgłębszych pokładach jego duszy obudziły się utrwalone przez miliony lat prymitywne instynkty. Wystarczyło jedno spojrzenie w pozbawione duszy ślepią, by ożyły pierwotne odruchy.

Chłopiec zerwał się z otomany i chwycił swój pas. Głownia zaszeleściła o skórzaną pochwę, gdy wyciągał miecz. Rzucił się z powrotem ku kobiecie-wężowi. Zabłyśta stal i Conn ze zbielełą z przerażenia twarzą wbił ostrze między miękkie, okrągłe piersi kusicielki. Wyciągnął je natychmiast, wbił z powrotem jeszcze raz i jeszcze...

Dziewczyna zginęła, ale nie od razu. Jej agonię poprzedziły gwałtowne konwulsje. W miarę jak uciekało z niej życie, zniknęła całkowicie imitacja człowieczeństwa. Miejsce ciepłej, śniadej skóry zajęły matowe, szare łuski. Nim przemiana dopełniła się, Conn z odrazą odwrócił wzrok. Miecz wypadł mu z dłoni i szczęknął o posadzkę, sam zaś księżę zatoczył się w kąt i gwałtownie zwymiotował w niepowstrzymanym spazmie obrzydzenia.

Gdy torsje ustały, chłopiec poczuł się lepiej. Przejaśniło się mu w głowie i zrozumiał o co w tym wszystkim chodziło. Namiastka dziewczyny zwabiła go w to odosobnienie, jak niewątpliwie zwabiono również Murzynów Mbegi, a niewykluczone, że i jego ojca. Podszywające się pod ludzi istoty mamły obietnicą miłosnych uścisków, by otworzywszy wężowe szczęki, zatapiać jadowe kły w ciele zwiedzionych kochanków. Magiczna iluzja nie dawała jednak odbicia w zwierciadłach. Conan zdał sobie sprawę, że być może jedynie on uszedł z życiem z tej niesamowitej pułapki. Oszołomiony księżę starał się ogarnąć konsekwencje tego, czego się dowiedział.

Znane mu były pradawne mity o węzowym ludzie. Bogiem Aquilończyków był Mitra Niosący Światło, który według legend Zachodu zabił Starego Węża Seta. Okazało się jednak, że za legendami kryje się starsza, posępniejsza rzeczywistość.

Nie miecz nieśmiertelnego boga powalił Węża Dawnej Nocy, lecz zwykli ludzie, przez miliony lat toczący wojnę z syczącymi pachołkami Seta. Pierwsi ludzie, gdy oddzielili się od będących ich przodkami małpoludów, gięli zrazu karki pod batogami swoich gadzich panów. Bohaterowie świtu ludzkości powstali, by strząsnąć pęta tej niewoli i poprowadzić swój lud do wielu krwawo wywalczonych zwycięstw.

Stare mity wspominały, że węzowy lud otrzymał od swojego ojca, Seta, moc otumaniania ludzkich umysłów, dzięki czemu ci potomkowie gadów mogli udawać zwykłych ludzi. Kull, król-heros pradawnej Valuzji, nie był w stanie pokonać przeciwnika, dopóki nie pojął, że może on niepostrzeżenie mieszkać w miastach ludzi.

Wyglądało na to, że ostatni niedobitkowie toczonej od wieków wojny zdołali skryć się na najdalszym skrawku świata, gdzie w nieznanym górach między dżunglą i morzem, nie niepokojeni wyczekiwali sposobności odwetu.

Oczy chłopca zabłysły, gdy pojął, że jako jedyny z żyjących przeniknął tę tajemnicę.

ZWIASTUN ŚMIERCI

–Zatrzymaj się! – zabrzmiał głęboki głos.

Dłoń Lilit znieruchomiła w powietrzu. Dźwięczne polecenie przetoczyło się echem po pustej sali. Ostrze sztyletu zawisło trzy palce od piersi Conana.

Królowa Lilit odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z wychudłym, zgarbionym mężczyzną w spłowiałej szmaragdowej szacie, który powstrzymywał ją przed zabiciem nieświadomego Conana. Białe zęby wychynęły zza jej warg, a oczy jak ciemne klejnoty zagorzały złowrogim ogniem. Między zębami błyskawicznie przesunął się koniuszek języka.

–Kto tu rozkazuje, Stygijczyku, ty czy ja? Thoth-Amon patrzył na nią bez zmrużenia oka. W ciągu kilku miesięcy, które minęły od rozgromienia Czarnego Pierścienia pod Nebthu, wiek doścignął arcymaga. Pozbawiony ostoi swej władzy, najpotężniejszy ziemski czarnoksiężnik uciekł przed legionami Aquilończyków na południe, do Zembabwei, gdzie z upiornego tronu rządził jego ostatni ludzki sprzymierzeniec. Jednak zwyrodniałe panowanie króla-czarownika Nenaunira również zakończyło się w ogniu i krwi. Thoth-Amon ponownie musiał uciekać przed zemstą Cymmerianina. A Conan ścigał go aż do samego krańca Ziemi.

Z każdą kolejną porażką Stygijczykowi coraz bardziej ciążyły przeżyte stulecia. Stał się kruchy, wynędzniały i przygarbiony. Śniada skóra ciasno przylegała do czaszki, upodabniając go do mumii, jednak w jego oczach wciąż gorzała niespożyta moc, wsparta stalową wolą. Było to dość by powstrzymać Lilit.

Stygijczykowi przyszło szukać schronienia u swoich ostatnich sprzymierzeńców – lecz już nie ludzi, ale przedludzkiej, wężowej rasie. Od stuleci nie wypuszczał tych istot poza obręb ich południowego królestwa. Utrzymywał je tam przy pomocy przekupstwa, siania niezgody i czarnoksięskich zaklęć. Mimo że wężowy lud również wielił Seta, Thoth-Amon nie zamierzał pozwolić mu odzyskać władzy nad ludzką rasą. Zamierzał samotnie panować nad wymarżonym przez siebie imperium zła na Zachodzie.

Stracił jednak wszystkich ludzkich sojuszników. Zdesperowany, musiał szukać schronienia w krainie wężowego ludu. Przyjęto go – wiedział, że nie z sympatii, ponieważ takie sentymenty obce były gadziej rasie – ale by wykorzystać go w dziele odbudowy dawno unicestwionego imperium. Thoth-Amon stracił władzę nad wyznawcami Seta, nie zamierzał jednak oddać losu Conana z Aquilonii w obce ręce.

–Zemsta jest moja, Lilit – powiedział Thoth-Amon z nieprzeniknionym spojrzeniem surowych oczu. – We wszystkim innym będę ciebie słuchał, lecz w tym jednym nie ustąpię. Cymmerianin jest mój!

Kobieta-wąż popatrzyła na niego z ukosa.

–Znam twoje przebiegłe myśli, stygijski szakalu – syknęła. – Zamierzasz ofiarować go Ojcu Setowi i w ten sposób, poświęcając największego rycerza Mitry na Ziemi, odzyskać łaski, które utraciłeś wskutek swoich klęsk. Ja jednak mam swoje plany co do Cymmerianina...

Nigdy nie wyjaśniła, co to były za plany. Nim zdążyła je wyluszczyć, uderzona z

tyłu, zachwiała się gwałtownie. Z niedowierzaniem utkwiała wzrok w zakrwawionym spiżowym grocie, który wysunął się spomiędzy jej piersi. Wygięła się konwulsyjnie, a jej znieruchomiałe rysy rozmyły się nagle, ukazując łeb węża. Upadła na kolana, a potem zaczęła się wić, wydając spazmatyczne jęki. Thoth-Amon błyskawicznie odwrócił się i stanął twarzą w twarz z grupą zadziwiająco wysokich Murzynek, które wdarły się do pogrążonej w półmroku komnaty.

–Na pałkę Mamajambo! – wykrzyknęła księżniczka Nzinga, jednym szarpnięciem wyciągając swoją włócznię z pleców Lilit. – Przybyliśmy w porę!

Otoczony szeregiem wojowniczek Nzingi, siwobrody Trocero wkroczył do sali na czas, by ujrzeć, jak księżniczka nachyla się nad wijącym się ciałem królowej węzowego ludu.

–A cóż to za potworne czary? – spytała go rozgorączkowana Nzinga. – Z dala widać było zbrocze wyrzeźbione na podobieństwo czaszki, a kiedy podeszliśmy bliżej, okazało się, że stoi tutaj wspaniały pałac, a jałowi ziemia zamieniła się w bujną łąkę. Teraz okazuje się, że Conan śpi jak byle opój, ta jęzda nachyla się nad nim z nożem, a jakiś starzec w zielonych szmatach...

–Na wszystkich bogów, toż to Thoth-Amon! – jęknął hrabia.

–Rzeczywiście? – mruknęła lekceważąco dziewczyna zwracając wzrok ku coraz wolniej wijącej się w śmiertelnych konwulsjach królowej. – A cóż to za diabeł?

Na bladej twarzy Trocera odmalowało się obrzydzenie.

–Mówiący wąż! – wyszeptał słabo.

Dziewczyna popatrzyła na niego. Jej dłoń mimowolnie powędrowała do obucha topora.

–Starcze, mówisz o kimś, czyjego imienia nikt nie powinien wypowiadać! To nie może być prawda!

–Dowód wije się u twoich stóp – powiedział cicho aquiloński szlachcic. – Spójrz! My tu rozmawiamy, a to... coś się zmienia!

Amazonka przyjrzała się leżącej postaci, po czym zamknęła oczy, jakby chciała wymazać ten widok spod powiek. Niewymowna okropność, która dopiero co była promienną królową i zmysłową kobietą, skonała u stóp Nzingi.

W tym momencie zza mrocznej kolumnady cieni wypadła na nich sycząca horda. Trocerowi i Nzindze przyszło zrobić użytek z włóczni, mieczy oraz noży i zapomnieć o sporze.

W kalejdoskopie błyskawicznie następujących po sobie zdarzeń ani aquiloński szlachcic, ani amazońska księżniczka nie zauważyli najdziwniejszego, najbardziej niewytłumaczalnego.

Conan i Thoth-Amon zniknęli.

Nieprzytomny Cymmerianin i jego arcywróg-czarownik jakby rozplynęli się w powietrzu.

NA KRAŃCU ŚWIATA

Conan przebudził się nagle z pijackiego snu. Doszedł do siebie natychmiast, jak kot, którego wyczulone zmysły; spostrzegły obecność psa. Cymmerianin zachował tę zdolność od czasów dzieciństwa spędzonego na północnych pustkowiach. Dziesięciolecia panowania nad cywilizowanym królestwem pokryły jego barbarzyńską duszę jedynie cienką warstwą oglady.

Leżał nieruchomo, nasłuchując bacznie. Do jego uszu doszedł łoskot przyboju. W nozdrzach poczuł słoną woń otwartego morza.

Uchyliwszy lekko powieki ujrzał, że leży na wilgotnym piasku między wielkimi głazami. Nad nim rozstaczało się purpurowe sklepienie nocy, usiane wielkimi gwiazdami. Pośród nich lśniła tarcza księżycy tuż przed pełnią, który srebrzył grzywiaste fale nieznanego morza.

Rzut oka na gwiazdy wystarczył Conanowi, by zorientować się, że morze rozciąga się hen na południe. Miał wrażenie, że leży na skraju Ziemi, omywanym przez nieskończone morza wieczności. Jak się tu znalazł?

Podniósł się i rozejrzał. Jego wzrok przykuła sylwetka człowieka stojącego powyżej niego, na masywnej skale.

Mężczyzna ten, niegdyś wysoki i władczy, obecnie skurczył się, zgarbił i zapadł w siebie. Jego wygolona głowa i twarz o jastrzębich rysach miała ongiś majestatyczny, surowy wyraz. Obecnie, pobrużdżona i wychudła, wyglądała jak czaszka. Postrzępiona, spłowiała, zielona szata w świetle księżycy wydawała się szara.

Przypominająca pokurczony szpon dłoń milczącej postaci przyciskała do kościstej piersi pierścień z wprawionym węń wielobocznym klejnotem. Na środkowym palcu widać było drugi, miedziany pierścień w kształcie węża pożerającego własny ogon. Dzikie ogniki gorejące w środku kryształu rzucały na zapadłe rysy mężczyzny migoczącą poświatę. Thoth-Amon utkwiał rozgorączkowane spojrzenie w Conanie, który nieraz już doświadczył niesamowitej mocy tych badawczych oczu.

–Znów się spotykamy, cymmeriański psie! – powiedział stłumionym głosem Thoth-Amon.

–Po raz ostatni, stygijski szakalu! – rzucił Conan.

Został rozbrojony, ale siły, które tkwiły w jego potężnych barach i ramionach, wystarczało, by zgruchotać zgarbionego i znużonego wroga. Conan jednak nie atakował. Wiedział, jakie potęgi Thoth-Amon może przywołać jednym słowem, gestem lub wysiłkiem woli. Czuł respekt przed tymi mocami.

Był ciekaw, dlaczego Thoth-Amon zabrał go na tę plażę na skraju świata.

Arcymag mógł spokojnie zabić go w pijackim śnie. Jednak pozwolił mu żyć i z pomocą wciąż służących mu niewidzialnych demonów przeniósł w to nieznanne miejsce. Dlaczego?

Jak gdyby odpowiadając na nie wypowiedziane pytanie Conana, Thoth-Amon zaczął mówić powoli, znużonym, bezbarwnym głosem. Sprawiał wrażenie, jakby ognie życia dopalały się w jego wycieńczonym ciele, jednakże w miarę mówienia głos

arcymaga nabierał siły, aż w końcu czarnoksiężnik zaczął przypominać dawnego, władczego Thoth-Amona. Złożywszy ręce na piersiach, Conan słuchał go w milczeniu, z niewzruszoną miną.

–Ścigałeś mnie przez cały świat, barbarzyński psie – mówił Thoth-Amon. – Pozbawiłeś mnie po kolei moich najpotężniejszych sprzymierzeńców. Pod Nebthu z pomocą pijanego druida unicestwiłeś Czarny Pierścień. Rozproszyłeś czarnoksiężników Południa, tak samo, jak rozgromiłeś Białą Rękę w wietrznej Hyperborei. Dzięki szczęściu, a może przeznaczeniu obaliłeś Nenaunira. Nie zostało żadne królestwo, do którego mógłbym uciec – Thoth-Amon urwał. Conan nie odpowiadał. Stygijczyk wzruszył ramionami i kontynuował: – Tu, na krańcu świata, mieszkały resztki węzowej rasy, która władała Ziemią przed pojawieniem się ludzi. Najwcześniejsze ludzkie królestwa wydały im walkę i złamały ich potęgę. Gdy przy pomocy magicznych iluzji dzieci Seta starały się przedłużyć swoje istnienie kryjąc się pośród ludzi, twój przodek Kull Zdobywca odkrył ich tajemnicę i ponownie je pognębił. Od dawna wiedziałem, że pierwotni władcy dawnej Ziemi żyją tu, na Krańcu Świata, że nie wyzbyli się nadziei na odzyskanie, w ich mniemaniu, słusznie im przysługującej rangi pierwszej rasy we Wszechświecie. Od nich uzyskałem wiedzę, która pozwoliła mi zostać ziemskim namiestnikiem Seta. Dzięki nim przypadła mi misja obalenia żalosnych kultów Mitry, Isztar i Asury. Równocześnie hamowałem zapędy węzowego ludu wiedząc, jak nienasycone są ich ambicje. Nie zamierzałem dzielić mojego władania z dziećmi Węża. Lecz tobie udało się udaremnić moje plany. Do tej pory nie wiem dlaczego. Nie jesteś przecież prorokiem, kapłanem ani czarnoksiężnikiem. Jesteś jedynie prostakiem, ignorantem i tępym śmiałkiem, którego kaprys losu wyniósł na wyżyny. Może w jakiś sposób dopomogli ci twoi zniewieściali bogowie? W każdym razie zrujnowałeś wszystkie moje nadzieje i pozbawiłeś mnie władzy nad obejmującą cały świat gildią magów. Przez ciebie zdobywca Zachodu zamienił się w znękanego uciekiniera. Nie wszystko jednak stracone! Zamierzam ofiarować twoją nieśmiertelną duszę samemu Setowi! Pełzający Bóg powinien nasycić się Conanem z Cymmerii. Gdy odzyskam łaski Seta, rozpiętam niesamowite moce i poprowadzę węzowy lud do ostatniej wielkiej krucjaty...

W tym momencie Conan zaatakował. Z zaciętym wyrazem posępnej twarzy rzucił się dwa kroki naprzód, skoczył wysoko i zacisnął potężne dłonie na chudej gardzieli Thoth-Amona. Impet napaści sprawił, że obydwaj stoczyli się na drugą stronę skały w wilgotny piasek.

Niesamowita była walka między wojownikami światła i ciemności, toczona na skraju świata pod gorejącymi gwiazdami.

REQUIEM DLA CZARNOKSIĘŻNIKA

Tygrysi skok Conana całkowicie zaskoczył Stygijczyka. W pokurczonym ciele Thoth-Amona tliło się niewiele sił, więc Cymmerianin powinien był złamać jego kark jak suchą gałązkę. Jednak czarnoksiężskie moce Stygijczyka dodały mu nieziemskiej wytrzymałości. Już w chwili, gdy palce Conana zwierzały się na kruchej szyi czarnoksiężnika ten uderzył kościstą dłonią. Lśniący klejnot na jego paka trafił w brew Conana.

Niemrawy cios ześlizgnął się po czole Cymmerianina jednak dotyk klejnotu przypominał zimny ogień. Król Aquilonii nabrał gwałtownie tchu, jego mięśnie ogarnął paraliż. Zimne fale ciemności zalały świadomość. Barbarzyńca miał wrażenie, że tonie w pozbawiającej ciało czucia czarnej, lodowatej wodzie. Jego duch wzniósł się nagle nad bezimiennymi mocami, których wir rozpętał się w pogrążonej w ciemnościach przestrzeni.

Thoth-Amon tkwił bezwładnie w uścisku Cymmerianina. Czarnoksiężnik również opuścił swoją cielesną powłokę. Dwa zwarte w walce bezcielesne duchy, wirując wzniósł; się w mrok świata nad światem. Wokół nich kłębiła się szara, obojętna mgła, nad nimi na tle granatowego niebie płonęły czarne gwiazdy. Ich światło było lodowate jak tchnienie arktycznego wichru.

Conan odniósł wrażenie, że wychudzone ciało Stygijczyka zamieniło się w kłęb dymu. On sam zmienił się w podobny sposób; stał się ciasno zwiniętym pasmem ognistej mgły. Pozbawieni kończyn splekli się w zacieklej walce, toczonej pod obojętnymi czarnymi gwiazdami.

Conan walczył jak nigdy przedtem. Zgniatał wroga nie żelaznym uściskiem mocarnych ramion, lecz siłą tkwiącą głęboko w jego barbarzyńskiej duszy. Była to esencja płonącego w jego sercu męstwa i hartu.

W duchowej postaci również Thoth-Amon posiadał moc, jaka nie była dana jego wątłemu ciału. Uderzenia czarnoksiężnika przypominały zimne sztychy nienawiści. Pod tymi ciosami Conan opadał z sił, tracił dech, opuszczała go świadomość.

Spleceni w uścisku, wciąż jednak dryfowali pod czarnymi gwiazdami. W miarę jak Conana opuszczały siły, moc Thoth-Amona rosła. Mimo to Cymmerianin nie wypuszczał swojego nieprzyjaciela z bezlitosnego uścisku. Walczył zapamiętale, starając się utrzymać resztki świadomości. Lecz wbrew woli Conana, jego umysł pogrążał się w ciemnościach.

W końcu spirala kłębiącego się dymu, którą był Thoth-Amon, zeszywniała i zaczęła wymykać się ze słabnącego uścisku Conana. I wtedy duch czarownika zawył niesłyszalnym, niesamowitym, przejmującym krzykiem męki i rozpacz. Bezcielesna istota wywinęła się z objęć Conana, rozpadła i zniknęła pośród zimnych mgieł otaczającej ich pustki.

Cymmerianin unosił się przez chwilę bezwładnie. Wracaly mu siły. W jakiś sposób wiedział, że siła życiowa Thoth-Amona zniknęła.

Po pewnym czasie Conan ocknął się na piaszczystym brzegu bezimiennego morza w objęciach płaczącego chłopca, błagającego go, by żył. Uniósł głowę i

popatrzył na martwe ciało, które wciąż jeszcze obejmował w konwulsyjnym uścisku. Po chwili ujrzał, leżący obok, skrwawiony po rękojeść miecz Conna. Na jego ostrzu Biały Druid Diviatix nakreślił znak Mitry Niosącego Światło – Krzyż Życia.

Tak zakończyła się Ostatnia Walka. Przez czterdzieści lat Conan z Cymmerii i Thoth-Amon ze Stygii stawiali sobie czoła na wielkiej szachownicy hyperborejskiego świata. Tu, na jego krańcu, długi pojedynek dobiegł końca.

–Zabijał cię, ojczy! – szlochał chłopiec. – Nie wiedziałem, co robić, więc przebiłem go mieczem... Myślałem że nie żyjesz, leżałeś tak nieruchomo! – z oczu Conna lały się łzy.

Conan objął syna.

–Już dobrze, chłopcze. Żyję, choć Crom jeden wie jak blisko byłem Czarnych Bram Śmierci. Już się uchylały ale połknęły inną duszę, nie moją – skinął głową ku rozciągniętemu na piasku martwemu mężczyźnie.

Na ich oczach czas wywarł swoją zemstę na szczątkach najpotężniejszego czarnoksiężnika nawiedzanej Stygii. Ciało Thoth-Amona zapadło się, skurczyło i rozkruszyło w nienamacalny pył. Spojrzała na nich goła czaszka, lecz po chwili i ona pokryła się szczelinami i rozpadła w proch, podobnie jak reszta okrytego zielonym łachmanem szkieletu.

Conan dźwignął się na równe nogi. Jego wzrok padł na pierścień leżący na piasku, obok pustej szaty. Cymmerianin podniósł klejnot, którym uderzył go Thoth-Amon, i odrzucił daleko w morze.

–Tak kończy się każde czarodziejstwo! – mruknął. – Oby ten pierścień pozostał na morskim dnie przez sto tysięcy lat!

MIECZE PRZECIWKO CIENIOM

–Dziewczyna zamieniła się w potwora z głową węża i o mało mnie nie zagryzła swoimi jadowitymi kłami, jednak udało się mi przebić ją mieczem – opowiadał Conn. – Kiedy wróciłem do sali biesiadnej, żeby cię ostrzec, był tam Thoth-Amon, ty spałeś, a królowa nachylała się nad tobą. Wtedy do środka wpadły Amazonki, księżniczka Nzinga przebiła włócznią królową, która też zmieniła się w potwornego węża. Thoth-Amon i jakiś sługa, nie widziałem go dobrze, ale miał rogi i był silny jak byk, zabrali cię z sali. Nikt poza mną tego nie spostrzegł, chyba na Amazonki i Trocero został rzucony jakiś urok. Thoth-Amon i jego sługa wynieśli cię przez ukryte za gobelinem sekretne przejście i ciągnęli długim, czarnym tunelem, przechodzącym przez całą górę. Tymczasem do sali wpadło jeszcze więcej potworów. Ja starałem się trzymać jak najbliżej ciebie, jednak kiedy wyszedłem z tunelu, nie wiedziałem, w którą stronę cię zabrali. Wokoło było bardzo ciemno i dużo wielkich skał. Szukałem cię i szukałem, aż w końcu znalazłem. Walczyłeś z Thoth-Amonem, ale wyglądało to tak, jakbyś spał i mocował się z nim przez sen...

Conan kiwał z powagą głową, pozwalając Connowi wygadać się. Potem chłopiec poprowadził go z powrotem drogą, którą tu dotarł. Natrafili na wylot przecinającego górę sekretnego tunelu i w końcu znaleźli się znów w pałacu-czaszce, do której wężowy lud zwabił ich mocą iluzji i zaklęć. Z oddali dobiegało odległe echo toczonej w biesiadnej sali zażartej bitwy.

Usta Conana wygięły się w rażnym uśmiechu, a ochota wezbrała w jego masywnej piersi. Po niesamowitym magicznym pojedynku poza światem, perspektywa walki z obnażoną stalą w dłoni z wrogiem z krwi i kości była równie pociągająca jak wystawna uczta. Wiedział, że Nzinga, jej Amazonki oraz Trocero z czarnymi wojownikami Mbegi walczą z niedobitkami wężowego ludu. Conan zdawał sobie sprawę, że jego armia jest nieliczna, lecz, na Croma, amazońska księżniczka była równie dzielna w boju jak jej ojciec, a prastary niewieściany wężowy lud od wieków nie toczył walki z ludźmi, od których oddzielały go nieprzebyte przestrzenie sawanny i dżungli.

Śmierć królowej Lilit i odejście duszy Thoth-Amona do zimnych, przeznaczonych dla potępieńców otchłani sprawiły, że moc ludzi-węży słabła z każdą chwilą. Bez wątpienia potrafili oni jeszcze stoczyć zaciętą i długą bitwę, lecz Conan jedynie uśmiechał się na myśl o walce ramię w ramię z czarnymi Amazonkami przeciwko prastaremu nieprzyjacielowi ludzkiej rasy. Na chwilę wrócił myślami do miejsca, w którym zginął Thoth-Amon. Bez wątpienia Stygijczyk był najpotężniejszym wrogiem, jakiego kiedykolwiek pokonał. Będzie mu brakowało tego starego łotra.

–Masz jeszcze swój miecz? – zapytał syna.

–Nie, ojcze, został na plaży – odpowiedział Conn.

–Daj mi swój sztylet i wracaj po niego. Zaczekam tu na ciebie.

Gdy chłopiec oddalił się pędem, Conan rozejrzał się za jakimś solidnym kamieniem. Jego wzrok padł na niewielką skałę z grubsza przypominającą ludzką głowę. Okazała się twarda i ciężka. Zważył ją w dłoni z uśmiechem zadowolenia.

Marzył o zgruchotaniu nią paru łbów ludzi-węży. Wiedział, że węże mają twarde życie. Ale nie są nieśmiertelne. Dołączył do niego Conn, dzierżąc miecz w młodej dłoni.

Ojciec i syn zniknęli w głębi tunelu i dołączyli do swoich przyjaciół w ostatniej walce z najstarszymi wrogami ludzkości.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-04

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/